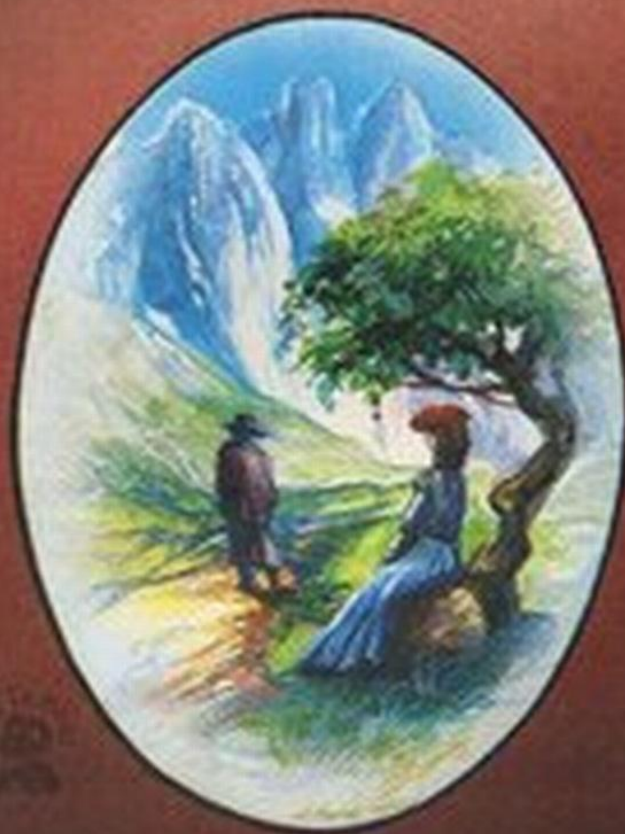


MARTA OSTENSO

*Prolog miłości*



# **Ostenso Marta**

## **Prolog miłości**

### **(Baskijski dzwonek)**

*Mała dziewczynka, wysłana przez owdowiałego ojca do Europy, będąc już młodą kobietą, podejmuje samodzielną decyzję powrotu do domu, do wszystkiego, co kocha.*

*Jedyna córka bogatego farmera szybko nawiązuje kontakt z dawnymi przyjaciółmi i utraconą naturą. Poznaje bolesną tajemnicę ojca, ale nie rezygnuje z walki o własne szczęście. Ofiarowany jej przez starego sługę Hieronima baskijski dzwonek jest nicią wiążącą dawną i nową miłość...*

## ROZDZIAŁ PIERWSZY

Zatrzymała się na peronie na jedną z tych chwil, które nie są właściwie czasem, lecz szczególnym naczyniem, zamykającym w sobie przeżycia, i oczarowana, z zapartym oddechem, stała nie zważając na badawcze spojrzenia spoczywające na jej wyniosłej postaci. Zapragnęła nagle wyciągnąć ramiona ku góróm, okrążającym dolinę jak olbrzymi puchar z kutego złota i purpury pełen zachodzącego majowego słońca.

Rozkoszowała się widokiem chłodnych gwiazd w Krzyżu Południa i srebrną łodzią młodego księżycy żeglującego po niebie ze swym tajemniczym i mistycznym ładunkiem. Jej usta wyrzekły niedosłyszalnie słowa, które — jak to obecnie pojęła — pozostały daleko, w jej dzieciństwie, czekając na jej powrót: „Piękna! Och, ty piękna!”

Przed chwilą oddała na dworzec rzeczy do przechowania, nie podając swego nazwiska. Pamiętała doskonale starego urzędnika i zauważyła, że on też patrzy na nią jakby coś sobie przypominał, jakkolwiek widział ją po raz ostatni dziewięć lat temu, gdy miała lat czternaście. Może powinna mu była powiedzieć, że się nazywa Autumn Dean, aby on pierwszy dowiedział się, że córka dziedzica wróciła do domu. Był on jedną „z pamiątek Barkervillu”, jak go ojciec zwykł był nazywać, jednym z tych ludzi, którzy stali się legendą, jak owe dawno zapomniane kopalnie złota. Może należało powiedzieć temu starcowi, będącemu symbolem rzeczy, do których wracała, tego bajkowego, romantycznego

kraju północy, kraju jej lat dziecięcych. Cieszyła się jednak możliwością zachowania trochę dłużej swej tajemnicy, tym że nikt prócz niej nie wiedział, że jest córką Jarvisa Deana, pana „Zamku Norn”, jak przed wielu laty nazwała posiadłość ojca.

Tam nisko, szemrało leżące w dolinie miasteczko, jak ciepłe uderzenia serca ludzkiego bijącego wśród zimnego serca gór. Ona szła szybko ciemną, stromą ulicą ku znanemu jej domowi w górskim wąwozie.

Przybyło tu tylko kilka nielicznych osiedli, cieniste drzewa podrosły, zarośla przydrożne zgęstniały, lecz charakterystyczna ścieżka wiodąca w górę zachowała się. W miejscu, w którym wysypana żwirem drożyna skręcała kapryśnie, jakby szukała samotności poza wystającym szczytem pagórka, wyzierał podejrzliwie dom Hektora Cardigana, tak jak go pamiętała. Wyglądał tak, jak gdyby wychylił się dopiero co z utajonego wnętrza gór i miał zamiar tam powrócić. Serce jej zabiło radośnie na widok małej sosenki na malutkim trawniku przed domem i dwu ciemnych, starannie przyciętych cisów po obu stronach ozdobionej muszlami ścieżki. W wąskim wgłębieniu werandy wisiała jak za dawnych czasów staroświecka latarnia włoska z kutego żelaza, tylko że zamiast niespokojnie migocącego knotu w oliwie żarzyła się teraz spokojnym światłem matowa elektryczna lampa za pergaminowym abażurem. Stary Hektor zaprowadził sobie elektryczność!

W pierwszym porywie chciała wbiec na strome schodki i jak dawniej przelecieć je po dwa naraz. Przypomniała sobie jednak szybko, że Hektor, który jak wynikało z listów jej ojca, postarzał się i żył w zupełnym osamotnieniu, mógłby się przestraszyć takim niespodziewanym najściem. Wobec tego podbiegła lekko ku wąskim rzeźbionym drzwiom dębowym i starała się opanować bicie serca, ściskając mocno swoją torebkę. Równocześnie podnosiła ciężką, mosiężną kołatkę u drzwi, przypominając sobie, że kołatka ta była na wysokości jej oczu, gdy ona miała lat czternaście.

Usłyszała znany sobie szybki i miarowy krok wojskowy Hektora. Pamiętała błyszczącą posadzkę z twardego drzewa w hallu, wyfroterowaną do połysku zwierciadła przez same-

go Hektora, bo żaden służący nie potrafiłby mu w tym dogodzić, nawet gdyby starszek mógł być sobie pozwolić na trzymanie służącego. Drzwi otworzyły się raptownie i na progu stanął Hektor, wyprostowany, ubrany starannie w smoking, z trochę bardziej posiwiałymi i jak dawniej gładko zaczesanymi włosami. Był mało co wyższy od niej, tak że spotkała się z nim prawie twarzą w twarz. Zdjęła szybko kapelusz i stała z odrzuconą w tył głową.

Kiedy czekała, by ją poznał, zaszło coś dziwnego. Hektor obrzucił ją spojrzeniem, które początkowo pełne niesłychanego zdziwienia przybrało wyraz bólu. Wyciągnął ku niej rękę ruchem tak niepewnym, jakby się lękał, że może mu zniknąć z oczu, po czym chwycił tak mocno za klamkę, że mu skóra na stawach zbielała. Zbladł jak kreda. I chociaż Autumna dostrzegła, jak ciężko oparł się o klamkę, zaśmiała się radośnie i zarzuciła mu rękę na szyję.

— Hektorze! Nie poznajesz mnie, Hektorze? — zawołała potrząsając nim i śmiejąc się do niego.

Hektor zaczerwienił się gwałtownie. Wpatrzył się w nią wzrokiem człowieka śniącego. Przesunął dłonią po oczach ruchem pełnym znużenia. Nagle jego zachowanie się zmieniło.

— Przebacz mi, dziecinko — rzekł. — Zaskoczyłaś mnie. Nie mogłem się spodziewać, że... Ale wejdźże! Zachowałem się okropnie!

Weszli dalej do niskiej, mrocznej bawialni. Autumna stanęła przy drzwiach, by się rozejrzeć wokoło. Chciała zobaczyć, czy niezwykle pokój się nie zmienił. Nie, poza paroma dostawionymi sprzętami był taki sam jak za jej pobytu i przedstawiał mieszaninę zabytków z różnych stuleci. Były tam dębowe ściany ciemne i tajemnicze z dziwnymi obiciami, gobeliny z czasów Ludwika XIV, wiotka i bezcenna renesansowa groteska z jej charakterystycznymi postaciami rozpluwającymi się bezpowrotnie w wyblakłej tkaninie i wreszcie śmiały Franciszek Spieriruc z Delft ze swymi herbami, który zdawał się wyzywać czas. Oczy Autumny przesuwały się po pokoju, zatrzymywały się z zachwytem kolejno na wszystkich skarbach, tak dobrze zapamiętanych, aż głos Hektora, stojącego obok kominka, przywołał ją do rzeczywistości.

— Kiedy przyjechałaś, Autumno? — zapytał.

Już opanował głos, który brzmiał dawną dźwięczną uprzejmością.

— Teraz właśnie — odparła Autumnna. — Przyszłam tu wprost z dworca.

— Lecz twój ojciec nie mówił mi zupełnie o tym, że wracasz do domu.

Autumna rzuciła kapelusz i torebkę na niską, hiszpańską ławeczkę, przegarnęła palcami włosy, podeszła i zatrzymała się obok niego z rozstawionymi po chłopięcemu nogami i z założonymi w tył rękoma.

Patrzac nań wesoło rzekła:

— Bo też nie spodziewa się mnie wcale.

Hektor drgnął. Autumnna spojrziała na niego spod oka. Zaczął bawić się czarnym jedwabnym sznurkiem swych binokli. Jego wargi zacięły się.

— Jak to? Czyżby nie wiedział, że przyjeżdżasz? Nie spodziewa się ciebie?

— Właśnie — wyjaśniła. — Nie telefonowałam nawet do domu, gdyż chcę mu zrobić niespodziankę.

— Hm — mruknął Hektor, odwracając się powoli. — Że będzie to dlań niespodzianką, to pewne.

— Chciałam też wpaść do ciebie, ty zdrajco! Pomyśl! To już dziewięć lat jak widziałeś mnie po raz ostatni.

— Dziewięć lat! To wydaje się prawie niemożliwe! No tak... starzejemy się, moje dziecko. Ja staję się zgrzybiały. Ale ty jesteś uosobieniem wiecznej młodości. Odziedziczyłaś cechy matki.

— Ale chyba nie jej urodę, Hektorze? — zaśmiała się Autumnna.

— Właśnie to mnie tak zaskoczyło, gdy ujrzałem cię w drzwiach. Jesteś jej sobowtórem.

Usiadł na ławeczce naprzeciw kominka i wsunął złożone dłonie między kolana. Autumnna patrząc na niego uczuła ogarniającą ją szybko falę współczucia, która zatarła zmieszanie i rozczarowanie wzbierające w jej sercu z powodu dziwnego powitania. Czas, jak nieubłagany wróg, zdobył szturmem piękną warownię dzielnego starego wojaka. Już zjawiały się zwiastuny jej nieuchronnego rozpadu. Autumnna podeszła szybko i usiadła obok niego. Ujęła jego brązową rękę.

— Więc tak mnie witasz? — zapytała. — Masz taką minę, jakbym ci wniosła do domu dzumę. Co masz przeciwko memu powrotowi, Hektorze?

Przypatrywał się jej w zamyśleniu i nagle zerwał się.

— Ależ nic, kochanie. To tylko tak... ze zdziwienia. Zaraz ci zaparzę herbatę.

— Nie, nie, Hektorze — broniła się. — Jadłam obiad w wagonie. Muszę śpieszyć w dalszą drogę, zanim się ściemni.

— No tak, oczywiście. Będziesz miała później dość czasu na wizyty.

— Pewnie — zgodziła się. — Jak tylko trochę się w domu urządzę, wybiorę się do ciebie na cały dzień.

— Ale jak się dostaniesz do domu, moje dziecko? Autumnna pogładziła pieścotliwie jego rękę.

— Pojadę na jednym z twoich koni — powiedziała. — Nie wypada przecie, aby córka Jarvisa Deana zajechała samochodem, nieprawdaż? Hektor uśmiechnął się.

— Na jednym z moich koni? — zapytał. — Mam już tylko jednego. Chętnie ci go użyczę. Chcesz pojechać w tym stroju?

— Nie, zatelefonuję po moje rzeczy. Moje ubranie do konnej jazdy jest w walizeczce. Jak widzisz, pamiętałam o wszystkim. Gdzie tu jest telefon, Hektorze? Czyż to nie śmieszne? To jedyna rzecz w całym domu, o której zapomniałam. Hektor wskazał na niski czarno-złoty parawan z japońskiej laki stojący pod zegarem z brązu z siedemnastego wieku.

— Tam z tyłu — rzekł.

Poleciwszy przeniesienie swego bagażu do domu Hektora Cardigana wróciła do kominka. Hektor dorzucił nowe żywiczne polano i ogień trzaskał wesoło. Przyniósł również jakąś oryginalną angielską karafkę ze szklanym czerwonym wężem owiniętym wokół jej szyjki. Obok niej na tacy stały dwa cienkie kieliszki, w których ciecz czerwieniła się migotliwie. Na talerzyku z miśnieńskiej porcelany były lukrowane ciastka i inne łakocie.

— Ach, Hektorze! Poczciwy staruszkule! — zawołała radośnie Autumnna przyklękając przed kieliszkiem, by nacieszyć się czerwonym światłem przesączonym przez wino. — Cofam wszystko, co powiedziałam o twym przywitaniu.

Usiadła na jednej ze zniszczonych poduszek i wzięła podany jej kieliszek. Popijała wino małymi łykami i sięgnęła po jedno ap-tyczne, małe ciastko. — Chablis, prawda? — zauważyła.

Hektor uśmiechnął się do niej spoza kieliszka i miała wrażenie, że jest znowu dawnym sobą, ową dziwną, zawsze zagadkową postacią, znaną jej poprzednio, będącą równocześnie Pukiem, Panem, Centaurem, a czasami również Arielem czy też Kalibanem. W jej wyobraźni przetrwały z czasów dzieciństwa te wszystkie naiwne, groteskowe legendarne istoty. — Widzę, że twe wykształcenie nie pozostawia nic do życzenia — zaśmiał się.

Autumna zawtórowała mu i schrupała drugie ciastko.

— Och, gdy przybyłam do Europy — opowiadała — uczono tam dzieci pić, by przestały w końcu błagać o nową wojnę.

Nagle spoważniała i patrząc ze zmarszczonym czołem na ostatnią kroplę na dnie kryształowego kieliszka, dodała:

— Szczerze mówiąc, Hektorze, dlatego wróciłam do domu. Musiałam uciekać przed ciągłym przeżywaniem koszmaru, którego moje pokolenie nie zna.

— Wiem, wiem o tym — przytaknął Hektor.

— W dostatnim życiu mej ciotki Flory jedyną rzeczywistością była strata syna, mego kuzyna Fryderyka. Wiesz o tym, prawda? Nie wiem, jakimi słowami to wyrazić, lecz ciocia Flora po prostu delektowała się lubieżnie swym bólem. Nie mogłam tego dłużej znieść.

— Tu w domu też już nie jest tak.

— Nie twierdzę, że w Europie są wszyscy tacy jak ciocia Flora — wtrąciła śpiesznie Autumna. — W Anglii panuje jednak jakaś duszna atmosfera z powodu tych wszystkich rwących się do życia kobiet, które następują sobie wzajemnie na pięty. Rozumiesz, co mam na myśli?

— Owszem — oświadczył Hektor. — Zdaje mi się, że cię rozumiem.

Pragnęłaś wolnej przestrzeni, by móc zaczerpnąć oddechu. Masz słuszność. Tylko, że twój ojciec też się zmienił. Wyda ci się niejednokrotnie dziwny. Nie pokazuje się u mnie niemal zupełnie, jakkolwiek wiesz, jak byliśmy sobie bliscy.



— Mój ojciec nigdy nie był łatwy w obejściu, Hektorze. Kochałam go mimo to zawsze, a on mnie również.

— Zapewne. On kocha nawet ziemię, po której stąpasz. Moim zdaniem to też jeden z powodów, dla których nie życzył sobie twego powrotu.

— Posłuchaj, Hektorze... Wiem, że ojciec chciał, abym pozostała w Anglii. Pragnął, bym wyszła za męża i na stałe tam zamieszkała. Dlaczego? Czy nie mógłbyś mi powiedzieć?

Hektor zakaszłał i napił się wina.

— Jeśli Jarvis ma powód, aby nie życzyć sobie twego powrotu — rzekł powoli — to wyjaśni ci go lepiej ode mnie, dziecinko, jakkolwiek w tym punkcie zgadzam się z nim niemal w zupełności.

— Co chcesz przez to powiedzieć, Hektorze?

— Uważam, że nie powinnaś była wracać do domu — powiedział szorstko Hektor.

Autumna zerwała się niecierpliwie i stanęła przed nim, opierając ręce na biodrach.

— Słuchaj, Hektorze — zawołała — czy jesteś tak samo nierozsądny jak mój ojciec i sprzeciwiasz się temu, bym wróciła tam, gdzie być powinnam? Ojciec zachował się po prostu śmiesznie w tej całej sprawie. Od dwóch lat miałam już dość Europy. Po ukończeniu gimnazjum chciałam wrócić do domu i byłabym to uczyniła, gdyby mi nie przeszkodziła choroba cioci Flory. Gdybym musiała jeszcze raz przebywać w jakimś francuskim uzdrowisku, wyskoczyłabym ze skóry. Stary Hektor pocierał nerwowo dłonie.

— Wiem o tym, Autumno, wiem bardzo dobrze, ale twój ojciec nie jest szczęśliwy. Poddaje się smutnym nastrojom, przeżuwa jakieś ponure myśli. Nie uważa też, aby farma była odpowiednim otoczeniem dla ciebie. Obawiam się, że twój powrót zmartwi go bardzo.

Autumna potrząsnęła gniewnie głową.

— Cóż za nedorzecznosc — oświadczyła energicznie. — Czy Monte Carlo jest dla mnie odpowiednim miejscem pobytu? Czy może Mayfair? Sięgnęła po papierosa, który leżał opodal na stoliczku z laki.

— Mam już dość nauki i wszelkich prób wydania mnie za jakiegoś anemicznego szlachcica — rzekła. — A teraz jestem

w domu! Jestem w domu, gdzie jest moje miejsce, tu w Brytyjskiej Kolumbii, pomiędzy Górami Skalistymi a Kaskadami. Czyż nie brzmi to dramatycznie? I tu pragnę pozostać na zawsze!

Kiedy strzepywała popiół z papierosa, ręka jej jednak drżała trochę. Pomimo całej energii czuła się jakoś nieswojo. Czyżby istotnie z jej ojcem było coś nie w porządku? Odsunęła jednak niepokojące myśli. Otrzymała list od niego niemal w przeddzień swego wyjazdu, a ciotka Flora byłaby ją zawiadomiła radiodepeszą na statku albo kablem w pociągu, gdyby miała jakieś późniejsze wiadomości. Odrzuciła więc energicznie niepokojące myśli.

— Prawdopodobnie pozostaniesz tu jak zapowiadasz — zauważył Hektor. — Od tego jesteś nieodrodną córką Jarvisa Deana. A zresztą gdybyś nawet nie posiadała cech twego ojca, to masz przecież krew Millicent Odell. Jeżeli nie przeprowadzisz swego zamiaru dzięki swemu uporowi, to przeprowadzisz go dlatego, że nikt nie będzie miał serca sprzeciwiać się twojej woli.

— Niebezpieczne połączenie, prawda Hektorze? — zapytała. Nie chciała już wina, chociaż Hektor napełnił powtórnie swój kieliszek. Podeszła do kominka i przypatrywała się nagromadzonym na nim osobliwościom — amuletom, starym kościom, włoskiemu sztyletowi z rączką wysadzaną szlachetnymi kamieniami i inkaskiemu naszyjnikowi z pereł, wiszącemu nad holenderskimi kaflami. Niektóre przedmioty pamiętała jeszcze, a inne Hektor zebrał podróżując już po jej wyjeździe. Nagle spostrzegła dziwny przedmiot z mosiądzu, z przyczepionym doń kawałkiem rzemienia. Wzięła go do ręki. Natychmiast dał się słyszeć w pokoju niesłychanie czysty dźwięk. Delikatne echo przenikało coraz dalej, poprzez obwieszane ściany pokoju. Dziwnie wzruszona zwróciła się do Hektora i ujrzała, że wstał i idzie ku niej.

— Znalazłem to w Hiszpanii, gdy raz wiosną wybrałem się na wycieczkę w góry — rzekł. — To baskijski dzwonek owczarski.

— Nie słyszałam jeszcze nigdy czegoś tak miłego — zawołała Autumn, obracając w rękę dzwonek.

Hektor przyglądał mu się ze szczególną zadumą.

— Chciałbym ci ofiarować ten dzwonek, Autumnno — rzekł. — Weź go sobie, gdy odwiedzisz mnie następnym razem. Nie dałbym go zresztą nikomu, nawet twemu ojcu.

Spojrzała nań z radością i zdziwieniem i poruszyła dzwonkiem, który zabrzmiał jasno i czysto jak nadziemski pieśń elfów.

— Doprawdy, Hektorze? — zapytała cicho. — Wiem, jak niechętnie się rozstajesz ze swymi rzeczami, a to...

— Ten dzwoneczek jest bardzo stary — szepnął Hektor. Jego oczy zasepiły się, jakby spoglądał w przeszłość.

— Przed pięćdziesięciu laty słyszał go może jakiś pastuszek w Pirenejach, gdy twoja babcia po przybyciu z Irlandii jako młoda dziewczyna mieszkała tu w górach. Kiedy twoja babka, dziecinko, raniła serca w całym Okanagan, jakiś pasterz przysłuchiwał się na stoku góry tej smętnej melodii — na drugim końcu świata.

— Jaka ładna myśl — ucieszyła się Autumnna. — Czyżby babcia Odell była jednak taką okrutną pozeraczką serc, Hektorze? Niewiele o niej słyszałam. Sądzę, że z tych samych powodów nie opowiadano mi wiele o mej matce — zawsze tak bardzo chciałam dowiedzieć się o niej jak najwięcej... Jej głos załamał się. Wzruszyła ramionami, jakby nie chciała o tym więcej mówić. Hektor wziął dzwonek z jej rąk i patrząc nań rzekł: — Kobiety rodu Odell nie szanują cudzych serc. Autumnna oparła się o kominiek i spojrzała nań nieśmiało spod rzęs.

— Mama także? — zapytała.

Poruszył niemal niedostrzegalnie dzwoneczkiem, a ten wydał niesamowity dźwięk, brzmiący jak skarga, która chwyciła ją za gardło. Jakby pomieszany ze śmiechem szloch jakiegoś ducha, dobiegający z zaświatów. Hektor nie od razu odpowiedział.

— Znałeś dobrze moją matkę, prawda? — nalegała. — Mogła być od ciebie młodsza tylko o jakieś dziesięć lat.

— Millicent Odell...

Autumnna tłumaczyła sobie, że to może wpływ wina, które wypił, lecz miała wrażenie, że zapomniał o jej obecności. Jego pociągła brązowa twarz z niezliczonymi drobnymi zmarszczkami płonęła, jakby namiętnie wsłuchiwał się w brzmie-

nie nazwiska jej matki, która nie żyła już od dwudziestu lat. Potem spojrzał raz jeszcze na baskijski dzwonek.

— Urobiłem sobie własne fantastyczne zdanie o tym dzwonku, Autumnno. Chciałabyś usłyszeć?

— Powiedz, Hektorze. Uśmiechnął się chłopięco.

— Jest podobny do kobiet z rodu Odellów. Roztacza wokoło czar. Jego dźwięk rozchodzi się wiecznym echem i nie odstępuje człowieka nigdy. Posiada on duszę sylfa i potęgę czarnej magii.

Autumna klaskała w dłonie i śmiała się z zachwytem, pomimo niezrozumiałego drżenia, które odczuwała.

— Jesteś urodzonym poetą, Hektorze — powiedziała ubawiona — nie zaś zbieraczem starożytności.

Zapukano do bramy i Hektor wyszedł, aby otworzyć. Z dworca nadeszły bagaże Autumnny.

## ROZDZIAŁ DRUGI

Autumna odwróciła się w tym miejscu, w którym droga skręcała w kierunku stromego zbocza nad miastem. Spojrzała w dolinę, w której bawiła przed chwilą. Kiedy była jeszcze małą dziewczynką Kamloops w nocnej ciemności wydawało jej się jakimś klejnotem wysadzonym szlachetnymi kamieniami, który spoczywał na czarnej aksamitnej poduszeczce; rzeka przedstawiała się jej jak srebrna wstęga otaczająca miękko ten aksamit. Odetchnęła z ulgą dopiero gdy przekonała się, że nic się tu nie zmieniło. Na północy i zachodzie wysokie góry, zwrócone ku gwiazdom, były pogrążone w głębokim śnie. Był to majestatyczny i pełen grozy sen potomstwa ziemi — olbrzymów. Szeroka, milcząca fala ciemności zakrywająca dolinę była jakby mistyczną emanacją serca gór, a niebo świeciło jak szmaragdowy klejnot. Jaśniejsza wstęga drogi prowadziła ku południowi nieregularnymi pochyłościami i zakrętami poprzez skaliste okolice i głębokie strome jary, gdzie ponure sosny stały obok wonnych drzew balsamowych. Autumna skierowała wierzchowca we właściwym kierunku.

Przebyła parę mil i zaczęła poznawać posiadłość ojca — rozpoczynający się obszar trzydziestu tysięcy akrów, sięgający od mrocznych gór południowych ku północy, w stronę rzeki, gdzie się rozszerzał wachlarzowato. Tu po jednej stronie ścieżki wznosiło się groźne przedgórze, sterczące jak

kaptur mnicha ponad opuszczoną kopalnią miedzi, a po drugiej prowadziła polna droga przez szare gąszcze szaławii po ostrym zboczu, spadającym ku osłoniętej dolinie, gdzie znajdowały się owczarnie. Stała na chwilę zasłuchana. Wśród ciszy rozległ się samotny dźwięk owczarskiego dzwonka. Przypomniała sobie dzieciństwo. Wówczas wiosną zdarzało się niejednokrotnie, że mimo zakazu ojca wyjeżdżała tak jak dziś wieczorem na swym koniku, aby odwiedzać wiernego pasterza, starego Absoloma Peeka. Pod naporem wspomnień łzy stanęły jej w oczach, ściągnęła cugle i pojechała dalej ku zachodowi ścieżką wzdłuż doliny.

Niebawem obok stosów przygotowanego na opał drewna ujrzała mały budynek szkolny z jego skromnymi przybudówkami. Tu opadły ją wspomnienia, jak chmara chochlików czyhających w każdym załomie muru i tańczących przed nią w bladym świetle gwiazd. Co się stało z tymi wszystkimi dziewczynkami i chłopcami, z którymi się bawiła, gdy była ich rówieśnicą? Gdzie byli Carey, Cornwall, Lloyd i Murray? Na tym właśnie miejscu pod ciemną jodłą Larry Sutherland natarł jej twarz pierwszym owego roku śniegiem. Tu zaś młody Landy Cameron walczył z Bruce'em Landorem, który chciał być jej rycerzem, mimo że miała niespełna dziewięć lat, a on był od niej o pięć lat starszy. Ojciec Bruce'a Landora zastrzelił się był w wąwozie, przechodzącym przez północną część posiadłości Deanów. Często myślała o młodym Lando-rze, marzycielu o poważnym spojrzeniu, który wydawał się zawsze nieco smutny z powodu tragedii ojca, i o jego dzielnej matce, która sama borykała się z losem i dzięki swej energii, szanowana przez sąsiedztwo, potrafiła utrzymać posiadłość Landorów. Już dziesięć lat, jak Bruce Landor pożegnał się z nią nieco dumnie, jak dorosły człowiek, gdy mając osiemnaście lat odjeżdżał do wyższej szkoły. Była wtedy trzynastoletnią dziewczynką i oplakiwała wyjazd swego bohatera dzieciennymi łzami. Zanim Bruce przyjechał na letnie wakacje, wysłano ją, wbrew jej woli, do Anglii.

Ujechawszy jeszcze trzy mile dotarła do ciężkich kamiennych słupów, stojących u wejścia do „Zamku Norn”. Ta nazwa była odpowiednia dla tego miejsca, jak to uznała niegdyś, kiedy była dwunastoletnią dziewczynką i polubiła

dziwnie ową starą bajkę. Ojcu spodobała się bardzo nazwa, jaką wynalazła dla oryginalnego domostwa z przedmurzami i starymi wieżyczkami kamiennymi, jakie nie zdołały chyba żadnej farmy na całym świecie. Niemili sąsiedzi zwali farmę „Szaleństwem starego Deana”. Autumnna kochała ją jednak z całego serca, odkąd sięgała pamięcią.

Jechała powoli między wysokimi świerkami. We wschodniej wieży farmy można teraz było dostrzec światło. Znajdował się tam gabinet ojca, który zapewne siedział teraz w wygodnym skórzanym fotelu i czytał książkę, zapomniawszy o bożym świecie. W całym domu panowały poza tym ciemności. Zaledwie w przedsionku świeciło się przytłumione światło. Stara gospodyni Anna, która była piastunką Autumnny, musiała już dawno zasnąć.

Opodal od strony zabudowań szczeknął pies. Natychmiast w szopach i stajniach rozległo się głośnie warczenie i zanim Autumnna zdążyła zsiąść z konia, otoczyło ją mnóstwo kudłatych, szczekających i podejrzliwych owczarków. Jeden kudłacz podszedł bliżej niż inne i skurczył się bojaźliwie, kiedy go chciała pogłaskać.

— Ty blagierze! — zaśmiała się, po czym przywiązała swego wierzchowca do kwitnącego brzoskwiniowego drzewa.

Teraz zaszczekał w domu inny pies, raz i drugi, złowrogo, głosem gardłowym. Autumnna wbiegła na górę po schodach i zajrzała przez grube szyby drzwi wejściowych. Pies jej ojca, olbrzymi irlandzki wilczur, schodził powoli po schodach. Spróbowała otworzyć drzwi, przekonała się, że były nie zamknięte i weszła.

Stary Jarvis Dean szedł za swym psem, trzymając w ręku ciężką laskę. Na widok córki opuścił laskę na kamienne schody i oparł się jedną ręką o błyszczącą czarną poręcz. Drugą ręką tarł czoło.

Autumna podbiegła ku niemu na schody.

— Dobry wieczór, ojczy! — zawołała i otoczyła ramionami jego zgarbioną postać. — Nie zemdlej, kochanie, to doprawdy ja! Pat, stary zazdrośniku, leżeć!

— Boże, zmiłuj się! — zawołał Jarvis Dean. — Co to ma właściwie znaczyć?

— Mówię ci ojczy, że to ja...

Jarvis Dean objął ją drżącymi rękoma i przez chwilę nie mógł wymówić słowa. Potem dopiero usłyszała jego głos, a raczej szept, czy ciche słowa lunatyka:

— Autumna, moja mała Autumna! Odsunęła go i zaśmiała się podniecona.

— Ach, ojczy, niech ci się przypatrzę!

Schylił się, podniósł laskę, po czym obrócił się i wszedł parę schodów wyżej.

— Anno, Anno, zejdz tutaj! — zawołał donośnym głosem, uderzając laską o kamienie. — Anno, Anno!

Z góry odpowiedział zdyszany kobiecy głos:

— Idę już, idę! Co się właściwie stało?

— Przyjdz sama i zobacz!

Zwrócił się ku Autumnie i położył palec na ustach, aby nie krzyknęła.

Następnie zstępował dalej niepewnym' krokiem, a Autumna szła za nim, mówiąc doń wesołym, młodym głosem, który ożywiał niemiłą ciszę dumnego przedziona. — Ach, ojczy! — zawołała. — Nie potrafię nawet wyrazić, co to dla mnie znaczy, że jestem znowu w domu!

Zarzuciła mu ponownie ręce na szyję.

— Nie napisałam ci ani słówka o tym, że przyjeżdżam do domu, bo... nie chciałeś wcale o tym słyszeć. Dlatego zrobiłam ci niespodziankę!

Spojrzał na nią surowo. — Nie blaguj — rzekł krótko, ale figlarne mrugnięcie jego oczu łagodziło słowa. — Nie pisałaś mi o tym dlatego, że wiedziałaś, iż zabroniłbym ci wracać. To była właściwa przyczyna.

Autumna ucałowała go i zaśmiała się:

— Co za różnica? Wszak powinniśmy być razem, to jest nasze miejsce. To chyba jasne, prawda? I zupełnie rozsądne.

— Rozsądne, rozsądne... Nie widzę żadnego rozsądku w tym, co robisz. Jesteś kobietą, a wszystkie kobiety mają diabła w sobie. No, ale wejdźże do pokoju i zapal światło, abym zobaczył, jak wyglądasz.

Autumna pobiegła ku drzwiom wiodącym do bawialni. Przekręciła kontakt i pokój zalało miłe, bursztynowe światło. Stała chwilę cicho złożonywszy ręce, a jej zmysły brały ten pokój w posiadanie po raz wtóry i cieszyły się jego pełną prostoty harmonią. Był to pokój jej matki, urządzone pod jej



nadzorem. Stary Hektor Cardigan udzielał jej swych rad, o czym Autumnna wiedziała. Oni oboje odtworzyli tu subtelny styl okresu królowej Anny. Ten pokój zawsze przypominał Autumnnie bujne chryzantemy o delikatnych listkach, puszyste, chłodne i złote. Przed wielu już laty poczciwa Anna opowiadała jej, że „panna Millicent” przystrajała stale swój pokój żółtymi chryzantemami, skoro tylko zaczynały kwitnąć.

Jarvis Dean usiadł przy białym marmurowym kominku, w którym różowy żar drzemał jeszcze pośród sinych popiołów. Autumnna spojrzała nań, usiadłszy na niskiej cytrynowej ławeczce. Jego długie kościste ręce obejmowały laskę, lwia głowa była podana naprzód, a oczy zdradzały jakieś silne uczucie. Byłże to lęk czy tylko zdziwienie? Autumnna nie mogła się domyślić.

Nagle doznała ohydneho wrażenia, że ten siedzący naprzeciw niej mężczyzna nie jest wcale jej ojcem, lecz jakimś starym, groteskowym odmieńcem z opętaną przez demony duszą. Jego palące oczy badały jej rysy, jego krzepkie dłonie ścisnęły poręcz fotela.

Przeszedł ją dreszcz i wstrząsnęła się bezwiednie. Zacisnęła ręce i pochyliła się naprzód.

— Powiedz mi, powiedz, co ci się stało? — prosiła cicho. Starzec osunął się na fotel wyczerpany.

— Włosy twojej matki... czerwonawobrazowe jak jesienne liście — szepnął wzruszony. Podniósł powoli głowę.

— Nic, dziecinko, nic — dodał.

Głośne kroki Anny przerwały urok ciszy. Gdy stara gospodyni wbiegła podniecona do pokoju, Autumnna zerwała się. — Anno!

Stara przystanęła jak wryta i chwyciła się za piersi. Z niedowierzaniem wpatrywała się w Autumnnę i zaczęła ciężko oddychać.

— Anno — nie poznajesz mnie?

Jedyną odpowiedzią było łkanie wstrząsające staruszką, która tuliła się do młodej dziewczyny.

— Moja dziecinka, moje maleństwo! — jąkała Anna cienkim, złamanym i dziwnie starczym głosem.

Autumna uspokajała ją pieszczotliwymi słowami, które pamiętała z czasów dzieciństwa.

— Anno, Anno! Kochana nianiu! Jarvis Dean podniósł się ociężale z fotela.

— Dość tego, Anno! — zagrzemiał. — Później będzie na to dość czasu. Postaw czajnik na ogniu i zrób nam herbatę.

Anna odsunęła się. Autumnna pogładziła jednak pieszczotliwie jej ramiona.

— Tak, Anno, przynieś nam dobrej herbaty. Będziemy miały dużo, dużo dni na pogawędki. Już nigdy nie odjadę z domu!

Staruszka podreptała do kuchni, a Autumnna usiadła z powrotem na jedwabnym obitej ławeczce.

— Więc zamierzasz tu pozostać? — zapytał jej ojciec.

— Nawet gdybym miała sama zostać owcą i biegać za trzodą — zaśmiała się Autumnna. Jarvis Dean opuścił nisko głowę.

— Czy nie czułaś się dobrze u twojej ciotki? — zagadnął niespokojnie.

— Nie mam cioci Florze nic do zarzucenia, tatusiu. Była dla mnie zawsze dobra i miła.

— Dlaczego wobec tego wróciłaś do domu? — powiedział niskim głosem, ciężko oddychając.

— Mam dość czczego życia, a tu jest mój dom.

Dopiero teraz Autumnna uświadomiła sobie nieprawdopodobne okrucieństwo tej chwili. Jej głos zadrżał i umilkł. Zmieszana, onieśmielona i przybita starała się go opanować.

— Czy chcesz... chcesz doprawdy przez to powiedzieć, że życzysz sobie, abym została tutaj? Starzec poruszył się niespokojnie w fotelu.

— Tutaj? Czyż to jest odpowiednie miejsce dla takiej dziewczyny jak ty? — zapytał.

Oczy Autumnny błędziły bezradnie po wszystkich przedmiotach, znajdujących się w pokoju, jakby pragnęła schronić się przed okrutnym osłupieniem, jakiego doznała.

— Co... co możesz mieć przeciwko temu, ojcze? Nie mogę uwierzyć, ażeby... Jarvis Dean podniósł rękę decydującym gestem.

— Co ci powiedziałem zeszłego roku w Anglii, kiedy chciałaś ze mną wracać?

— Nigdy nie przypuszczałam, że naprawdę nie chcesz, bym wróciła. To jest coś tak nieprawdopodobnego, że...

Wyprostował się nagle, a na jego twarzy widać było taką mękę, że serce Autumny ścisnęło się.

— Nie mówmy już o tym — powiedział opanowawszy się. —

Przyjechałaś i musisz jakiś czas pozostać, gdyż inaczej ci głupi ludzie ostrzyliby sobie na nas języki. Nie chcę, aby gadali o rodzinie Deanów. Autumnna była tak zdumiona nagłą i gwałtowną zmianą, jaka teraz zaszła w rysach ojca, że przyszła jej do głowy okropna myśl, czy może w czasie świeżo przeżytych przykrych chwil nie doznał on zaćmienia umysłu. Jego głowa z miękkimi falami siwych włosów wznosiła się dumnie, na pół ironiczny uśmiech igrał na jego surowych ustach, lecz spojrzenie jego było uważne, gdy podszedł ku Autumnie z wyciągniętymi rękoma. Młoda dziewczyna zerwała się szybko i objęła go ramionami, dzielnie przetykając duszące ją łzy.

— Biedny ojciec — mówiła miękko — nigdy bym nie była przyjechała, gdybym...

— Dość tego. Jesteś tu i na tym koniec. Odwrócił się od niej.

— Cóż się tak guzdrzesz, Anno — zawołał.

— Zaraz — odezwała się wojowniczo Anna. — Zaraz... już idę!

Starzec potrząsnął głową z niezadowoleniem.

— Zrobiła się do niczego — mruzczał. — Nie jest dla mnie żadną pomocą, raczej ciężarem. Nie mogę jednak nic na to poradzić. W tym wieku nie sposób przecie wyrzucać staro-winkę tak po prostu z domu.

— Tym bardziej więc przydam ci się — zauważyła ochotnie Autumnna.

— Cóż byłbym wart, gdybym nie potrafił sobie bez was dać rady lepiej niż z wami — rzekł ostro Dean.

— Na dziś dość tego gadania — oświadczyła Anna, która weszła do pokoju z pełną tacą.

Autumna zaśmiała się i przystawiła do kominka mały stoliczek, podczas gdy ojciec usiadł na powrót w fotelu.

Położywszy się późno w nocy w pokoju, w którym mieszkała niegdyś jej matka, Autumnna nie mogła długo zasnąć

i usiłowała odzyskać spokój i równowagę, których szukała w tym kraju o swoistym uroku. Odgłosy, dochodzące do niej z gabinetu ojca, wskazywały, że starzec jeszcze czuwa i chodzi tam i z powrotem po pokoju. Kiedy wreszcie sen ją zmorzył, nękało ją we śnie jakieś nieokreślone uczucie lęku, tak że co pewien czas musiała otwierać przerażone oczy, jakby czuwała w obawie przed grożącym niebezpieczeństwem.

## ROZDZIAŁ TRZECI

Jarvis Dean stał przed dużym oknem przedsionka i patrzył na świat, rozświetlony blaskami wczesnego poranka. Odwrócił się raz tylko i zawołał na górę, czy Autumnna jest gotowa do wspólnie projektowanej rannej przejażdżki do osłoniętego wąwozu, gdzie odbywał się pomiot owiec. Usłyszawszy jej odpowiedź wrócił do okna i spoglądał znów na łagodnie oświetloną mozaikę krajobrazu, który był jego światem. Na południowym wschodzie widział różowe przedgórza i przetykane miedzią skały, a na północy blade wzgórki pastwisk, na których młoda zieleń miała delikatny srebrny odblask, fiołkowoniebieskawe zagłębienia lesistych wąwozów i zaledwie wyróżniająca się, białą jak kość kotlinę jeziora sodowego. Kochał swoją ziemię z upartą dumą i zaprzysiągł, iż jak długo stanie mu tchu w piersiach, nie ustąpi z niej w żadnych okolicznościach. Teraz jednak, gdy zmęczony i złamany bezsenną nocą stał przy oknie, przyszło mu na myśl, że byłby postąpił mądrzej, gdyby sprzedał posiadłość ubiegłej zimy, gdy miał korzystną ofertę. Dlaczego nie uczynił tego? Starzał się! Duma... tak, to była duma. Duma i próżność. Żądza władzy, posiadania i triumfu. Pojął, że ten triumf nad własnym sumieniem dotyczył katastrofy, która miała miejsce przed dwudziestu laty. A zatem dlatego tu pozostał uparty i zawzięty, gdy świat się omal nań nie zwałił po śmierci Godfryda Landora i — Millicent. Stracił ją na zawsze! Przypomniawszy sobie uśmiech jej czerwonych ust... jeszcze czerwonych gdy umarła na febrę,

czerwonych w wiekuistej miłości ku innemu, zaciętych w nienawiści, jaką czuła dla niego. Zdawało mu się, że to wszystko przenika przez mgłę poranną na wschodzie, w którą się wpatrywał nieprzytomnymi oczyma.

— Cóż za głupiec ze mnie! — szeptał do siebie. — Powinienem być się tego domyślić... powinienem być wiedzieć...

Gdy wreszcie Autumna nadeszła ubrana do konnej jazdy, odwrócił się ku niej.

— Chodźmy! — zawołała, uderzając szpicrutą po butach.

Przed bramą stały dwa konie: kary Jarvisa Deana i wierzchowiec Hektora Cardigana. Niebawem puścili się w drogę i jechali ku wschodowi ścieżką, którą Autumna przybyła zeszłej nocy.

— Mam nadzieję, że poczciwy Hektor nie będzie mi miał za złe, że jeżdżę po górach na jego ulubieńcu — powiedziała Autumna. — Nie upoważnił mnie do tego.

— On? — mruknął Jarvis. — On nie dba o nic, tylko o te stare rupiecie, którymi zapchał całą swą budę.

— Nie powinienes, tatusiu, sądzić Hektora tak surowo — uśmiechnęła się Autumna. — On kocha każdą drobnostkę, jaką w swym domu przechowuje. Ja tak samo przepadam za tymi starożytnościami.

— Ty jesteś kobietą, więc to zupełnie co innego — oświadczył Jarvis Dean, kończąc na tym rozmowę.

Ściągnął lejce, a Autumna dotknęła szpicrutą boków konia.

Gdy tak jechali, przypatrywała się okolicznym wzgórzom i łagodnie oświetlonym dolinom. To była jej ojczyzna, kraj, w którym zawsze żyło jej serce, gdzie poranek czarował błękitem dzwonek, popołudnie upajało słońcem, a wieczór podobny był do kryształu, zawieszzonego w ciemnej czarze gór. Trudno jej było pamiętać pod urokiem tego uszczęśliwiającego piękna o tajemniczych cieniach zaciemniających jej powrót. Miała wrażenie, że ojciec również pozbył się ponurego nastroju, cieszył się otaczającym go światem i był taki towarzyski i wesoły, jakim go знаła dawniej.

Wybierali się w odwiedziny do Absoloma Peeka, który przebywał w górskim wąwozie. Gdy zjechali z szerszej drogi i skręcili na wijącą się ścieżkę, prowadzącą do owczarni, Autumna przypominała sobie dalszą, lecz bardziej malowni-

czą drogę przez jar, przez który przepływał malutki strumyk. Po obu jego stronach gęsto rosnące białe brzozy tworzyły jakby ściany. Lud zwał tę przepaść wąwozem Landora do pewnego stopnia dlatego, że część jej odgraniczała posiadłość Deana od majątku Landorów, a także dlatego, iż tam właśnie w dole, nad brzegiem potoku, znaleziono przed wielu laty pomiędzy brzozami ciało Godfryda Landora. Czas zatarł szczegóły tego tragicznego wypadku, lecz teraz legenda zaczęła znów zaprzętać myśli Autumny. Przed wielu, wielu laty Anna opowiadała jej, że pasterze owiec napotkali pewnej księżycowej nocy pośród brzóz ducha nieboszczyka Godfryda i że gdy wiatr wiał od strony wody, słyszeli jego głos, nawołujący psy owczarskie. Autumna zapomniała niemal o tej całej historii. Opowiadanie poczciwej Anny przyszło jej na myśl dopiero teraz, gdy ściągnęła lejce konia, zamierzając skierować go ku jarowi.

— Pojedźmy tą drogą, ojcze! — zawołała. Jarvis Dean zatrzymał konia i zwrócił się ku niej.

— Koło potoku są lotne piaski — odparł krótko. — Zapomniałaś już o tym?

— To nic, tatusiu — zaśmiała się Autumna. — Znajdowałam tam zawsze bryłki złota. Chciałabym przekonać się, czy są tam jeszcze.

— Głupstwo — zrzędził Jarvis Dean. — Nie mam czasu na takie błażostki, moje dziecko. Jedziesz ze mną czy nie?

Autumna zatrzymała konia, niemile zdziwiona. Po chwili pojechała jednak obraną przez ojca drogą. Pomyślała, że później kiedyś będzie musiała zwrócić mu uwagę, że jest już dorosła i nie można jej traktować jak dziecko. Ale na to miała jeszcze dość czasu.

Kiedy zrównała się z nim, twarz Jarvisa Deana stała się dziwnie zdrętwiała i blada. Więc Hektor Cardigan miał jednak słuszość! Ojciec zmienił się. Nie był już takim, jakim go знаła niegdyś. Postarzał się i życie złamało go swym ciężarem. Zniecierpliwienie, w jakie wprawił ją jego zły humor, zamieniło się w litość.

— O co to chciałam się jeszcze ciebie zapytać, tatusiu... jak się powodzi Landorom? — wtrąciła od niechcienia po pewnej chwili.

— Komu? Landorom? Dobrze... przypuszczam — odrzekł zatopiony w myślach.

— Wspomniałeś mi raz w Anglii, że Landorowa była chora — przypomniała mu.

— Ach tak, rzeczywiście — rzekł pośpiesznie. — Pani Janina bardzo źle się czuła. Obawiam się, że nie pożyje już długo.

— A Bruce?

Jarvis Dean spojrział nagle na młody chwast, panoszący się przy drodze. Zsiadł z konia i wyrwał zielsko z korzeniem.

— Mlecz — wyjaśnił i dosiadł z powrotem konia.

Gdy wreszcie zajechali do obozowiska, zastali starego Absoloma w jego chacie. Smażył sobie słoninę i przyrządzał do tego kawę. Podczas gdy Jarvis wszedł do domu, Autumnna pozostała jeszcze trochę na dworze, patrząc na widnokrąg, na którym poranne słońce oświetlało jasno wszystkie szczyty gór. Mała dolinka rozbrzmiewała beczaniem owiec-matek i cichym kwileniem setek nowo narodzonych jagniąt. Większa część trzody: owce ze starszymi jagniętami, które można już było wypuścić z zagrody, lub inne, jeszcze ciężarne, pasły się na słonecznych stokach. Wewnątrz ogrodzenia pracowali pilnie ludzie jej ojca. Silne uczucie tkliwości wezbrało w Autumnnie na widok bujnej płodności wiosennej. Wzruszały ją te cierpliwe matki ze swymi młodymi, delikatne brzozy, całe w zielonych oparach, a poniżej wezbrany majowymi wodami potok! I pomyślawszy, że ojciec postanowił ją pozbawić tego wszystkiego, jej odziedziczonych, niezaprzeczalnych praw, uczuła niemal złość.

Z chaty dał się słyszeć głos Jarvisa Deana. Zarazem ukazał się stary Absolom, jeszcze bardziej aniżeli dawniej pomarszczony i podobny do krasnoludka. Na jego ogorzałej twarzy zjawił się nieśmiały uśmiech. Otworzył kratę i Autumnna pobiegła szybko ku niemu.

— Dzień dobry, Absolomie! — zawołała.

Potrząsał jej rękoma. Jego stare oczy błyszczały i zwilgotniały z radości.

— Witam panienkę! — mówił i usiłował się uprzejmie ukłonić. — Długo panienki nie było! Ale panienka zrobiła się elegancką damą! Tak, tak...

Autumna zaśmiała się i spojrzała z zadowoleniem na ojca, który stał koło pasterza i uśmiechał się doń uprzejmie.



— Zanadto długo nie było mnie w domu, Absolomie — zauważyła. —  
Lecz teraz wróciłam już na stałe i będę cię często odwiedzała.

— Po postrzyżynach pójdziemy w góry — zaczął jej opowiadać  
staruszek. — Już za dwa tygodnie.

— Zostań tu z Absolomem i porozmawiajcie sobie — powiedział Jarvis  
Dean. — A ja tymczasem obejrzę przychówek w owczarniach. Możesz  
przyjść później do mnie, jeśli byś miała ochotę.

Autumna weszła do chaty i usiadła, przypatrując się, jak Absolom krzątał  
się około swej słoniny i kawy.

— Będzie tak jak dawniej, panno Autumno — cieszył się pasterz. —  
Wnieście pani nowe życie w te stare mury.

— Może one tego potrzebują — odrzekła.

Absolom zwrócił się ku niej z patelnią w ręku. Spojrzał przez otwarte  
drzwi i rzekł:

— Na pewno, proszę panienki. Panienka nie widziała jeszcze, co się  
zrobiło z farmy. Starszy pan jest dzielnym człowiekiem i stosunkowo do  
swego wieku zdrowym mężczyzną, ale tam w domu potrzeba kogoś  
innego prócz tego starego grata, który gotuje i sprząta. Dawniej mogliśmy  
od czasu do czasu potańczyć tam trochę czy zabawić się. Taka rozrywka  
chroni człowieka od przedwczesnej starości. Ale teraz jest tam trupiarnia,  
nic więcej!

— Poddałeś mi doskonałą myśl, Absolomie — rzekła Autumna. —  
Niecodziennie wraca córka do ojca. Musimy to uczcić. Zaproszę całe  
sąsiedztwo na zabawę taneczną. Przyjdiesz, prawda? Bez ciebie nie  
cieszyłoby mnie to wcale.

— Za dwa tygodnie idziemy w góry — przypomniał jej.

— A więc urządzimy to w przyszły piątek! Absolom rozpromienił się.

— Przyjdę! Byle tylko starczyło czasu. Musi mi panienka jednak  
przrzec, że muzyka będzie grać również stare tańce. Moje gości są już za  
szybkie, aby mogły sprostać temu, co teraz nazywają tańcem.

Starzec spojrział przed siebie rozmarzonym wzrokiem.

— Za moich czasów dość się natańczyłem z Kasią Mac-Dougall. Ona  
mieszka teraz tam w dole nad rzeką. Gdyby panienka zechciała o tym  
pamiętać... — zaproponował chytrze.

— Poślemy jej specjalne zaproszenie — przyrzekła Autum-na i wstając dodała:

— Zajmij się kawą, a ja tymczasem pójde zobaczyć owce.

— Warto je obejrzeć! Tej nocy urodziło się ich z pięćset — przytaknął starzec.

Autumna wyszła i zastała ojca koło jednej z zagród. Po drugiej stronie ogrodzenia stała tłusta, duża owca, dokoła której skakało na dziwacznych nóżkach jednodniowe jagnię, ruszając wesoło malutkim wełnistym ogonkiem.

Autumna roześmiała się z uciechy.

— Ach ty mały łobuzie! — powiedziała. — Będę musiała, tatusiu, znowu nauczyć się wszystkiego o owcach.

Spojrzała nań uszczęśliwiona i zauważyła jego pieszczotliwy wzrok, który starał się jednak zaraz ukryć. Nie mogła sobie wytłumaczyć jego powściągliwości. Westchnął ciężko.

— To nie jest właściwe zajęcie dla kobiety, dziecinko.

— Zdaniem mężczyzn... — rzuciła.

— Moim zdaniem kobiety gadają dużo głupstw, o ile im się na to pozwala — odparł. — Z boską pomocą pozbędę się tego wszystkiego jeszcze w tym roku.

— Jak to? Całej hodowli owiec?

— Chcę wszystko sprzedać. Autumna zawahała się zniechęcona.

— Proszę, kto mówi głupstwa, jeśli wolno zapytać? Nie przeżyłbyś tego, gdybyś musiał stąd wyjechać... wiesz zresztą o tym doskonale, tatusiu.

Jeden z owczarskich psów przybiegł łasząc się do nich i Jarvis nachylił się ku niemu. — Wiem, wiem — odrzekł — ale jestem już za stary, by temu podołać, Autumno.

Podeszli do innej zagrody. Autumna położyła rękę na ramieniu ojca.

— Nigdy w życiu nie słyszałam jeszcze podobnej nedorzeczości — rzekła.

Postanowiła skierować rozmowę na inny temat.

— Ta owca to rasa rambouillet, prawda? — zapytała.

— Tak — przyznał.

— Przypominasz sobie, tatusiu, tę Cho-Cho, którą karmiłam z butelki? A jej brata Tau! Pamiętasz, jak ładnie

zakręcone rogi mu potem wyrosły? Mało nie umarłam ze zmartwienia, kiedy chciano mi go zabrać. A jak rozpieściłam Cho-Cho! Nie miała pojęcia, że jest tylko owcą. Przypominasz sobie, jak wtedy przyszła do kuchni i zrzuciła Annie placek ze stołu, a Anna goniła za nią z pogrzebaczem w ręku?

Śmiała się do rozpuku, a on uśmiechał się z roztargnieniem i Autumnna czuła, że nie słucha jej zupełnie. Obszedłszy dalsze zagrody wracali do koni. Młoda dziewczyna z uporem mówiła o wszystkim, co o hodowli owiec zdołała zapamiętać i była zdecydowana pogłębić swe wiadomości na tym polu, zazdroszcząc Jarvisowi Deanowi tej przyjemności w życiu. — ...W roku 1785 sprowadził Ludwik XVI z Hiszpanii piękne owce i zaczął je hodować niedaleko Paryża w Rambouillet. Dlatego też dziś jeszcze ta rasa tak się nazywa, prawda ojcze? Widzisz, jak pamiętam twe nauki, chociaż to już tak dawno jak mi ich udzielałeś.

Wskazała bez wahania na owcę, która pasła się w pobliżu.

— Ta z tą ładną główką to rasa cheviot, nieprawdaż? Taka jest rasowa i wytworna. Zawsze mówiłeś, że mają rzymskie profile. A tamte z czarnymi pyszczkami to rasa hampshire. A te w dole — zaraz, zaraz — to musi być jakiś skrzyżowany gatunek. Co za wysoka głowa! Stropshire i merynos...

Jarvis Dean uśmiechnął się mimo woli z pewnym uznaniem.

— Wysłałem cię do Europy, abyś o tym wszystkim zapomniała — rzekł.

— Ale z kobietami nie można sobie nigdy dać rady.

Autumna dosiadła konia, będąc już nieco lepszej myśli i jechała obok ojca stromą ścieżką, prowadzącą w górę ku głównej drodze.

## ROZDZIAŁ CZWARTY

Stary dziedzic już od dziesięciu lat nie otwierał szerokich bram swego domu dla gości, dlatego też znajomi przybyli z najdalszych stron na powitanie jego córki. Salon i hall rozbrzmiewały porywającym rytmem szkockiego tańca góralskiego. Ludzie starego świata tańczyli z zapalem po woskowanej posadzce. Starszawi Szkoci, których czerwone, kanciaste twarze spływały potem, obracali swe danserki z powagą wojowników wybierających się na wojnę. Jednym z najobrotniejszych między nimi był stary Absolom Peek, którego czerwony szal leżał spokojnie na ramionach tańczącej z nim Kasi MacDougall.

Autumna stała w drzwiach i oklaskiwała wysiłki starego pasterza, który promieniał wdzięcznością i z bohaterskim wysiłkiem obracał się w tańcu. Przypatrywała się również swemu ojcu, na którym strój wieczorowy wisiał niezgrabnie. Serce jej ścisnęło się na widok tego starca, który chciał za wszelką cenę przekonać swych gości, że ich obecność go uszczęśliwia. Chodził od jednego do drugiego, jakby się chciał zmusić do prowadzenia uprzejmych rozmów. Była przekonana, że czuje się źle i nieswojo.

Gdy taniec się skończył i zdyszani tancerze zapragnęli spocząć albo odetchnąć wieczornym powietrzem, kilku młodzieńców przybiegło do Autumny. Jeden chwycił ją szybko za rękę i odciągnął na bok.

— Następny taniec jest nasz, proszę pani — oświadczył z pewną łaskawością. — Prosiłem muzykę, by nam zagrała tango.

Florian Paar uchodził za najbardziej zdobywczego młodzieńca z całej okolicy. Paarowie — zamożna szkocka rodzina, posiadająca farmę w dolinie Okanagan — pozostawili syna w Anglii celem kształcenia i sprowadzili go do domu dopiero rok po wyjeździe Autumny do ciotki Flory. Przedstawiono go Autumnie na początku tego wieczoru i młoda dziewczyna miała czas nieznacznie mu się przyjrzeć. Miał około trzydziestki, był wysokim, tęgim blondynem, ubranym w białe flanelowe spodnie i w nienagannie skrojoną granatową marynarkę. W tym zabawnym zbiorowisku wieśniaków i małomieszczan, wyglądał jak człowiek z innego świata.

Jego zachowanie podrażniło Autumnę.

— Nam, proszę pana? Nie przypominam sobie, bym panu coś przyrzekła. Przybliżył się ku niej.

— W tym wypadku przyrzeczenie nie ma wielkiego znaczenia, proszę pani, raczej sympatia.

— Z pana czy z mojej strony?

— Mogę mówić tylko o sobie — odparł. Podniosła dumnie brwi.

— Zdaje się, że nie sprawia to panu trudności.

— Czy pani się gniewa?

— Bynajmniej. Zresztą człowiek, który gra w polo i kieruje własnym samolotem...

— Skąd pani o tym wie?

Zanim zdążyła odpowiedzieć porwał ją do tańca. Orkiestra zaczęła znowu grać. Pogaszono kryształowe świeczniki i na dużej sali pozostało tylko fioletowe światło sączące się z kolorowych lampionów umieszczonych przy suficie. Autumnna zauważyła spojrzenia, którymi obrzucano Floriana i ją, dojrzała w nich zazdrość i podziw i podchwyciła niejedną uwagę zupełnie wyraźną. Poddawała się z rozkoszą przyjemności, jaką jej sprawiał taniec i spoglądała przymrużonymi oczyma na swego tancerza.

W czasie ostatnich taktów tanga Florian manewrował tak, że oddzielili się od innych par i tańcząc wydostali się przez otwarte drzwi i taras do ogrodu.

Była pełnia i księżyc wisiał ponad kwitnącymi drzewami brzoskwiniovymi jak dziwnego kształtu latarnia japońska. W przelazającym przez gałęzie bladym świetle Autumnna

czuła pożądlive spojrzenia Floriana i patrzyła nań śmiało, jak się tego nauczyła w czasie płozych, nic nie znaczących nocy angielskich ogrodów i włoskich gajów oliwnych. Najstarsza na świecie zabawa! Igraszki zalotności... Jej serce nie miało z tym nic wspólnego, a nudę łagodziła tylko zaspokojona próżność.

Florian stał nachylony nad nią. Patrzyła na jego uśmiech, gdy wziął jeden z jej loków i udawał, że patrzy przezeń na księżyc.

— Muszę panu zwrócić uwagę — rzekła z udaną surowością — że jestem panią domu mego ojca i że powinien pan się wobec mnie zachowywać z należą mi godnością.

— Może pani jeszcze dodać, że poznaliśmy się dopiero przed godziną — zauważył.

— Oczywiście.

— Ale była to niezapomniana chwila — wtrącił. Jakaś inna para spacerowała przy świetle księżyca.

— Panno Autumnno — rzekł nagle Florian — czy nie przyjechałaby pani pod koniec tego tygodnia do nas do Kelowny? Wszyscy w domu bardzo pragną panią poznać. Moja siostra Linda chciała ogromnie przyjechać dziś wieczór do państwa, lecz zwichnęła nogę. Pani będzie się jej strasznie podobała!

— Bardzo chętnie — zgodziła się Autumnna.

— Zatem w przyszłą sobotę przyjedzie pani do nas na polo i zostanie pani przez niedzielę. Zapewniam, że będzie się pani dobrze bawiła. Ojciec pani też winien jest rewizytę memu staremu. Już do wielu miesięcy nie był u nas. Urządzimy prawdziwą zabawę.

— Powiem o tym ojcu.

— Doskonale — rzekł.

— Ale teraz musimy wrócić do reszty towarzystwa — zauważyła młoda dziewczyna. — Zapominam o moich obowiązkach.

— Pójdę z panią, jeśli będzie mi pani mówiła po imieniu — prosił tak cicho i przymilnie, że zaśmiała się gardłowo z zadowoleniem.

— Zgoda, Florianie! — zawołała i skierowali się ku jasno oświetlonemu domowi.

Gdy wchodzili na stopnie tarasu, otoczonego kwitnącym kaprifolium, usłyszeli dźwięki muzyki. Florian ujął jej rękę.

— Dokończymy nasz taniec — rzekł i wprowadził ją w takt granego właśnie walca.

Znaleźli się na końcu tonącego w ciemności tarasu i zostali zupełnie sami. Florian przystanął, przyciągnął ją ku sobie i przesunął ustami po jej włosach.

— Zdaje mi się, że pokocham panią — szepnął.

Policzki i usta Autumny pałały i doznała dawnego przelotnego uczucia miłego odurzenia. A potem nagle, ni stąd, ni zowąd, przypomniała sobie matkę, którą pamiętała tylko jak przez sen, i drugą kobietę z domu Odellów, babkę swą, którą знаła jedynie z opowiadań. Pomyślała o mężczyznach z Anglii i kontynentu, którymi bawiła się tak długo, aż jej obrzydli. Jeden pozostawił niezatarte wrażenie w jej pamięci. Był to niebieskooki chłopak, ciężko zraniony w czasie wojny. Kobiety z rodziny Odellów nie szanują serc! Wszak Hektor tak się wobec niej wyraził. Dzwonek baskijski! Drgnęła i nagle odsunęła się od Floriana. Czy po to uciekła przed życiem, które wiodła przez dziewięć ostatnich lat?

Obojętnie i w milczeniu doszła z Florianem do otwartych szklanych drzwi. Chwilę później wmieszali się między tańczące w salonie pary. Gdy muzyka ucichła, Autumnna szepnęła coś ojcu i udała się tylnymi schodami do swego pokoju.

Nie wiedziała, co skłoniło ją do tego, aby opuścić gości. W niespełna dwie minuty przebrała się, po czym pobiegła do stajni, osiodłała konia i puściła się cwałem w bladym, srebrnym świetle samotnej nocy. Czowała, że działa pod wpływem chęci ucieczki od czegoś. Zrozumiała teraz, że chciała uciec przed Florianem Paarem. Przed takimi jak on młodzieńcami uciekła, nie chcąc wieść pustego życia w Europie, przed młodzieńcami, których uczucia były sztuczne i śmieszne.

Zanim zorientowała się, dokąd podążyła, była już na terenie posiadłości Landorów. Dostrzegła teraz, że czerwone światło, w stronę którego jechała w ciągu ostatnich kilku minut, dobywało się z wąwozu, na który padał blask księżyca.

Białe brzozy wydawały się jakby upiornymi fontannami. W dali widać było owczarnie, chatę pasterza oraz dziwne, mgliste sylwetki setek śpiących owiec. Delikatny orzeźwiający wietrzyk muskał jej policzki, przynosząc oszałamiającą woń bzu, malw, dzikich róż i paproci. Stała przez chwilę cicho, wdychając czarowny powiew nocy, gdy nagły szelest poza jej plecami skłonił ją do ściągnięcia lejców i odwrócenia konia. Na wąskiej ścieżce ukazał się jeździec. Jego wysoka postać rysowała się czarną sylwetką w świetle księżyca.

— Kto tam? — zawołał jakiś męski głos spokojny, silny i dźwięczny. Gdy nieznajomy przybliżył się, Autumnna spostrzegła, że był bez kapelusza i miał rozpięty niedbale kołnierz koszuli.

— Jestem Autumnna Dean — powiedziała szybko, podczas gdy on podjechał bliżej i zatrzymał konia.

Jakkolwiek światło księżyca przeobraziło jego rysy w ciemną maskę, zdawało jej się, że czyta w nich wyraz zakłopotanego zdziwienia.

— Autumnna Dean! — zawołał i wyciągnął do niej rękę. Ujmując podaną dłoń zauważyła jego uśmiech, ów chłopięcy, trochę drwiący uśmiech, który zachowała w pamięci.

— Ach... Bruce Landor, prawda?

Przez jej ciało przebiegł dreszczyk — ogarnęło ją dziwne uczucie niepokoju. Była zła sama na siebie.

— Wiedziałem, że to pani. Poznałem panią od razu.

— Więc dlaczego pan tego nie powiedział? — zapytała. Ścisnął serdecznie jej dłoń i uśmiechnął się.

— Życie nauczyło mnie nie uważać niczego z góry za rzecz pewną. A poza tym opowiadano mi przecie, że pani dziś wieczór urządza zabawę dla uczczenia swego powrotu do domu. Skąd pani się tu wzięła?

— Nie umiem panu tego wyjaśnić — powiedziała z zakłopotaniem. — Wyjechałam, no i jestem.

Uśmiechnął się znowu. Wyjął papierosa, zapalił zapałkę i zasłonił płomyczek rękoma. W tej chwili dojrzała jego faliste, krótko ścięte ciemne włosy, czarne brwi, tworzące łuk nad oczyma, (pamiętała, że były niebieskie), kształtny nos z nieco zmysłowymi nozdrzami i trochę za pełne, lecz proste i uparte usta. Nagle zdała sobie sprawę, jak bezczelnie



mu się przypatruje, i odwróciła się właśnie gdy na nią spojrział.

— Myślałam, że będę się mogła dziś z panem u nas przywitać — powiedziała. — A może nie był pan wcale ciekawy?

— Ciekawy? — spojrział na nią badawczo. — Nie określiłbym tego w ten sposób. Byłbym z pewnością przyszedł, lecz jestem bardzo zajęty, a poza tym — matka znowu miała ciężki atak.

— Ach, jakże mi żal! Ojciec mówił mi, że jest bardzo chora. Chętnie bym ją była odwiedziła. Przypuszcza pan, że poznałaby mnie?

Spojrział na nią, jakby się zastanawiając, podczas gdy ona nie mogła oderwać odeń oczu. Blask księżyca oświetlał ich delikatnie.

— Wątpię — odparł. — Pani tak wyrosła...

— Może byśmy poszli do niej?

— Teraz?

— Dlaczegoż by nie? Oczywiście o ile nie śpi. Nie jest wcale tak późno i mogę wrócić potem inną drogą.

— Zasypia dopiero, gdy ja jestem w domu — zapewnił Bruce.

— Zatem bardzo chętnie ją odwiedzę. Bruce spojrział raz jeszcze na wąwóz.

— Mogę później jeszcze raz tu wrócić — rzekł. — Pojedziemy tędy.

Skierowali się ku miejscu, z którego widać było wyraźnie światło w domu Landorów.

— Mam nadzieję, że pani nie przerazi się stanem mej matki — powiedział. — Jest porażona na skutek ataku. Może nie będzie nawet pamiętała pani imienia.

— Bardzo mi przykro — odparła Autumnna. — Była zawsze taka dzielna i pracowita.

Jechali obok siebie w świetle księżyca, pomiędzy niespokojnie poruszającymi się cieniami drzew i rozmawiali o przeżyciach, zaznanych po tym okresie, kiedy wspólnie uczęszczali do szkoły. Autumnnie było ciężko opowiadać o błahostkach, wypełniających jej umysł w ciągu lat, które Bruce poświęcił pracy, pragnąc odwdziżyć się matce za jej ofiarne trudy. Jak celowo umiał sobie urządzić czas, który ona zmarnowała!

Umilkli dopiero, dojechawszy do długiej, wysadzonej włoskimi topolami alei wiodącej do domu Landorów. Bruce jechał jakby się ociągając i wydawał się głęboko zamyślony. Autumnna doznała jakiegoś dziwnego niepokoju, ogarnęło ją przeczucie czegoś niedobrego. Przypomniała sobie, że jeszcze będąc małą dziewczynką zawsze lękała się Janiny Landor, chociaż nie umiała sobie nigdy wytłumaczyć tego strachu. Tam za oświetlonymi oknami leżała bezbronna kobieta, której przykre usposobienie tylekroć ją zrażało. Obecnie nie odczuwała jednak obawy, raczej współczuła głęboko kobiecie, której energię życie zdołało złamać. Gdy Bruce zsiadł z konia przed bramą i wyciągnął do niej rękę, podała mu dłoń i zeskoczyła. Zawahała się.

— Proszę poczekać — szepnęła, gdyż przyszło jej na myśl, że nie powinna odwiedzać o tej porze Janiny Landor.

Uśmiechnął się i położył na jej dłoni drugą rękę, jakby w obronie.

— Wydaje się pani taka zaniepokojona — powiedział i nachylił się ku niej. Uczuła zawrót głowy, podobnie jak wówczas gdy znalazła się sama w dzikim wąwozie, wchłaniając woń ziemi i poddając się pieścizocie wietrzyka.

— Nie jestem zaniepokojona, tylko tak mi jakoś dziwnie. Zaśmiał się dobrodusznie.

— Rozumiem to doskonale — rzekł. — Odczuwałem to już nieraz. To minie. Proszę, niechże pani wejdzie.

Weszła za nim do domu. W bawialni było ciemno, lecz światło padające z otwartych drzwi przyległego pokoju rzucało łagodny blask na staromodne umeblowanie.

Natychmiast odezwał się z głębi cichy i podniecony, niemal płaczliwy głos kobiecy:

— Czy to, ty Bruce?

— Tak, mam, przyprowadziłem ci gościa. Nastąpiło krótkie milczenie, a potem pytanie:

— Gościa? Któż to?

— Zgadnij — rzekł Bruce i wprowadził Autumnnę do przyległego pokoju. Janina Landor spoczywała w łóżku w pozycji półleżącej. U wezglowia paliło się światło ponad jej wynędzniałą i bladą twarzą. Autumnna spodziewała się wprawdzie, że zastanie ją

bardzo zmienioną, ale nie była przygotowana na to, co ujrzała teraz, w matowym świetle nocnej lampki. Cofnęła się więc przed tymi dzikimi czarnymi oczyma, które zwróciły się ku niej, gdy przestąpiła próg.

— Proszę się zbliżyć, bym mogła panią lepiej zobaczyć — powiedziała Janina Landor i usiłowała się podnieść.

Autumna podeszła do światła i uśmiechnęła się do chorej.

— Nie przypomina mnie sobie pani? — zapytała łagodnym i nieco niepewnym głosem.

Twarz Janiny Landor wykrzywiła się. Podniosła wynędzniałe ręce ku bladym policzkom i dyszała ciężko.

— Ty, ty! — krzyczała — Millicent Odell! Wypędź ją, Bruce! Wypędź ją!

Wrzeszczała histerycznym głosem, przysłaniała dłońmi oczy i osunęła się z płaczem na poduszki. Bruce objął ją ramieniem i starając się ją uspokoić mówił:

— Mamo... Mamo, to Autumna Dean. Nie pamiętasz Au-tumny? Wróciła właśnie do domu.

W świetle rysy jego wydawały się zmienione.

— Wypędź ją, mówię ci — domagała się gwałtownie Janina Landor. — Odellowie sprowadzają śmierć!

Uczepiła się Bruce'a, który na próżno usiłował ją ułagodzić, podczas gdy Autumna wymknęła się przerażona z pokoju i uciekła z domu Landorów cała drżąca.

## ROZDZIAŁ PIĄTY

Śniadanie w domu Deanów było zawsze czymś uroczystym. Zdaniem pana domu ten, kto nie potrafił godnie rozpocząć dnia, mógł w ogóle nie wstawać z łóżka.

Tego ranka Jarvis Dean siedział obok córki w dobrym humorze na swym zwykłym miejscu, naprzeciw starej Anny. Anna Stewart siadywała zawsze do stołu z rodziną Deanów.

Zwyczaju tego przestrzegano od dwudziestu lat, czyli od śmierci pani Dean, chyba że byli goście. Dopóki Autumnna była mała i trzeba się było nią zająć, obecność Anny przy stole była konieczna, a potem gospodyni tak się już zżyła z rodziną, że było nie do pomyślenia, by miała jadać oddzielnie.

Anna uprzątnęła różne papierowe ozdoby, którymi poprzedniego wieczora przystrojono jadalnię do tańca. Pokój odzyskał tym samym dawną surową prostotę. Tutaj przynajmniej życie wróciło na dawne tory. Autumnnie zdawało się, że złośliwy los umyślnie roztoczył przed jej oczyma ten obraz spokoju, by uniemożliwić jej rozwikłanie pytań, gnębiących ją przez całą bezsennie spędzoną noc. Wróciła do domu od Landorów i rozmawiając z gośćmi ojca miała wrażenie, że ciąży na niej jakieś przekleństwo. Pozostawała pod ponurym urokiem tej sceny, która wydawała jej się jakimś gorączkowym snem. A gdy wszystko się skończyło i ostatni goście odeszli, pobiegła do swego pokoju i leżała, nie zmrużywszy oka do rana.

— Zdaje się, że ta wczorajsza historia zanadto cię zmęczyła — powiedział stroskany ojciec, przyglądając jej się badawczo. — Wyglądasz na znużoną.

— Nie spałam dobrze — przyznała Autumnna — będę się czuła lepiej, gdy wypocznę.

Przyznała się ojcu tylko do samotnej konnej przejażdżki w świetle księżyca. Nie mogła się zdobyć na to, aby mu wspomnieć o okropnej wizycie u Landorów.

— Nie wiem, co się dzieje z tymi dzisiejszymi kobietami — ciągnął dalej Jarvis Dean. — Za moich czasów młoda dziewczyna mogła przetańczyć całą noc i następnego ranka zabierała się do pracy zupełnie świeża. Teraz kobiety są do niczego.

Stara Anna pokręciła nosem.

— Nie uważam, aby mężczyźni mieli się dziś czym chwalić.

Pan domu uśmiechnął się.

— Istotnie. Są słabsi, a mają o sobie jak najlepsze wyobrażenie.

— Trudno jest mierzyć terażniejszość miarą przeszłości, ojczy — wtrąciła Autumnna.

— Słusznie, dziecinko, to też prawda. Czas zmienia ludzi. Gdy byłem młody, prowadziło się ciężkie życie, które zrobiło z nas twardych ludzi.

— Trzeba by jeszcze czegoś więcej aniżeli takiego ciężkiego życia, by zrobić coś z młodego Paara — oświadczyła Anna.

— Nie można tak mówić — sprzeciwił się Jarvis. — W żyłach tego chłopaka płynie dobra krew. Jego ojciec pochodzi z zacnej rodziny.

— Na świecie jest pełno głupców, którzy mają dzielnych ojców — upierała się Anna.

— Racja — przyznał Jarvis i roześmiał się.

— Trzeba zawsze dwojga dla spłodzenia doborowej trzody.

— Czy będziesz dziś potrzebował samochodu, tatusiu? — zapytała nagle Autumnna.

— Nie, pozostanę do wieczora w owczarniach. Czy jednak nie dość wędrowałaś po świecie, aby trochę posiedzieć na miejscu?

— Mam w mieście sprawunki do załatwienia — odparła. — Pojadę zaraz i wnet wrócę.

— Nie ma powodu do pośpiechu — zwrócił jej uwagę starzec. —  
Prowadzisz samochód jak szalona.

Autumna zaśmiała się.

— Oszalałabym z pewnością, patrząc, jak ty kierujesz.

— Niemożliwa jesteś — mruknął Dean. — Ale nie odziedziczyłaś tego  
po mnie.

— Nie — rzekła Anna. — Po panu nic. Wdała się w matkę i nie można jej  
z tego powodu czynić wyrzutów.

Jarvis Dean patrzył w milczeniu przed siebie, gdy gadatliwa staruszka  
opowiadała szczegółowo jak Millicent jeździła na łowy na lisy, wówczas  
kiedy Cornwallowie z zamku Ashcorft urządzali jeszcze słynne  
polowania.

Autumna słuchała z ciekawością i byłaby o niejedno jeszcze zapytała,  
gdyby nie to, że ojciec coraz bardziej marszczył czoło.

— No, dość już tego — powiedział tak zirytowanym głosem, że Anna  
natychmiast umilkła.

Śniadanie skończyło się.

— Zbierz się zatem — polecił Autumnie, gdy wstali od stołu. —  
Samochód zaraz zajedzie.

Domyśliła się, że nie chce jej zostawić z Anną sam na sam. I ubierając się  
w swym pokoju do wyjazdu słyszała, jak ojciec surowo łąał Annę.

Hektor Cardigan lękał się po prostu jaskrawego światła dziennego, toteż  
promienie słoneczne, wciskające się do jego bawialni poprzez ciężkie  
firanki, wydawały się Autumnie mackami, ciekawie badającymi grób  
przeszłości. Siedziała w wygodnym fotelu Hektora, trzymając w ręku  
szklanekę herbaty z lodem. Zmrużyła oczy pod wpływem tego nie-  
dyskretnego promienia słońca.

Hektor podał jej zimny napój i stał teraz zwrócony plecami do otwartego  
kominka, w którym tliło się jeszcze zarzewie porannego ognia. Autumna  
mieszała herbatę i kawałki lodu cichutko dzwoniły o szklanekę.

Przypomniała sobie wyraz twarzy Hektora i jego zachowanie się, kiedy  
otworzył jej przed kilku minutami drzwi swego domu. W jego oczach  
przejawiała się lekka troska, jakby od pewnego czasu żył w obawie  
jakiegoś nieszczęścia i lękał się, że ono właśnie teraz się zdarzyło.

Ale to właściwie było u Hektora zwyczajne. Uderzyło ją raczej, że przez chwilę zatrzymał się i przyglądał się jej w milczeniu, jakby oczekując czegoś z niecierpliwością i niepokojem. Wreszcie, chrząknawszy z zakłopotaniem, zaprosił ją, by weszła. Potem zaproponował jej orzeźwiający napój, którego przygotowanie, jak zauważyła, zajęło mu znacznie więcej czasu, niż było potrzeba. Obecnie jednak odzyskał dawny spokój i stał z rękami założonymi do tyłu. Stawy jego palców, ściskane dłońmi drugiej ręki, wydawały suchy, cichy trzask.

— Przyszłam, Hektorze, gdyż chcę z tobą pomówić — powiedziała szczerze. — Czy masz coś przeciwko temu?

Hektor uśmiechnął się do niej.

— O ile pamiętam, zawsześmy się dobrze rozumieli.

— Wówczas byłam jeszcze dzieckiem, Hektorze.

— Tak, tak. Nie rozpatrywałem nigdy naszej... naszej przyjaźni, jeśli wolno mi się tak wyrazić, pod tym kątem widzenia. Przyznaję.

— Nie jestem już dzieckiem, Hektorze.

— To prawda, kochanie. Muszę ci jeszcze powiedzieć, że nigdy nie umiałem rozmawiać z kobietami.

— W tym wypadku wcale o to nie chodzi, Hektorze. Nie przyszłam tutaj na pogawędkę.

— Hm, no tak... oczywiście...

— Chciałabym zadać ci kilka pytań.

— Nie mogę przyrzec stanowczo, iż będę mógł odpowiedzieć na każde pytanie, jakie mi zada młoda panna. Chyba to zrozumiesz?

Autumna nie potrafiła rozstrzygnąć, czy jego odpowiedź jest wykrętem, czy tylko usprawiedliwianiem się.

— Na te pytania, które mam na myśli, możesz odpowiedzieć, Hektorze, to wiem na pewno.

Wypiła herbatę i odstawiła szklankę.

— Odwiedziłam wczoraj w nocy Janinę Landor — zaczęła.

— Myślałem, że sama urządzałaś zabawę.

— Wymknęłam się na godzinę i pojechałam konno aż pod dom Landorów. Tam spotkałam Bruce'a, który zabrał mnie do swej matki.

— Rozumiem. Pozwolę sobie jednak zauważyć, że to trochę dziwne postępowanie jak na gospodynię.

— Przypuśćmy... Otóż widziałam Janinę Landor...

— I... mówiłaś z nią?

— Zdaje się. Nie pamiętam już nawet. Chcę cię tylko zapytać o znaczenie słów, które do mnie wyrzekła.

Hektor poruszył się niespokojnie.

— Biedna Janina jest zupełnie nieodpowiedzialna za to, co teraz mówi, dziecinko. Podobno jest już niespełna rozumu.

— Nie zamierzam jej pociągać do odpowiedzialności za to, co mówiła.

Chcę tylko wiedzieć, co znaczą jej słowa, nic więcej.

— Hm... hm... więc cóż ona mówiła?

— Kiedy weszłam z Bruce'em do pokoju, zachowała się jak histeryczka. Oświadczyła Bruce'owi, że jestem Millicent Odell i zaklinała go, by mnie wypędził.

— I to wszystko?

— Nie. Gdy wychodziłam powiedziała: „Odellowie sprowadzają śmierć!”

— I co jeszcze?

— Nic! Wybiegłam i popędziłam do domu.

— No tak — zaczął z wahaniem — przeżyłaś istotnie dziwną przygodę, która mogła ci dać wiele do myślenia. Lecz jak ci już mówiłem, biedna chora...

— Biedna chora straciła rachubę czasu, ale nie wmówisz mi, Hektorze, że jej słowa nie mają głębszego znaczenia.

— W takim razie może lepiej byłoby, moje dziecko, abyś zadawała mi pytania, a ja się postaram, o ile możliwości, odpowiadać na nie.

— Jakiego rodzaju kobietą była moja matka? — zapytała ostro Autumnna. Hektor spojrzał na nią zmieszany.

— Twoja matka, dziecinko, była najpiękniejszą kobietą, jaką w życiu znałem.

— To słyszałam już przed wielu laty od Anny. Czy kochała mojego ojca? Hektor uśmiechnął się smutnie.

— Czyż można wiedzieć, co się kryje w sercu kobiety?

— Wiem, że mój ojciec ją kochał i kocha jeszcze dziś, po dwudziestu latach. Czy kochał ją poza tym jakiś inny mężczyzna?

Wszyscyśmy ją kochali, moje dziecko — odparł z westchnieniem Hektor.



Odwrócił się od niej i wziął do ręki poząłkłą kostkę, stojącą na kominku.

— Była jedyną kobietą, którą ja kiedykolwiek kochałem. Autumnna zamilkła na chwilę pod wrażeniem prostych

słów jego wyznania, jakby przez pokój przeszedł powiew przeszłości.

Kiedy jednak spojrzała na Hektora, zdawało jej się, iż zawsze wiedziała, że stary wojak żywił dla Millicent beznadziejne i romantyczne uczucie.

Starła się odzyskać równowagę.

— Czy Godfryd Landor kochał moją matkę? — pytała dalej.

— Nie wiem doprawdy, czy mogło być inaczej.

— Błagam cię, Hektorze, powiedz mi prawdę. Wiesz dobrze, o co mi idzie. Muszę się dowiedzieć prawdy.

Hektor Cardigan wstał niechętnie ze swego miejsca i usiadł w dużym fotelu naprzeciw Autumnny.

— Za moich czasów — zaczął — żyliśmy własnym życiem, jak umieliśmy, i nie myśleliśmy zbyt wiele o przeszłości. Ten kraj zamieszkiwali ludzie, którzy pozostawili przeszłość w starym świecie i chcieli rozpocząć tutaj nowe życie. Dlatego zrozumiałe jest, że czuję się trochę nieswojo wobec młodej panny, która wymaga ode mnie, bym jej powiedział, jakiego rodzaju kobietą była jej matka. Nie mogę się przyzwyczaić do terażniejszej młodzieży. Mogę ci jednak odpowiedzieć tak samo szczerze na twoje pytanie, jak otwarcie mi je zadałaś.

Powiedziałaś, że wiem doskonale, co twoje pytanie miało znaczyć. Tak, wiem i oświadczam ci, że Millicent Odell, późniejsza Millicent Dean była uczciwą, zadaną kobietą i że byłaby raczej umarła, aniżeli zła mała przysięgę wierności łączącą ją z Jarvisem Deanem.

Przerwał i spojrzał uważnie w oczy Autumnny.

— Czy to jest odpowiedź na twoje pytanie, moje dziecko?

— Częściowo...

— Myślę, że to wystarczy — zauważył Hektor — i wyznam ci, że...

— Przystąpmy do tego, co najważniejsze, Hektorze — przerwała mu Autumnna. — Ze słów, które Janina Landor wczoraj do mnie

wypowiedziała, widać długoletnią nienawiść do mej matki albo lęk przed nią. Zazwyczaj kobieta nie nienawidzi drugiej kobiety bez powodu i jeśli się go zacznie

szukać, to zawsze się okazuje, że idzie o jakiegoś mężczyznę. Nie można przypuszczać, by mój ojciec mógł być tym mężczyzną. Znamy go za dobrze. Chcę zatem wiedzieć, czy był nim Godfryd Landor.

— Zdaje mi się, że odpowiedziałem ci już na to, kochanie.

— Proszę cię, Hektorze — niecierpliwiła się Autumnna — powiedz mi, czy przypuszczasz, że Godfryd Landor zastrzelił się dlatego, iż zanadto kochał moją matkę, by móc żyć bez niej?

— Za późno jest, moje dziecko, o wiele lat za późno, aby odpowiedzieć na to pytanie. Miałbym dane, by tak przypuszczać, gdyż znałem Godfryda i wiem, że był uparty i romantyczny. Wówczas był jednak beznadziejnie zadłużony i na kilka dni przed tragicznym wypadkiem pił wiele. Jeśli się zważy te fakty, to równie trafny jak twoje przypuszczenie może być mój kąt widzenia tej sprawy.

— A co ty sądzisz?

Namyślał się długo, po czym zerwał się, wyprostował jak żołnierz i rzekł:

— Odmawiam odpowiedzi na to pytanie. W tych rzeczach człowiek honoru nie może przekroczyć pewnych granic. Muszę cię poprosić, byśmy na tym zakończyli naszą rozmowę.

Znaczenie jego słów było zupełnie jasne. Nie ulegało wątpliwości, że nic więcej nie powie. Z drugiej jednak strony jego zachowanie się też było pewnego rodzaju wyznaniem. Autumnna miała odpowiedź na swe pytanie. Nie chciała jednak rozstawać się z Hektorem w tym nastroju i zwróciła się doń z uśmiechem:

— Mam wrażenie, że niemal się gniewasz na mnie, Hektorze. Zresztą żadne z nas nie może zmienić tego, co zaszło. Pójdźmy lepiej do ogrodu. Pokażesz mi twoje kwiaty.

W starannie pielęgnowanym ogrodzie Hektora za domem rosły niebieskawe irysy, wysokie i nieustraszone, i piły światło słoneczne. Autumnna patrzyła na nie i rozpaczliwie usiłowała opanować wzburzenie własnych uczuć. Oczy Bruce'a Landora miały tę samą jasnoniebieską barwę.

## ROZDZIAŁ SZÓSTY

Bruce Landor przez cały dzień doznawał różnych sprzecznych uczuć. Chwilami był u szczytu marzeń, gdy sobie przypominał, jak Autumnna Dean spojrzała nań w czasie nocnego spotkania i gdy uprzytomnił sobie to szybkie, spłoszone spojrzenie jej jasnych szarozielonych oczu, spojrzenie, które wzburzyło mu krew w żyłach. Chwilami znowu zdawało mu się, że leci w przepaść, kiedy wspominał, jak ją odprawiono. Po odejściu Autumnny usilnie starał się matkę uspokoić i przekonać, że nie miała się czego lękać. Siedział jeszcze długo przy jej łóżku, nawet gdy już zasnęła.

Myślał o tym, że przez całe życie musiał znosić jakieś kaprysy matki. Ani jeden dzień nie obył się bez wybuchów jej zmiennego usposobienia. A zdarzały się one z lada powodu. Zaczęło się to, gdy miał osiem lat, a zatem przed dwudziestu laty, po owym wypadku ojca. Zrozumiał niebawem z całą swą chłopięcą rozwagą, że wybuchy jego matki chroniły ją od zamroczenia umysłu. Musiała darzyć Godfryda Landora niezwykle wielkim uczuciem, i Bruce wyczuwał, jakie to było dla niej straszne, gdy podczas spełniania domowych obowiązków przypominała sobie okropną scenę w samotnym wąwozie. Zdawało mu się, że widzi w duszy, jak matka odrywa oczy od ręcznej robótki czy od pracy przy grządkach i jak przed jej oczyma staje znów postać Godfryda Landora, leżąca twarzą ku ziemi w przejrzystym płytkim strumyku, podczas gdy jasne kamienie pod wodą zabarwiały

się na czerwono jak granaty. Z jego własnego serdecznego żalu zrodziło się dla niej dużo współczucia i cierpliwości.

Przez całe dwadzieścia lat Bruce nie słyszał nigdy z ust matki nazwiska Millicent Odell, aż dopiero nagle wczoraj w nocy. Wspomnienia o ojcu zacierały się już w jego pamięci. Przypominał sobie jednak jedno letnie popołudnie, które utkwilo w jego umyśle jak żywy sen. Pojechali wówczas razem do zarosłego brzoza w wozu i nabrali do kieszeni okrągłych kamieni z potoku, używanych później przez Bruce'a do procy, którą mu ojciec sporządził. Nie wiedział, dlaczego wyobrażał sobie tak często Millicent Dean i ojca jako przyjaciół. Niegdyś w przeszłości, którą sobie niewyraźnie przypominał, widział ich oboje jadących konno samotną ścieżką i ten widok utrwalił się w jego dziecięcej wyobraźni, tak że nie mógł myśleć prawie nigdy o jednym bez drugiego. Millicent Dean umarła wkrótce potem. Zapomniał, co matka wówczas mówiła, ale gorycz jej słów nie dawała mu spokoju i podniecała jego ciekawość co do stosunku, łączącego obie te kobiety.

I teraz, niemal po dwudziestu latach, Janina Landor wypowiedziała znowu nazwisko Millicent Odell z jakąś szaloną nienawiścią i rozgoryczeniem, których czas nie zdołał zatrzeć. Wiedział, że ostatnimi czasy matka odnosiła się do Jarvisa Deana z fanatyczną niemal pogardą. Bruce tłumaczył to sobie jednak nieprzystępną dumą starego farmera, który przez wiele lat mieszkał jak pustelnik w swym groźnym, zbrojnym w wieżyczki domu. Stosunek Jarvisa do świata był w ogóle wrogi — jak mówiono — a to od śmierci jego pięknej żony. Jeżeli Bruce'a dziwił fakt, że Dean nie chciał żyć z nim nawet na stopie sąsiedzkiej, to pocieszał się tym, że zgryźliwy hodowca owiec wszystkich traktował w podobny sposób i często w ogóle zdawał się nie spostrzegać ludzi.

Było jasne popołudnie. Wilgotne i miłe światło padało z zielonych pagórków na dolinę, w której skromny folwark Deanów starał się ukryć przed swym okazalszym sąsiadem, domem Deanów. Gałęzie starych wierzb płaczących schylały się ku swym własnym ciemnym cieniom jak nieustanny uroczy deszcz. Szpaler włoskich topól sterczał ku niebu jak szereg malarskich pędzli o zielonych koniuszkach i kołysał się szepczącym rytmem na całej przestrzeni od

zagród do domu Landorów. Na małej polanie, leżącej jak tarcza między domem a ciemnymi topolami, kwitły purpurowe, żółte i znowu purpurowe irysy Janiny Landor, z błyszczącą plamką słońca na każdym jedwabistym płatku. Bruce idąc z folwarku ku owczarniom pomyślał, że jego matka już nigdy nie będzie pielęgnowała tych grządek. Głosy robotników, beczenie owiec, szczekanie psów, wszystko to, sącąc się przez niebieski filtr powietrza, stawało się niezemskie.

Z szop dochodził turkot strzygących wełnę maszyn. Dwieście do trzystu owiec stało w zagrodzie, a robotnik na dany znak pędził je do szopy. To elita trzody Landorów, liczącej około trzech tysięcy zwierząt: duże, trzyletnie merynosy o bogatym runie, dającym przeciętnie ponad piętnaście funtów wełny. Była to jego trzoda doświadczalna, na której próbował wpływu lepszej paszy na wydajność i jakość wełny. Nie zniechęcały go do tych doświadczeń nawet żarty sąsiadów, którzy śmiali się z niego, mówiąc, że jest niepraktyczny i ma dzikie pomysły.

Wszedł za ogrodzenia, gdzie napełniano worki wełną. Po ostrzyżeniu jeden z folwarcznych ludzi chwycił przestraszone owce i znaczył je pociągnięciem pędzla umoczonego w farbie. Bruce stał obok i śmiał się z ogłupiałej miny jakiegoś barana o wielkich rogach, który wyrwał się na wolność, ograbiony z pięknego stroju i napiętnowany.

Tu robota szła jak się należy. Po wydaniu koniecznych zarządzeń Bruce poszedł na polankę z topolami i gwizdnął na swego konia. Pojechał na południe, do innego obozowiska. Nie zastał tam nikogo. Trzoda pasła się po stronie wschodniej, na granicy posiadłości Deanów. Wiedział o tym. Ujrzał teraz owce schodzące właśnie z pagórków. Pasterz spędzał je na noc do zagród.

Bruce okrążył stado i na jego tyłach spotkał się z pasterzem, który przy pomocy psa zganiał ociągające się owce i prowadził trzodę najkrótszą drogą do obozowiska.

— Jutro zabierzemy się do twego stada, Ned — powiedział mu.

— Dobrze, proszę pana, przyprowadzę je pierwsze. Bruce spojrzał na stado.

— Będzie im lżej, gdy zostaną ostrzyżone — rzekł. — Dziś po południu już było gorąco.

— To prawda. Jakiś czas trudno mi było oprzeć się senności.

— Czy nie widziałeś gdzieś tego wilka, który się tu wałęsał?

— Już się chyba nie pokaże, proszę pana — rzekł pasterz — te dwa strzały, którymi go przedwczoraj uraczyłem, omal go nie wyprawiły na tamten świat. Ale gdy pan o to pyta, przyszło mi właśnie na myśl, że jednak słyszałem coś dziś po południu na terenie Deanów. Zdaje się, że to było tam na dole w wąwozie albo dalej.

— Cóż takiego? — zapytał Bruce.

— Jakieś krzyki, jakby tych kotów, które spotyka się czasem w górach. Musiały to być raczej młode zwierzęta.

— Nie szukałeś, co to mogło być?

— Poszedłem aż do granicy Deanów, ale nic nie znalazłem. A jednak potem znowu dochodziły te krzyki.

— Kiedy je słyszałeś po raz ostatni?

— Tak przed godziną, zanim spędziłem owce. Miałem pójść tam wieczorem i zobaczyć, co to jest.

Bruce spojrział na granicę dzielącą jego posiadłość od majątku Deanów.

— Może wrócę lepiej tą drogą — powiedział, a potem jeszcze się zastanowił. Gdy był znacznie młodszy, przebąkiwano o upiornej otchłani zwanej wąwozem Landora. Zdaje się, że jego pasterz nie miał ochoty tak daleko się zapuszczać.

— Jesteś pewny, Ned, że słyszałeś jakiś krzyk?

— Tak, proszę pana. To było jakby kwilenie.

— Zobaczę, co to jest — powiedział Bruce i pojechał w tamtą stronę. U wejścia do wąwozu zeskoczył z siodła, podszedł powoli ku brzożom i pozwolił koniowi skubać swobodnie słodką, młodą trawkę. Przystanął na łagodnie wznoszącym się wzgórzu i nadśluchiwał. W powietrzu zastygło posepne milczenie. Nawet śliczne listki brzoż opadły w smutnej ciszy. Po krótkiej chwili usłyszał dochodzące spoza drzew ciche beczenie owcy. Bruce wiedział, że nie mogło to być jagnię z jego trzody. Ned był zanadto doświadczonym pasterzem, aby któraś z jego owieczek mogła się aż tu zabłąkać. A zresztą — ta żalosna skarga dochodziła od strony posiadłości Deanów, nic go więc nie obchodziła. A jednak zszedł z pagórka i zapuścił się między brzozy, aż znalazł się nad wąwo-

zem, potem szedł wzdłuż płytkiego potoku w dół, aż dotarł do znanego mu już w dzieciństwie fatalnego miejsca, które zapamiętał sobie przed wielu laty, a które odwiedzał czasami w latach ubiegłych, podczas ciepłej pory roku. Tu jeden z pasterzy znalazł leżące w płytkiej wodzie zwłoki Godfryda Landora.

Zawahał się i spojrzął wokoło. Promienie popołudniowego słońca były jak czysty bursztyń ubrany koronkowymi cieniami liści. Tutaj, jednego z takich dni, Godfryd Landor patrzył po raz ostatni na ukochany swój świat...

Bruce podniósł ze zdumieniem głowę, przestraszony dzie cięcym kwileniem. Opodał, koło brzóz, jakiś chłopczyk prowadził jagnię na sznurku. Początkowo Bruce nie wierzył własnym oczom. Lecz kiedy zawołał na chłopca, który zwrócił w jego stronę twarz i zaczął płakać, poznał kto to. Dzieciak był najmłodszym synkiem Toma Willmara, głównego dozorczy Janasa Deana. Wziął go natychmiast na ręce.

— Skądże się tu wziął, Simmy? — zapytał zaniepokojony. Simmy przytulił policzek do jego ramienia i wybuchnął głośnym łkaniem. Tymczasem jagnię położyło się między paprocie, rosnące po obu brzegach rzeki. Bruce roześmiał się i uściskał chłopca.

— Dokąd się wybierasz, Simmy? — pytał.

— Chcę wrócić do domu — szlochał Simmy — ja chcę do domu.

— Wierzę ci! Chodź, synku, zaprowadzę cię do domu — pocieszał go Bruce. Wziął jagnię pod pachę, a na drugiej ręce niósł dziecko. Skierował się ku drodze wiodącej wzdłuż brzóz i nagle ujrzał Autumnę Dean, która nadjechała z boczem pagórka od strony północnej. Zawołał na nią i czekał aż stanie obok niego.

— Gdzież pan go znalazł, panie Bruce?

— W wężozie. Omal nie pozostał tam na noc.

— Simmy, ty gałganie — powiedziała Autumnna, wyciągając doń ręce. — Chodź, kochanie, chodź!

Bruce oddał swój ciężar i stał obok z jagnięciem pod pachą. Autumnna otarła swą chusteczką oczy i policzki chłopca i całowała go, aby przestał płakać.

— Nie płacz, kochanie — pocieszała małego. — Autumnna zawiezie cię do domu.

Spojrzała na Bruce'a i zaśmiała się.

— Jagnię, które tak piastuje, to Mo-Mo. Pasterze powiedzieli Simmy'emu, że obetną dziś po południu Mo-Mo kawałek ogona i Simmy nie chciał na to pozwolić. Ten głuptasek uciekł, by ukryć Mo-Mo. Zdaje się, że dopiero po kilku godzinach zauważono, że go nie ma.

— Skąd pani wiedziała, gdzie go szukać? — zapytał Bruce.

— Zawdzięczamy to Dickowi. Zdradził nam, że widział, jak Simmy biegł w tym kierunku. Nasi ludzie przetrząsają jeszcze wzgórze. Ja też zaraz pojechałam na poszukiwania.

— Co do mnie, znalazłem się tu przypadkiem — wyjaśnił Bruce. — Jeden z moich pasterzy słyszał jakieś kwilenie. Pojechałem i...

— Simmy, ty głuptasku — łajała Autumna chłopca. — Bylibyśmy cię może nie znaleźli, gdyby nie pan Bruce...

Pieściła dzieciaka i uśmiechała się do Bruce'a.

— Podziękowanie należy się memu pasterzowi Nedowi — rzekł.

Postawiła dziecko na ziemi i odetchnęła z ulgą, patrząc na brzozy rosnące nad potokiem. Raptem niepokojąco żywo zarysował się przed nią jakiś kształt, jakaś barwa wyrosła z ciemnej tkaniny przeszłości. Wszak to był właśnie ów wąwóz, w którym przebywała nieraz przed laty, wbrew woli ojca.

— Bywałam tu często jako dziecko — powiedziała.

— Ja jeszcze teraz tu czasami przychodzę — wyznał z wahaniem Bruce. Autumna pożałowała swych słów. Oczy Bruce'a Landora stały się takie zamyślane, że odwróciła się zasmucona.

— Chodź, Simmy — rzekła — musimy iść do domu!

— Odprowadzę panią — ofiarował się Bruce. — Nie da sobie pani sama rady.

— Dziękuję panu — odparła i dosiadła konia. Posadziwszy chłopca przed nią, wziął jagnię na swego konia. Niebawem zjeżdżali powoli z pagórka ku drodze wiodącej w stronę farmy Deanów.

— Mam nadzieję, że pani postara się zapomnieć o tym, co zaszło zeszłej nocy — odezwał się Bruce.

Autumna zwróciła się ku niemu i próbowała się uśmiechnąć.



— Tego rodzaju rzeczy człowiek nie stara się zapomnieć, lecz usiłuje je zrozumieć — odparła.

— Oczywiście, że to byłoby lepiej — rzekł. — Przykro mi jednak, że tak się stało.

— Trudno, panie Bruce. Zresztą ja sama przecież chciałam pójść do państwa.

Jechali chwilę w milczeniu, po czym Autumnna spojrzała mu szczerze w oczy, mówiąc:

— Pan i ja wyrosliśmy razem niewiele o sobie wiedząc. Wczorajszej nocy długo nie spałam i zastanawiałam się, dlaczego matka pana nienawidziła mojej matki dwadzieścia lat, a może i dłużej. Zdaje mi się, że teraz już wiem. Spędziłam dziś godzinę u Hektora Cardigana.

— U Hektora?

— Tak. Czy nie pomyślał pan nigdy o tym, że rozgoryczenie pana matki... Zawahała się. Bruce wyręczył ją, mówiąc:

— ...mogło pochodzić z zazdrości.

— Nie przypuszcza pan, że ci dwoje — ojciec pana i moja matka — kochali się?

Bruce Landor zapatrzył się w dal i odrzekł:

— Zawsze łączyłem ich z sobą w myślach.

Niewiele już można było na ten temat powiedzieć. Jechali dalej świadomi wzajemnego zrozumienia, które znaczyło więcej od słów. Raz tylko Autumnna odważyła się spojrzeć na jego silne, opalone ręce i potężne ramiona. A on również raz jeden się odwrócił i ujrzał, że jej gęste, puszyste włosy rozluźniły się i opadły na ramiona, okalając zaróżowione policzki. Pomyślał, że barwa ich przypomina świeżo wyłuskany kasztan, lecz w świetle zachodzącego słońca miały kolor dojrzałej śliwki. Uczynił też spostrzeżenie, że Autumnna posiada morskie oczy, oczy rusalki, szarozielonkawe i błyszczące. Chciał jej to powiedzieć, lecz powstrzymał się.

W tejże chwili podjechał ku nim na przełaj przez pastwisko jakiś jeździec. Był to jeden z ludzi Jarvisa Deana, wysłany na poszukiwanie zabłąkanego Simmy'ego.

## ROZDZIAŁ SIÓDMY

Jarvis Dean siedział w swym ponurym gabinecie i palił cygaro. Na niskim stoliczku obok jego krzesła leżała do góry grzbietem obrócona duża książka otwarta na tej stronie, na której przerwał czytanie przed dwiema godzinami. Była piąta i światło słoneczne niedzielnego popołudnia padało długimi, skośnymi promieniami na ciemnozielony dywan, przykrywający podłogę. Gdy zegar na kominku wybił godzinę, zdawało się Jarvisowi, że się zdrzemnął. Nie przypuszczał nawet, że już może być tak późno. Zapewne wnet będzie kolacja. Dziwne, że Autumnna jeszcze nie wróciła do domu! Florian Paar przyjechał z Kelowny w odwiedziny na cały dzień i Autumnna pojechała z nim samochodem. Prawdopodobnie lada chwila wróca, będą popijali te okropne koktajle i zakłócali niedzielny spoczynek nedorzeczną paplaniną.

Trudno, młode pokolenie żąda swych praw. W gruncie rzeczy było to zupełnie naturalne. Ale perspektywa zepsutego wieczoru irytowała go. Nie zastanawiał się nigdy wiele nad młodym pokoleniem, dopóki Autumnna nie wróciła niespodziewanie i nie zawładnęła starym cichym domem z tą myślą widocznie, że należy on do niej. Nie mógł się nadziwić, jak szybko i całkowicie wzięła go w posiadanie. Nawet stara Anna dostosowała się w zupełności do tego, że Autumnna jest ośrodkiem i duszą nowego porządku domowego. To go prawdopodobnie drażniło. Nigdy nie pomyślał, że ktokolwiek na świecie mógłby uzurpować sobie prawo do zajęcia jego miejsca w tym domu, który dawał mu schronienie przez ćwierć

wieku prawie. A Autumnna nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, co uczyniła. Przysięgłby na to. Na pewno pierwsza oświadczyłaby uroczyście, że on jest nadal ciągle panem w swym domu i że jego słowo jest prawem. Była szczerą, o ile można było liczyć w ogóle na szczerą u tej nieodpowiedzialnej młodzieży, i była uosobieniem serdeczności. W czasie jej kilkuletniej nieobecności kochał ją głęboko, lecz to uczucie po jej powrocie tak dalece się wzmogło, że łzy stawały mu w oczach, gdy o niej myślał.

Tak, starzał się. Ale mężczyzna około sześćdziesiątki nie powinien się uważać za starego. Wszak trzymał się jeszcze prosto, wzrok miał taki dobry jak przed dwudziestu laty, a głos silny i dźwięczny. W pracy mógł się mierzyć z każdym. Śmieszne byłoby, gdyby się uważał za starego. Nie można przecie czuć się dlatego starym, że córka doszła już wieku, w którym ma własną wolę. Wróciła mimo jego wyraźnego życzenia, aby pozostała w Europie. Nie było to oczywiście po jego myśli, lecz musiał się z tym jakoś pogodzić, dopóki nie zdąży uporządkować swych spraw, by móc wyjechać z nią razem.

Właśnie dziś był bardziej niż kiedykolwiek zdecydowany, że muszą ten kraj opuścić. Zobaczył Autumnę w towarzystwie młodego Paara. Cóż to za dureń! Co ten stary Elliot zawinił, że nie potrafił wychować nic lepszego jak tego wartogłowa o zajęczym mózgu, Floriana. Rasa widocznie w tym wypadku schodzi na psy. I co się mogło w nim podobać takiej dziewczynie jak Autumnna? Florian nie był nawet właściwie nicponiem, był w ogóle niczym. Dlaczego, u licha, ta dziewczyna nie wyszukała sobie już dawno jakiegoś porządnego męża? Miał z tego powodu urazę do cioci Flory. Nie można było nigdy na nią liczyć. W każdym razie nie dopuści do tego, by jego córka wyszła za takiego Floriana Paara.

Doznał uczucia chłodu, gdy przypomniał sobie nagle Bruce<sup>^</sup> Landora. Zeszłej nocy widział Bruce'a i Autumnę, gdy wracali razem konno do domu, po tej głupiej przygodzie Willmara. Dlaczego ludzie nie uważają lepiej na swe dzieci! Dzisiejsi rodzice nie posiadają doprawdy żadnego poczucia obowiązku! Ale on już potrafi uważać na swe dziecko. Gdyby do czegoś przyszło, powie Autumnie zupełnie wyraźnie, że

Deanowie i Landorowie to dwa zupełnie różne światy i wtedy każde pójdzie swoją drogą. A gdyby to nie wystarczyło, posunąłby się jeszcze dalej. Ale po co irytować się przypuszczeniami? Usłyszawszy turkot motoru, który ucichł przed domem, wrzucił w ogień na wpół wypalone cygaro i podszedł do małego kredensu, wsuniętego w kąt pokoju. Nalał sobie spory kieliszek swej ulubionej szkockiej wódki i przed wypiciem potrzymał go przez chwilę pod światło. Potem zamknął kredens i przeszedł do swej sypialni na tym samym piętrze. Musiał się przebrać przed obiadem.

Florian Paar napełnił po raz drugi kieliszki i podał jeden z nich Autumnie. Był zadowolony z siebie. Spędził niemal całe piękne popołudnie z córką Jarvisa Deana i podziwiał, jak śmiało prowadziła samochód na zawrotnych drogach, którymi nigdy przedtem nie jeździł. Nasłuchiwał się przy tym jej wesołego szczebiotu, usiłując wtrącić tu i ówdzie różne uwagi o Londynie, Paryżu, mężczyznach i kobietach z wielkiego świata, z którym się musiał pożegnać, gdy ojciec oświadczył mu bez ogródek, że chcąc pozostać dłużej, musi płacić rachunki z własnej kieszeni. Dla Floriana była to przemiła wycieczka. Miał wrażenie, że odwiedził jakiegoś dobrego przyjaciela.

Kiedy siedział w samochodzie obok Autumny, wydawała mu się piękną, lecz nigdy nie widział tak czarującej kobiety jak ta, która stała teraz naprzeciw niego i trzymała w ręce napełniony kieliszek. Była otulona w błyszczącą białą jedwabną suknię, przylegającą do jej ciała i sięgającą niemal do ziemi. Spod sukni widać było wąskie koniuszki zielonych pantofelków wieczorowych, a na szyi miała platynowy łańcuszek z dużym szmaragdem, który otrzymała — jak powiedziała Florianowi — od ojca, gdy skończyła dwadzieścia jeden lat.

Podniósł również kieliszek w jej stronę i uśmiechnął się.

— Pani może pić zdrowie, jakie zechce — rzekł — a ja piję zdrowie królowej gór.

— Królowe wyszły już z mody, Florianie — powiedziała. — Wcale mi to nie pochlebia.

— Proszę wybaczyć — usprawiedliwiał się z ukłonem. — Więc może zgodzimy się na księżniczkę. Księżniczki są jeszcze modne, prawda?

— Ale żyją na wygnaniu — zauważyła.

— Księżniczka pozostaje zawsze księżniczką — oświadczył i wypił jednym haustem kieliszek.

Autumna popijała koktajl i sięgnęła po papierosa do szkatułki stojącej na niskim stoliku z przyborami do przyrządzania koktajli.

— Wie pani — ciągnął dalej Florian, odstawiając kieliszek — ciągle mi się zdaje, że pani kontynuuje legendę swej matki i babki. Musiały to być istoty wzbudzające wielką miłość, jeśli pozostawiły po sobie taką tradycję.

— Były bardzo urocze i namiętne — rzekła Autumna.

— Urocze i namiętne — powtórzył Florian i dodał:

— Mój ojciec często mi opowiadał o matce pani. Zdaje się, że pani jest do niej bardzo podobna.

— Wiem niewiele o matce — odparła Autumna — tylko to, co mi o niej opowiedziano.

Podszedł do niej, wyprostował się i z wielką pewnością siebie zaczął mrużyć oczy: — Wydam się może pani zbyt popędliwy, lecz doświadczenie nauczyło mnie, że szczerść upraszcza ogromnie wszelkie sprawy.

Myślałem o nas. — O nas, Florianie? — uśmiechnęła się Autumna. — Przysięgłabym, że chce mi się pan oświadczyć.

— Właśnie — rzekł Florian. — Uważam, że jesteśmy dla siebie stworzeni. Roześmiała się lekko.

— Cóż za dziki pomysł, Florianie! Nie uważa pan, że te słowa są trochę zanadto oklepane?

— Możliwe — przyznał — ale nigdy nie były bardziej na miejscu. Oboje mieliśmy awanturniczych przodków. Jest w nas coś nieokielżnanego. Oboje jesteśmy — graczami. Lecz jeszcze nigdy nie brałem niczego tak poważnie. Pragnę się z panią ożenić!

Autumna nie mogła wątpić w jego szczerść. Zamyśliła się.

- Florianie — rzekła — pan jest naprawdę miły i dobry. — Jakiś dziwny kaprys podszeptał jej słowa:

Powiem panu, że — dajmy na to — pomyślę o tym.

— Doskonale! — zawołał i objął ją niespodziewanie ramieniem. — Więc pozwala mi pani mieć nadzieję?

Parsknęła śmiechem.

— Ani mi się śni, Florianie. Odrzucam pańską propozycję! Jego poważny nastrój rozwiął się. Sytuacja bawiła go.

Uśmiechnął się i cofnął o krok. Pierwszy raz oświadczył się pannie o rękę, a ona wyobraża sobie, że wolno jej zakpić sobie z niego? I to jeszcze córka Jarvisa Deana, w którego rodzinie było tyle ciemnych historii. Ale to właśnie dodawało smaku jego zamiarom. A zresztą — co tu dużo gadać — zadurzył się w tej dziewczynie!

Nagle zasepił się znowu, a jego usta utworzyły wąską, zaciętą linię.

— Daję pani czas do namysłu, Autumnno — powiedział ze sztuczną wesołością. — Gdy będziemy znowu sam na sam, powiem pani, jak panią kocham.

— I jakże to pan mnie kocha, Florianie? — zapytała nieco ironicznie. Florian zbliżył się do niej i chwycił ją za rękę. Autumnna zmieszała się jego bladością.

— Proszę nie udawać — powiedział. — Wszak pani wie, że natrafiła pani na kogoś, kto jest pani równy odwagą i pogardą życia. Wyjdzie pani za mnie, bo... bo możemy się zmierzyć oko w oko.

Puścił ją i odwrócił się od niej, gdy na schodach dały się słyszeć kroki Jarvisa Deana. Autumnna powitała ojca, wołając:

— Chodź tu, tatusiu! Właśnie Florian oświadczył mi się. Uśmiech rozpromienił rysy Jarvisa Deana.

— Florian może być spokojny i zadowolony, dopóki go nie przyjmiesz.

— Zdaje się, że to koktajle winne są temu wszystkiemu — zaśmiała się Autumnna.

— Dobra kolacja naprawia tę całą historię powiedział pan domu, podając Florianowi rękę. — Jak się masz, chłopcze?

— Świetnie — odparł Florian. — Mam nadzieję, że pan nie ma nic przeciwko temu, że się oświadczyłem Autumnnie. Nie mogłem inaczej!

— Ależ nic, kochany panie. Moim zdaniem nie jest ona w tych sprawach taka niedoświadczona. Potrafi sama na siebie uważać.

— To prawda — mruknął Florian. Wcale nieźle się z tego wykręciła. Czy mogę panu służyć koktajlem?

— Nie — odrzekł Jarvis — jestem człowiekiem rozsądnym i zbyt szanuję swój żołądek, by go maltretować tym diabelskim trunkiem.

Florian roześmiał się i napełnił swój kieliszek.

— Ojciec kazał się panu kłaniać i cieszyłby się bardzo, gdyby pan zechciał nas wkrótce odwiedzić.

— Bardzo rad bym go zobaczyć — rzekł Jarvis.

— Zaprosiłem Autumnę na polo pod koniec tygodnia. Czy nie mógłby pan...

— Jeszcze nie. Jeszcze nie tak prędko! — odparł Jarvis. — Mam o tej porze roku dużo pracy. A zresztą wy młodzi będziecie się lepiej bawić, gdy nie będzie wśród was za wielu starych nudziarzy.

Wysunął naprzód siwą głowę, jakby chciał okazać zainteresowanie dla projektów i planów tej młodzieży. Ale umysł jego był zupełnie gdzie indziej i nie brał udziału w rozmowie. Autumnna pomyślała, że to samo zmuszanie się do towarzyskiego życia widziała u ludzi głuchych i niewidomych.

— Chcesz tylko, ojczy — złążała go — byśmy ci powiedzieli, że jesteś najprzystojniejszym i najbardziej fascynującym dżentelmenem w całej okolicy i że bez ciebie w żadnym towarzystwie nie ma kompletu.

W jego oczach ukazały się na chwilę ogniki zadowolenia.

— Może pojedę z tobą — rzekł pojednawczo. — Zobaczymy, jak się praca za tydzień ułoży. Spędziłbym chętnie dzień z Elliotem Paarem. W drzwiach ukazała się stara Anna i poprosiła na kolację.

## ROZDZIAŁ ÓSMY

Niebo przed wieczorem było na zachodzie zachmurzone i pokryte kłębowiskiem purpurowych chmur, niosących burzę. Brzęczenie owadów i wilgotne, przepojone zapachem kwiatów powietrze, zapowiadały deszcz. W odległości dziesięciu mil na wschód od farmy Autumnna, znalazłszy się na zarosłym trawą pagórku, zeskoczyła z konia i pozwoliła mu paść się swobodnie, sama zaś przystanąła i patrzyła w dolinę. Przeszło siedem tysięcy owiec, w stadach po tysiąc dwieście sztuk, schodziło w świetle zachodzącego słońca po stokach, spadających w doliny jak czerwone miękkie kaskady. O świcie pasterze wypędzili je z owczarni w góry, aż do granic wiecznego śniegu, w nieustannym, samotnym poszukiwaniu pastwisk. Teraz spędzano je stadami na dno doliny na odpoczynek, będący zakończeniem pierwszego dnia wędrówki. Następnego dnia o świcie trzody ruszą znowu i powoli, z niezmierną, ufną cierpliwością pójdą coraz dalej aż po kraniec horyzontu. Gdy Autumnna patrzyła na szarobiałą żywą falę, uczuła w duszy dziwną, nie nazwaną tęsknotę, jakby atawistyczne wspomnienie przeszłości, świadomość zamierzchłych wieków, gdy pierwotny człowiek również pędzi! swe trzody w góry, idąc za głosem tego samego nieubłaganego nakazu. Niewysłowione wzruszenie chwyciło ją za gardło i nie mogła oderwać wzroku od tego powolnego, srebrnawego nurtu życia, tej rosnącej, niepowstrzymanej fali trzody, która jak senny majak zlewała się w jedność.



Po tamtej stronie pagórka, poprzez dolinkę zabrzmiał teraz czysty, miły dźwięk dzwonka. Autumnie zdawało się, że dźwięk stał się niemal widoczny, że płynie jak srebrna bańka poprzez różową kopułę milczenia, trwając jakiś czas, a potem zapadając się w nieskończoność, skąd przyszedł.

Dźwięk baskijskiego dzwonka!

Gdy tego rana przypatrywała się pracownikom ojca, przygotowującym się do odejścia, zrodził się w jej głowie dziwny pomysł. Przed tygodniem zaledwie zjawił się na folwarku dziewiętnasto- czy dwudziestoletni młodzieniec o tak oryginalnym wyglądzie, że wszystkie dzieci Willmara otoczyły go z nieukrywaną ciekawością. Przywędrował z Północy, z okolic bogatych w złoża sody i prosił o zajęcie jako pasterz. Był smukły, średniego wzrostu i nosił na głowie zsuniętą z czoła jakąś dziwną czapkę, odsłaniającą jego jasnoblonde włosy. Był ubrany w krótki, obcisły kabat, rodzaj, jak się Autumnie zdawało, ręcznie tkanego kaftana, o kolorze zgniłozielonym i tak krótkich rękawach, że odsłaniały czerwone kostki przegubów. Pod tym kabatem miał kraciatą koszulę, a tam gdzie się kabat rozchyłał, widać było jasnozielone szelki, podciągające wyszarzałe spodnie niemal pod same pachy, a odsłaniające za to gołe piszczele. Buty miał podkute, a na ramieniu kij z przytwierdzonym na końcu szarym tłumoczkim. Jarvis Dean, kierując się litością czy kaprysem, przeznaczył go na pomocnika starego Absoloma. Nazywał się Clancy Shane, lecz nadano mu zaraz żartobliwy przydomek „lunatyk”. Pod wpływem nagłego postanowienia Autumny pobiegła do domu i przyniosła baskijski dzwonek. Powierzyła go Clancy'emu Shane, który go zawiesił na szyi barana prowadzącego trzodę. A teraz z przeciwległych wzgórz, z przezroczystej dali, dochodził czysty dźwięk tego dzwonka. Przypomniał jej Bruce'a Landora, o którym myślała zresztą ciągle przez cały tydzień. Spotkała go u Hektora Cardigana, gdy poszła tam po dzwonek, i pamiętała, że wspomniała mu, jakie znaczenie Hektor doń przywiązuje. Dźwięk dzwonka wyczarowywał postać jej matki z mgławicy przeszłości. To był świat Millicent Odell, świat pionierów i mądrych budowniczych kraju — a teraz był to z kolei i jej świat. Nagle uradowała się z całego serca, że jest znowu w domu, gdzie życie ma jakieś znaczenie i jest głęboką harmonią.

Przez cały dzień była pod wrażeniem tego uczucia. Przez cały dzień w jej odczuwaniu rzeczy potężnych i żywiołowych tkwiła podświadoma myśl o młodym Landorze, jakby myśl ta, jasna i nieustanna, drzemała na dnie jej duszy, a teraz objawiła się w formie namiętnego oddania się otaczającym ją siłom życia. On tak samo jak ona był częścią tego życia, częścią istotną tego wiecznego współdźwięku. I nagle zrobiło jej się ciężko na sercu, ciężko a równocześnie błogo pod nieznośnym brzemieniem poznania tej prawdy o Brusie i sobie samej. Nie mogła się przed tym obronić. Cicha pieszczota wieczoru, łagodny szmer szałwi, żalosne kwilenie nocnego ptaka w pobliskim zalesionym wąwozie, lękliwe, słabe beczenie zabłąkanego jagnięcia szukającego matki, sielska piękność posuwającej się naprzód trzody, symbolu ludzkich walk i nadziei, symbolu samego życia, to wszystko zważyło się na nią i zniszczyło jej opór.

Wyrwała z ziemi kwitnące ziele szałwi i zaczęła je skubać. Uświadomiła sobie coś, co ją gnębiło i podniecało. Przez chwilę patrzyła jeszcze w dolinę, gdzie gromadziły się wieczorne cienie, po czym wyrzuciła z ręki szałwię, dosiadła konia i pojechała na zachód, w stronę farmy Landorów. Bruce Landor siedział w szałasie owczarza przy stole z prostych desek. Panowała tu teraz pustka, gdyż ludzie wyruszyli w góry poprzedniego dnia. Na stole stała zapalona lampa. Uporządkował chatę i zamierzał wrócić do domu. Układał papiery, które pilnie wertował, by obliczyć, ile w tym roku przyniosła wełna i porównać dochód z zeszłorocznymi przychodami. Bieżący rok zapowiadał się doskonale. Nagle zwrócił głowę ku drzwiom, gdyż zdawało mu się, że słyszy jakiś szelest. Na progu stała Autumn Dean w czarnym ubraniu do konnej jazdy, z czerwonym szalem na szyi. Matowe światło rzucało odblask na jej bryzowe buty. Trzymała w ręku kapelusz, włosy miała rozburzone wiatrem, a jej twarz odcinała się od ciemnego tła jak błyszcząca kamea. — Czy nie przeszkadzam? zapytała i weszła z wahaniem. — Powiedziano mi, że pan tu jest.

Bruce zerwał się śpiesznie i przysunął drugie krzesło. Zaczerwienił się i stojąc przed nią odgarniał z zakłopotaniem włosy.

— Ależ nie — odparł. — Traciłem właśnie czas na niepotrzebne obliczenia. Skąd się pani tu jednak wzięła?

Usiadła i rzuciła kapelusz na stół.

— Z gór — odrzekła. — Zjedliśmy wcześniej kolację i pojechałam konno, by się przyjrzeć odchodzącym stadom. Ludzie wyruszyli już dziś rano na hale. Wieczór był taki ciepły i przyjemny, że nie mogłam usiedzieć w domu. Dlatego przyszła mi ochota pana odwiedzić. Widzi pan... jestem ... śmiałą kobietą.

— Cieszę się, że pani przyszła. Czułem się dziś strasznie osamotniony. Wszyscy odeszli, a ja...

— Zdaje się, że dziś samotność daje się każdemu we znaki. Mnie dobił jeszcze dźwięk niesamowitego dzwonka.

— Jakiego dzwonka?

— Wszak pan wie, że Hektor podarował mi dzwonek. Dałam go młodemu irlandzkiemu pasterzowi, którego mój ojciec niedawno przyjął.

— Czyżby pani wysłała w góry baskijski dzwonek Hektora? Nie powinna mu się pani do tego przyznawać.

— Nie wiadomo. Myślę, że Hektor by to zrozumiał. Dzwonek nie był przecież po to zrobiony, aby wisieć w salonie.

— Ale to rzecz cenna. Na pastwisku przez całe lato...

— Na pewno nie zginie. Jest zaczarowany, Bruce. W każdym razie lubię myśleć o nim.

Bruce zapalił papierosa i Autumnna zauważyła, jakie miał kształtne i opalone ręce.

— Czy mogę też zapalić? — zapytała.

— Przepraszam — usprawiedliwił się. — Zdaje mi się, że pani jest jeszcze ciągle tą małą dziewczynką, którą niegdyś znałem.

— I o którą pan się bił z chłopcami? — zapytała, biorąc zaofiarowany jej ogień. — Tak.

— Będzie pan musiał o tym zapomnieć — rzekła. — Jestem już zupełnie dorosła.

— A może nie chcę o tym zapomnieć — powiedział szorstko.

— Dlaczego?

— Bo... bo nie mogę o pani jako o kobiecie zapomnieć od owego wieczora, gdy ujrzałem panią po raz pierwszy po powrocie. Bruce nachylił się lekko i spojrzał jej prosto w oczy. Schyliła głowę, a między jej brwiami zarysowała się bolesna linia.

— I to pana przeraża?

Podszedł do otwartych drzwi i patrzył w dal. Padał drobny jak mgła deszcz. Rzucił papierosa w wilgotną ciemność i patrzył na ogień, dopóki ten nie zagasł.

— Autumno — zwrócił się do młodej dziewczyny. — Żyła pani w świecie, w którym ubiegali się o panią mężczyźni umiejący się zalecać. Ja się wiele na tych rzeczach nie znam. Jeśli pani jednak mówię, że od owej pierwszej nocy nie byłem w stanie myśleć o niczym tylko o pani, to tak było dosłownie.

Spojrzała nań poważnie.

— Wyjechałam dziś wieczór dlatego, że nie myślałam o nikim innym tylko o panu — rzekła cicho. — Ale to mnie nie przerażało.

— Może myślałam o jeszcze jednej rzeczy.

— Wiem, Bruce.

— Oczywiście, że pani wie. Mówiliśmy przecie o tym. Nigdy się jednak nie dowiemy, czy to miłość była przyczyną tej tragedii przed dwudziestu laty. Może nikt tego nie wie.

— Wiemy, że oni się kochali, Bruce.

— I musimy raz na zawsze ustalić, jaki to może mieć wpływ na nasze życie. Co do mnie to rozprawiłem się z tym.

Odszedł od drzwi, oparł się o stół i spojrzał jej w oczy. Odwzajemniła w milczeniu jego spojrzenie. Następnie zerwała się i zaczęła chodzić po pokoju z rękoma w kieszeniach. Bruce przypatrywał się jej z nateżonym wyrazem twarzy. Gwałtowne i zręczne ruchy jej gibkiej postaci przypominały piękne zwierzę w klatce.

Wreszcie zatrzymała się przed nim.

— My oboje mamy przed sobą całe życie rzekła porywczo. — Głupio jest nawet pomyśleć, że mielibyśmy powodować się tragedią dwojga ludzi, których nawet dobrze nie pamiętamy. Oni żyli tak, jak chcieli, a ja pokieruję swym życiem tak, jak mam ochotę.

Odwróciła się od niego spłoszona i stanęła w otwartych drzwiach. Deszcz padał jej w twarz jak delikatny, szary welon. Nie poruszała się, gdyż czuła, że Bruce wstał od stołu i podszedł ku niej. Ujął jej rękę i ucałował miękką dłoń.

A potem chwycił ją za ramiona i odwrócił w ten sposób, że musiała na niego patrzeć. Odrzuciła w tył głowę i poważnie spojrzała mu w oczy. — Autumnno — powiedział — najdroższa Autumnno! Osunęła się w jego ramiona. I Bruce całował ją gorąco w oszołomieniu, które zdawało się spływać na nich oboje z otaczających ich cieni. Deszcz padał z wolna nad milczącą głębią ich pocałunków. Był to deszcz otulający błyszczącą siatką ich oczy i włosy, spajający ich w jedną, nierozzerwalną namiętność.

— Kocham cię, Bruce — mówiła stłumionym szeptem. — Tak bardzo... tak bardzo.

Przesuwała delikatnie wargi po jego oczach, opalonych policzkach, gdzie przy uśmiechu powstawały zagłębienia, po ustach i po szyi. Nagle Bruce oparł ręce na jej ramionach i wpatrzył się uważnie w jej twarz.

— Czy tak, by wytrwać przy mnie wbrew im wszystkim? — zapytał uroczyście. — To nie będzie łatwe, kochanie, przynajmniej z początku.

— Jestem dość silna, aby stawić czoło wszystkiemu... przy tobie, Bruce — odparła.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

Jarvis Dean czuwał jeszcze, jakkolwiek zazwyczaj spał już o tej porze od godziny. Wrócił z miasta i siedział w swym gabinecie przy kominku, czekając powrotu Autumny. Dziwny niepokój go ogarnął, gdy wrócił do domu i nie zastał córki. Autumnna potrafi przecież sama na siebie uważać. Musi się do tego przyzwyczać, że jest osobą dorosłą, która nie potrzebuje ojcowskiej opieki. Gdy jednak zaczął padać deszcz, wiszący już w powietrzu przez cały wieczór, począł się znów niepokoić.

Wreszcie usłyszał otwieranie drzwi, które przerwało te jego myśli.

Panująca w domu grobowa cisza i monotony plusk deszczu oszołomiły go tak, że zaniepokoiłby go każdy niespodziewany szelest. Gdy wstał teraz i szedł ku drzwiom, serce biło mu tak silnie, że chwycił się za bok i z trudem oddychał, ciężko sapiąc.

Autumna wbiegła w mgnieniu oka na górę.

— Dobry wieczór, tatusiu! — zawołała. — Myślałam, że się już położyłeś. Chyba nie martwiłeś się o mnie?

— Późno już — odparł. — Nie wiedziałem, czy się coś nie stało.

Nie gniewaj się — rzekła. Weszła do pokoju i zdjęła żakiet.

— Cieszę się, że jeszcze nie śpisz, ojcze. Tak przyjemnie jest tu przy ogniu.

Stanąła przed kominkiem i przygładziła włosy.

— Przebierz się lepiej upomniał ją ojciec. Jesteś zupełnie przemoczona.

— Tak źle nie jest — odrzekła. — Zaraz wyschnę. Nie mam jeszcze ochoty się położyć. Tak tu miło...

Usiadł z powrotem przy piecu.

— Gdzieś była? — zapytał.

— Objechałam połowę naszej posiadłości — opowiadała, uśmiechając się. — Wyjechałam wcześniej i pojechałam na wzgórze, by się przyjrzeć owcom. Już wnet dziesięć lat, tatusiu, jak je widziałam w takiej gromadzie. Było tak pięknie o zachodzie słońca i...

— Miałaś za wiele pracy — przerwał jej podrażniony.

— Chyba nie weźmiesz mi tego za złe — starała się go ułagodzić. — Nie jestem w takim humorze, żebyś mi uragał.

— W każdym razie przydałoby ci się to.

— Ależ bynajmniej — zaśmiała się i pocałowała go lekko w policzek. — Nie kłopotz się o mnie, tatusiu. Wiesz przecież, że nie zrobię niczego, co by ci mogło sprawić przykrość.

Jarvis poruszył się niespokojnie na krześle. — Jutro jedziesz do Kelowny do Paarów, prawda? — zapytał, by skierować rozmowę na inne tory. — A ty ze mną nie pojedziesz?

— Mam zbyt wiele roboty — oświadczył. — I po cni miałbym spędzać dwie noce poza domem, jeśli to nie jest konieczne. Najlepiej mi w moim łóżku.

— Może i ja tam nie zostanę przez niedzielę — odparła Autumnna. — Być może, że mnie wszyscy znudzą, jeśli są tacy jak Florian.

Jarvis uśmiechnął się.

— Mało ci na nim zależy, co?

— Tyle, ile na to zasługuje, ojczu. W ciągu ostatnich lat znałam tylu podobnych doń chłopców, że ten gatunek nie robi już na mnie szczególnego wrażenia.

— Nie ma czego żałować — zauważył Jarvis Dean. — Niewiele są warci. Autumnna spoglądała w płomienie. Poprawiła nogą na pół spalone polano i patrzyła na iskry, lecące w górę, do komina.

— Szczerze mówiąc, ojczu — rzekła w końcu — wróciłam do ciebie, by uciec przed tym wszystkim. — Kto nie jest do takiego życia stworzony, dla tego jest ono bez znaczenia. Ja jestem inna. Nigdy nie uświadomiłam sobie tego tak bardzo

jak dziś wieczór, gdy patrzyłam na idące w góry owce. Czułam się piekielnie osamotniona.

— I dlatego spędziłaś pół nocy na deszczu, aby się wyleczyć z tego nastroju.

— Nie — odrzekła Autumnna cicho. — Tylko wiedziałam, że cię nie ma w domu, więc pojechałam na farmę Landorów i rozmawiałam jakiś czas z Bruce'em.

Patrzyła na twarz ojca, gdyż chciała zobaczyć, jakie jej słowa wywrą wrażenie. Jego rysy nie zdradziły zupełnie tego, że słyszał, co mówiła, lecz zauważyła, że wyprostował się i jakby zeszywniał, a usta mu drżały nerwowo.

Wreszcie odezwał się, patrząc w ogień.

— Mam nadzieję, że to nie wejdzie ci w zwyczaj.

— Co, tatusiu?

— Wiesz, co mam na myśli, moja kochana. Nie chcę, abyś się przyjaźniła z Bruce'em.

— Czy masz coś przeciwko niemu?

— Co u licha! — wybuchnął Jarvis Dean. — Muszę się spowiadać przed własną córką? Nie wystarczy, jeśli wypowiem własne zdanie i zażądam, by je szanowano?

Wychylił się z fotela i oparł się na poręczach, jakby zamierzał wstać.

— Czas już iść spać. Nie mówmy już o tym dziś wieczór. Autumnna nie ruszała się. Patrzyła na ojca i czuła, że ogarnia ją gniew. Zaciskała ręce i starała się opanować głos.

— Nie zamierzam cię wcale wypytywać, ojcze, i dbam o twe zdanie więcej aniżeli o czyjekolwiek. Jeśli jednak cię pytam, co masz przeciwko Bruce'owi, to chcę otrzymać na to pytanie odpowiedź.

Gdy Jarvis Dean podniósł głowę po chwili milczenia, które wydało jej się nie do zniesienia, spojrzała w twarz postarzałego i zmęczonego człowieka. Przesunął ręką po czole i widziała, jak trudno mu było mówić. Nic mam nic przeciwko temu chłopcu rzekł. Wiesz jednak równie dobrze jak ja, że istnieją ważne powody, dla których wasze widywanie się nie jest pożądane.

Wiem, co masz na myśli odparła Autumnna. Zastanawiałam się już nad tym również i... mówiłam o tym



z Bruce'em. Nie można czynić Bruce'a odpowiedzialnym za samobójstwo jego ojca i uważam, że byłoby niesprawiedliwością, gdyby jakiegokolwiek piętno...

— Milcz — rozkazał nagle Dean. Autumnna zebrała całą energię.

— Jeśli chcesz koniecznie, ojczy, to dobrze — rzekła obojętnie. — Chciałam omówić z tobą to wszystko, ale widzę, że muszę zdecydować o mym życiu sama, bez twojej pomocy...

— Czy wiesz, że twoja matka i Godfryd Landor się kochali?

Jego twarz pobladła jak marmur i nawet oczy jakby zbieleły mu z gniewu.

— Wiem, ojczy — odrzekła spokojnie — i wiem, że Godfryd Landor zastrzelił się prawdopodobnie z powodu tej beznadziejnej miłości.

Mówiliśmy o tym z Bruce'em dziś wieczór.

— O tym... z nim... mówiłaś?

— Musieliśmy o tym mówić — wyjaśniła. — Kochamy się. Wyjdę za niego.

Jarvis Dean podniósł się powoli, jak groźna góra lodowa podnosząca chwiejny grzbiet z zamarzłych odmętów morza.

— Boże! — szepnął i osunął się na fotel. Broda opadła mu na piersi, a ciężki oddech konwulsyjnie wstrząsał chudym ciałem.

Autumna podbiegła ku niemu. Uklękła przy nim i objęła go ramionami.

— Tatusiu, na miłość boską, tatusiu — błagała, tuląc się doń — co ci jest? Podniósł drżącą rękę i położył na jej włosach. Jego wargi poruszyły się, jakby usiłował coś powiedzieć. Nie mógł jednak wyrzec słowa.

— Powiedz mi — nalegała Autumnna. — Co się stało? Oddychał ciężko, jakby się dusił i potrząsał głową.

— Nie możesz wyjść za niego — powiedział głucho. — Godfryd Landor nie popełnił samobójstwa.

Autumna odsunęła się od niego, lecz w jakimś bolesnym wzruszeniu nie była w stanie oderwać odeń wzroku. Zaczęła się domyślać okropnej prawdy.

— Ojcie... czyżbyś ty... czy to znaczy, że zabiłeś Godfryda Landora?  
Jej głos przeszedł w szept, który z trudem odrywał się od jej sztywnych warg.

Oczy starca były szeroko otwarte z przerażenia, jakby jakaś obca moc przeszła przez jego ciało i zabiła duszę. Jego wzrok był tak osłupiały i zrozpaczony, że wszelkie słowa były zbyteczne.

## ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

Krótki czas, jaki upłynął, zanim Autumnna usłyszała znowu głos ojca, wypełniony był niewypowiedzianą męką. Siedziała naprzeciw niego zacisnąwszy ręce i czekała, by wyrzekł jakieś słowo, które by rozwiało tę grozę. Widziała, jak blade wargi wykrzywiały się grymasem, obnażając zęby, jak gdyby to, co chciał jej powiedzieć, było zbyt okrutne, aby mogło być wypowiedziane, zbyt bolesne, ażeby mogło przejść z jego świadomości do pełnej grozy ciszy tego pokoju.

Usiłowała zdobyć się na odwagę; pochyliła się ku niemu i ujęła serdecznie jego rękę.

Powiedz mi, tatusiu — prosiła szeptem.

Jej dotknięcie zdawało się budzić znowu życie w wynędzniałej postaci. Widziała, jak usiłował ostatkiem sił wyprostować się w fotelu, przesuwając rękami po oczach, jakby chciał odświeżyć wspomnienia, a potem rzekł ledwie dosłyszalnie: Zemściłeś się, Godfrydzie... dopiero po tylu latach zemściłeś się.

Autumna zerwała się szybko, nogi się pod nią chwiały, lecz pobiegła do szafki w kącie pokoju. Ręce jej drżały, gdy mu nalewała pełny kieliszek, który przyniosła. Ku jej zdziwieniu siedział teraz prosto i rozglądał się wokoło błyszczącym, niemal dzikim wzrokiem. Na jego szorstkich policzkach widniały dwie czerwone plamy. Ponieważ nie wziął podanego kieliszka, Autumnna czekała, aż zacznie mówić. Cisza, paradoksalnie zdawała się dudnić od uderzeń jej serca.

Gdy nie mogła już dłużej czekać, przysunęła do jego ust kieliszek i namawiała go z dobrocią: „Napij się trochę, tatusiu”.

Odruchowo wziął kieliszek i wypił całą jego zawartość, spoglądając szklanym wzrokiem ciągle w jeden punkt.

— Dziękuję, moje dziecko, dziękuję — powiedział.

— Pomówmy o tym spokojnie, ojczy — rzekła Autumnna. — Potrafię cię zrozumieć.

Słuchała swoich słów, jakby je wyrzekł jej ustami ktoś inny, ktoś kto posiadał nadludzką siłę i równowagę umysłu, jakich ona sama nie miała. Oczy jego spoczywały na niej z wyrazem łagodnego smutku. Zdawało jej się, że patrzy na nią z zaświata i wzdrygnęła się. Podłożyła mu pod nogi poduszkę i znów usiadła, opierając głowę o jego kolana. Tak siedzieli i patrzyli w płomień, liżące w kominku wielkie polana, podczas gdy Jarvis Dean opowiadał o tragicznej przeszłości. Od czasu do czasu gładził włosy Autumnny, niekiedy bezwiednie kładł rękę na jej ramieniu, jak gdyby mówił sam do siebie i nie pamiętał o jej obecności. Nie przerywała mu wcale, siedziała tylko i patrzyła w ogień. Wydawało jej się, że każdy szczegół jego wyznania ożyje w płomieniach i stanie się widoczny.

— Twoja matka była syreną i aniołem — zaczął — tak jak w swoim czasie jej matka. W całym Okanagan mówiono o polowaniach twej babki. Sprowadzała już wtedy z Anglii psy do polowania i konie, które musiały objeżdżać przylądek Horn. Jej córka Millicent posiadała jeszcze więcej wdzięku. Musisz o tym pamiętać, jeśli chcesz zrozumieć i przebaczyć to, co ci teraz o twej matce opowiem.

Zawahał się i głos mu się załamał.

— Wzniecała uczucie w sercu każdego mężczyzny, który ją zobaczył — ciągnął dalej. — Tak było przed naszym ślubem, Autumnno, i potem.

Nietrudno mi to było zrozumieć. Przecież sam się w niej kochałem. I nietrudno mi też było zrozumieć, że po paru latach naszego małżeństwa wróciła znów do dawnej zalotności. Mężczyźni nie dawali jej spokoju. Widocznie nie mogli inaczej. Kochała mnie... nigdy o tym nie wątpiłem. Byłem jednak znacznie starszy od niej, a ona kochała życie, młodość i wesołość. Może moje zachowanie było zbyt poważne.

Westchnął, a Autumnna pogładziła pieszczotliwie jego kolana.

Nie brała na serio tych... tych przygód, jak je nazywała, i zawsze miała dość swych wielbicieli, skoro tylko urok nowości minął, a oni zaczęli brać te rzeczy poważnie. Była to z jej strony niewinna próżność, z którą się wcale nie kryła. Pragnęła być przez mężczyzn podziwiana, ale przede wszystkim szło jej o to, by wszyscy o tym wiedzieli. Nie byłaby jej cieszyła żadna tajemna miłośćka, ukrywana przed oczyma ludzkimi. Znowu się zawahał, podczas gdy zegar wybił późną godzinę. Była północ.

Wkrótce po twych narodzinach opowiadał dalej — przybył ze starej ojczyzny Godfryd Landor i kupił grunty przylegające do moich. Zналиśmy się jeszcze w Anglii jako młodzi chłopcy. Był młodszy ode mnie, jak się zdaje nicpoń, który się ożenił z kobietą w jego wieku, wierzącą, że potrafi coś z niego zrobić. Napisała do mnie i za moją radą przyjechali z Anglii tutaj. Zająłem się nim jak własnym bratem.

Jedno z wielkich polan w kominku rozpadło się trzeszcząc, a iskry posypały się do rozżarzonego popiołu.

Godfryd nigdy nie mógł usiedzieć na miejscu i był zawadiaką, ale miał dużo wdzięku. Millicent zakochała się w nim, a on w niej. Był to dla niej nowy rodzaj miłości, który ja jednak uważałem za jeden z przelotnych flirtów. Dopiero gdy zauważyłem, że nie zwraca nań uwagi przy innych ludziach, wyczułem, że to musi być coś innego. Dyskrecja to rys charakteru, którego u Millicent dotychczas nie znałem. A potem wyznała mi pewnego dnia, że kocha Godfryda.

Autumna słyszała, jak ręka ojca przesuwają się tam i z powrotem po poręczy.

Wówczas postradałem chyba rozum — mówił dalej po krótkim milczeniu. Wszak nie miało sensu jej wstrzymywać. Wiedziałem to dobrze. Byłem już dla niej obcy. Nie mogłem jednak pozwolić jej odejść. Miałem nadzieję, że odzyskam ją jakimś sposobem. Mijały tygodnie i wreszcie musiałem oswoić się z myślą, że wszystko jest daremne. Była dla mnie bardzo dobra, lecz niekiedy zapominała się i chodziła po domu jak we śnie. Czasem siedziała koło mnie przez cały wieczór i nie powiedziała ani słowa. Pewnego dnia zdobyłem się na odwagę i udałem się do Janiny Landor pod nieobecność Godfryda. Zapytałem, czy wie, co się dzieje

z Millicent i jej mężem. Zaprzeczyła wszystkiemu, choć musiała wiedzieć. Była za dumna, by się do tego przyznać. Sądzę, że postąpiłem trochę nierozsądnie. Powiedziałem jej, co myślę o kobietach, które nie potrafią utrzymać przy sobie swych mężów. Odrzekła mi na to, bym poszedł do domu i pilnował własnej żony. Wówczas mówiłem z Janiną Landor po raz ostatni. Rozmawialiśmy wprawdzie jeszcze później, ale tylko przez grzeczność, spotykając się w towarzystwie.

Jego głos stał się teraz bardzo cichy, lecz był zupełnie opanowany.

— Przyszła wiosna. Wiedziałem, że Millicent spotyka się z Godfrydem potajemnie, ale nie plotkowano o tym. Początkowo nic nie mówiłem. Później nie mogłem już tego dłużej znieść. Wówczas wydałem pewne zlecenia. Zacząłem więzić Millicent w jej własnym domu. Zabroniłem jej wychodzić poza obręb farmy, o ile nie była w moim towarzystwie. Może to było z mej strony szaleństwo. W każdym razie udaremniłem ich spotkania. Millicent nie oponowała przeciw temu. Gdyby chodziło o jakieś dziecinne flirty, umarłaby raczej, niżby mi ustąpiła. Ale to było co innego! Kochała i dlatego nie śmiała się sprzeciwić. Była posłuszna.

Wkrótce dowiedziałem się, że Godfryd pije i zaniedbuje pracę. Wszyscy na niego wygadywali. Kiedy znaleziono go później zastrzelonego własną bronią, od razu powstało przypuszczenie, że popełnił samobójstwo albo uległ wypadkowi.

Autumna załamała ręce ze wzruszenia.

— Pewnego razu szedłem drogą w północnym kierunku, by obejrzyć paści na wilki, które ustawiłem poprzedniego wieczora. Nie powiedziałem nikomu, że wychodzę, gdyż chciałem być sam w lasach i zastanowić się nad dręczącymi mnie sprawami. Była wczesna wiosna i szedłem piechotą. Wziąłem z sobą strzelbę, spodziewając się, że przy sposobności uda mi się upolować kuropatwę. Millicent bardzo chętnie je jadała. Było wcześniej po południu, gdy wyszedłem i obrałem drogę prowadzącą do obozowiska Absoloma, ale poszedłem przez ten wąwóz, do którego chciałaś wejść nazajutrz po twym powrocie. Na skraju lasu napotkałem dwie kuropatwy i zastrzeliłem je. Następnie poszedłem dalej i obejrzałem paści. Zastałem je puste i wróciłem tą samą ścieżką, którą przyszedłem. Kiedy znalazłem się znowu między brzoźami,

ujrzałem stadko piskląt kuropatwich, które biegły przede mną, chowały się między liście i napełniały kwileniem leśną ciszę. Domyśliłem się, że jest to potomstwo tej pary ptaków, które przed godziną schowałem do mej myśliwskiej torby. Dziś jeszcze pamiętam, jak mi się ich żal zrobiło. Milczał przez chwilę, westchnął głęboko i wydawał się niesłychanie znużony. Autumnna przysunęła się jeszcze bliżej i przywarła do jego kolan.

Nagle nadszedł Godfryd Landor rzekł w końcu Jarvis. Był widocznie pijany. Nie wiem, co go sprowadziło. Nie mógł się spodziewać, że mnie tam "spotka. Nikt nie wiedział, dokąd poszedłem. Wydawał się najpierw zdziwiony i spojrzał na mnie, jakby mnie nie poznał. Następnie zsiadł z konia i podszedł ku mnie. Zachowywał się wobec mnie tak bezczelnie, że straciłem panowanie nad sobą. Do śmierci i przez całą wieczność będę słyszał jego wyzywający śmiech. Próbowałem go uspokoić, gdyż widziałem, że jest pijany, ale to wzmagало tylko jego złość. Kiedy się odeń odwróciłem i zamierzałem odejść, wy dobył rewolwer. Powiedział, że nie może żyć dłużej bez Millicent i że jeden z nas musi umrzeć — on albo ja. Dopiero po chwili zrozumiałem, co chce przez to powiedzieć. Wyzywał mnie na pojedynek. Wyglądał wspaniale, jak młody bóg. Pouczał mnie chłodno i dumnie, co mam czynić. Ciągle jeszcze nie wierzyłem, że mówi poważnie. Nawet wówczas jego postępowanie wydawało mi się niedorzeczne. Lecz potem rzucił mi obelgę, która godziła nie tylko w mój honor, lecz ubliżała Millicent, i uderzyłem go. Uderzyłem go z całej siły. Chciałem go zabić. Podniósł szybko rękę tę, w której trzymał rewolwer przypuszczalnie, aby się zasłonić, a może chciał mnie zabić. Nie wiem, co zamierzał. Zobaczyłem, że pada na twarz, a równocześnie wypalił jego rewolwer. Usłyszałem stłumiony, krótki odgłos strzału. Spojrzałem nań i czekałem, aż wstanie. Nie wstał jednak. Ukląknę i odwróciłem go. Godfryd Landor już nie żył.

Autumna ukryła piekące oczy na jego kolanach, lecz nie mogła płakać. Nie wiem, co potem uczyniłem — ciągnął dalej Jarvis. Nic nie pamiętam. Zdaje mi się, że zawlokłem jego zwłoki ku rzece, by go ratować, jeżeli by to było możliwe. Przekona-

wszy się, że wszelka pomoc na nic się nie zda, pozostawiłem go nad wodą, z twarzą zwróconą w dół, z rewolwerem w ręku. Jego koń uciekł w dół strumienia, spłoszony wystrzałem. Rozejrzałem się wokoło i zacząłem się zastanawiać, co począć. W ciszy słychać było tylko pisk młodych kuropatw. Odwróciłem się i wybiegłem z wąwozu. Znalazłszy się w polu, na szczycie wzgórza, tam gdzie ścieżka skręca na wschód ku owczarniom, usiadłem i zastanowiłem się, co należy uczynić.

Uspokoilem się zupełnie. Niebawem zrozumiałem, że istnieje dla mnie tylko jedno wyjście. Gdybym był się zgłosił do władz i opowiedział dosłownie to, co zaszło, nie uwierzono by mi najprawdopodobniej. Nie dbałbym o to, jakkolwiek wówczas zależało mi na życiu więcej niż obecnie. Chciałem jednak zapobiec ujawnieniu tej całej sprawy, w którą była również wmieszana Millicent. Powszechnie przypuszczano, że moje małżeństwo z Millicent jest tak szczęśliwe jak poprzednio. Dlatego też postanowiłem ze względu na nią i na mnie wszystko zataić. Wróciłem do domu. Późno w nocy osiodlałem konia i pozostawiłem wiadomość, że udałem się do obozowiska Absoloma. Coś mnie ciągnęło na to miejsce, gdzie spotkałem się po raz ostatni w życiu z Godfrydem Landorem. Zdaje się, że miałem nadzieję, iż zastanę go jednak przy życiu. Nie wiem już dobrze, co myślałem. Pojechałem do wejścia wąwozu i przystanąłem, czekając jakiegoś szelestu, który by mi dodał odwagi. Nie usłyszałem jednak niczego prócz żalostnego kwilenia osieroconych kuropatw. Nigdy więcej tam nie poszedłem. Następnego dnia jeden z ludzi Godfryda znalazł jego zwłoki tam, gdzie je pozostawiłem. Poszedłem do Millicent tej samej nocy i powiedziałem jej, jak mi jest z tego powodu przykro. Płakała. Opowiedziałem jej dokładnie, co zaszło. Nie patrzyła na mnie. Powiedziała tylko: „Nie zdradzę twej tajemnicy, Jarvisie”. Zanim lato się skończyło, umarła na febrę.

Bezdzwięcznym głosem kończył tragiczne opowiadanie. Zgarbił się lekko i złożył dłonie.

— Teraz wiesz już, dlaczego nie chciałem, żebyś przyjeżdżała do domu

— rzekł. Nie chciałem, byś wracała... do tego.

— Nie masz się czego lękać, tatusiu - szepnęła Autumnna.

— Nie mam się czego lękać? Mój Boże! Godfryd Landor złamał mi życie. Nie wystarczyło mu to, że mi zabrał miłość



żony. Obarczył mnie jeszcze odpowiedzialnością za swą śmierć. Nie mogłem się nigdy z tym pogodzić. Nurtowało to mnie przez te wszystkie lata. A teraz mówisz mi, że chcesz poślubić Bruce'a, syna tego człowieka? To mnie zabije!

Polana rozpadły się w czerwonawy żar. Jarvis Dean opuścił bezsilnie głowę. Jego ręka, gładząca smutno włosy Autumny, zwiśla. Słyszała, że wypowiadał jakieś urywane, niezrozumiałe dla niej zdania. Usiłowała wstać, poruszyć się, lecz jej ciało było jak porażone. Nie mogła mówić, łzy nie chciały płynąć z jej wyschniętych oczu. Czuła tylko, że to odkrycie jest zbyt okropne, by znaleźć ujście w naturalnych łzach bólu. Była to tragedia łamiąca jej życie. Wstała jakby pod wpływem obcej jakiejś siły i wyciągnęła doń ręce.

— Pójdź, ojczy szepnęła od dziś wszystko musi być tak, jakby nic nie zaszło. Nie będziemy już o tym wspominali.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się smutnie.

— Moje biedactwo — powiedział, przesuwając dłoń po zmęczonych oczach — moja biedna mała Autumnno, nie widzę końca...

Podniosła dumnie głowę.

— Mylisz się, ojczy — rzekła. — Istnieje koniec i na to. Musiałam być dziś wieczór szalona, ale nie wiedziałam o tym.

Objęła go ramionami. Cała jej wrodzona duma i wierność przejawily się w tym gwałtownym uścisku. Gładził jej włosy, a jego wargi poruszały się bezdźwięcznie.

A potem pomogła mu wstać z fotela. Wyszli w milczeniu z pokoju.

Objęła go wpół. Jego ręka spoczywała ciężko na jej ramieniu.

## ROZDZIAŁ JEDENASTY

Tej nocy, która zdawała się nie mieć końca, Autumnna klęczała w ciemności przy oknie. Przypatrywała się gwiazdom, poruszającym się po miękkim, obmytym przez deszcz aksamicie nieba, aż czerwony żagiel zachodzącego księżyca zawisł na zachodzie. Wiedziała, że za godzinę zacznie świtać. Skostniała z zimna wsunęła się do łóżka. Gdy sen ją zmorzył, śniła, że Bruce Landor umarł i że ona w jakiś sposób przyczyniła się do jego zgonu. Obudziła się z mokrymi od łez policzkami w szarym, matowym świetle dnia. Sen był jednak tak żywy, że wtuliła się z powrotem w poduszki i wybuchnęła rozpaczliwym łkaniem.

Kiedy wreszcie wstała, by wziąć kąpiel i ubrać się, nie śmiała wyjrzeć oknem, za którym widziała w nocy czerwony, umierający księżyc. W swej rozpaczach lękała się, że księżyc, jako ponury symbol, nadal świecił na zachodzie, tam gdzie spał Bruce Landor. Pośpieszyła do łazienki, gdzie wzięła zimny, aż piekący natrysk, by umartwić swe buntownicze, nieposłuszne ciało.

Autumna spotkała się z ojcem przy śniadaniu. Była na pozór tak świeża i radosna jak stokrotki i pierwiosnki, którymi Anna ozdobiła jadalnię. Włożyła kostium z jasnoniebieskiej wełny i białą batystową bluzeczkę z falbankami, którą już raz poprzednio Jarvis pochwalił.

— Wybieram się do Kelowny, tatusiu rzekła. Chciałabym, żebyś ze mną pojechał. To by ci na pewno dobrze zrobiło.

Spojrzał na nią ze zdziwieniem.

— Myślałem, że chcesz pojechać dopiero po południu — powiedział.

— Tak, ale rozmyślałam się — odparła.

Anna przyniosła dymiącą kaszę. Podczas gdy staruszka krzątała się przy stole, Autumnna spojrzała ukradkiem na ojca. Na jego twarzy widać było ślady bezsennej spędzonej nocy. Oczy miał podkrążone, a surowe usta utworzyły bolesną linię. Zachowanie się jego nie zdradzało jednak w niczym tego, co tej nocy przecierpiał.

Spojrzał na Annę zasepionym wzrokiem.

— Nie zapomniałaś posolić kaszy? — zapytał z sztuczną surowością.

Anna nie przejęła się tym i odparła pogardliwie:

— Sól powoduje zwapnienie arterii. Dla pana jest dość soli w kaszy. Autumnna roześmiała się, a Jarvis westchnął cierpliwie. Rozmawiano jak co dzień: o folwarku, dzieciach dozorczy Willmara i o tym, jakie będą zbiory owoców i siana. Gdyby nawet Autumnna nie cieszyła się dotąd z obecności Anny w ich domu, to teraz była wdzięczna poczciwej i wiernej kobiecie, która siedząc z nimi przy stole pomagała im przetrwać przykre chwile.

Zaraz po śniadaniu Autumnna poczyniła przygotowania do podróży. Nie namawiała już ojca, by z nią pojechał do Kelowny. Tylko na pożegnanie objęła go w milczeniu za szyję.

— A teraz głowa do góry, tatusiu! — szepnęła. Uśmiechnął się do niej z wysiłkiem. Poklepała go po

ramieniu jak kolegę. Gdy jednak ujrzała wyraz jego ciemnych oczu, zamglonych łzami, musiała odwrócić głowę.

— Do widzenia! zawołała i wskoczyła szybko do samochodu.

— Uważaj na siebie — upominał ją stłumionym głosem — i nie jedź zbyt prędko. Baw się dobrze...

— Do widzenia! — Skinęła mu ręką na pożegnanie i uśmiechnęła się przez łzy. Jego zgarbiona postać chwyciła ją za serce tak, że ujechała już kawałek drogi, zanim przypomniała sobie postanowienie tej nocy.

Niecierpliwie otarła łzy z oczu. Nie, tak dłużej być nie mogło!

Nie zważając na upomnienia ojca jechała z beztroską prędkością po pełnej zakrętów drodze. Nie dostrzegała piękności poranka ani polnych kwiatów pachnących w górach i wąwozach. Tam gdzie słońce nachylało się nad łagodnym wzgórzem, błyszczały pod rosą jak pod kryształową kopułą jaskry, ostróżkimodrzeńce i jasne trawy, a po bokach w dolinach było pełno konwalii, lilii i dzwonków. Patrząc na gościniec biegnący przed nią i wijący się jak malowana na papierze zmija, pomyślała, że to wszystko już nie dla niej.

Gdzie droga zbaczała na południe do Kelowny skierowała samochód w lewo i pojechała w stronę Kamloops. Był jeszcze wczesny ranek i miała dość czasu, by odwiedzić Hektora Cardigana przed udaniem się do Paarów.

Hektor pracował przed swym domem w ogródku kwiatowym. Podniósł głowę, usłyszawszy sygnał jej klaksonu.

— Dzień dobry! — zawołał. Wcześniej wyjechałaś!

— Uciekłam, Hektorze odparła z uśmiechem i weszła przez furtkę. Spojrzał na nią z niepokojem. Nigdy nie można było wiedzieć, co tej młodzieży może strzelić do głowy. A ta dziewczyna pochodziła w dodatku z rodziny Odellów!

— Przed kim... tym razem? — zapytał żartobliwie.

— Przed sobą — odrzekła. — Przed kimże by? Potrząsnął głową.

— Nie uda ci się to tak łatwo, dziecinko — zauważył. Ale wejdźże. Wyprzedziła go i wbiegła do jadalni, gdzie zasunięto firanki, by nie wpuścić rannego słońca.

— Nacieszmy się światłem i słońcem, Hektorze! zawołała i biegła od jednego okna do drugiego, odsuwając ciężkie portiery. — Można by przypuszczać, że chcesz coś ukryć w twojej pustelni i że u ciebie straszy. Przypatrywał się jej krzątaniu z wyrazem bezradności, uśmiechając się niepewnie. Rzuciła rękawiczki i kapelusz na krzesło i z pudełka stojącego na stole wzięła papierosa.

— W moim wieku nie ma się wiele do ukrywania rzekł powoli.

— Ale to co chcesz ukryć, potrafisz ukryć bardzo dobrze — odparła, zapalając papierosa i rzucając zapałkę w ogień.

Nie podobał mu się jakoś jej humor. Przeczuwając coś niemiłego stanął w ulubionej swej postawie, zwrócony tyłem do kominka, i założył z tyłu ręce.

— Nigdy nie wiadomo, moje dziecko, czy coś jest dobrze ukryte, dopóki ktoś nie zechce tego znaleźć — odpowiedział wymijająco.

Autumna rozejrzała się po obwieszonych dywanami ścianach i strzepnęła popiół z papierosa.

— Ani nie można powiedzieć, jak źle coś jest ukryte, dopóki nie przyjdzie ktoś, kto się na to nie natknie.

Poruszył się niespokojnie i zastanawiał się do czego dziewczyna zmierza.

— Tak, tak — potakiwał. Autumna rzuciła papierosa i wstała.

— Jakim ty właściwie jesteś romantycznym aktorem — rzekła nagle.

— Ależ ja wcale nie myślałem o sobie...

— Dlaczego nie powiedziałeś mi wszystkiego, co wiedziałeś, gdy byłem u ciebie w ubiegłym tygodniu i chciałem się z tobą rozmówić? — przerwała mu.

Spojrzał na nią podejrzliwie.

— Czy coś przed tobą zataiłem? — zapytał. Zmarszczyła brwi.

— Pytam się ciebie, dlaczego? Hektor obruszył się.

— Sam wiem, co powinienem wyjawić o innych ludziach, a zresztą, na dobrą sprawę, i o sobie — odrzekł.

Autumna podeszła doń jeszcze bliżej, zaśmiała się trochę za głośno i — jak mu się zdawało — z pewną goryczą.

— Możesz sobie schować swoje tajemnice — powiedziała ironicznie. — I tak wiem już to, co najważniejsze.

Hektor był poirytowany humorami młodej dziewczyny. Wdała się w zupełności w matkę. Jakże często Millicent stawała się uszczypliwa, gdy chciała ukryć swe prawdziwe uczucia! Mogło jej chodzić o jakąś drobnostkę lub o coś tak bolesnego, że jej niepohamowane, porywcze serce się łamało.

— Twoje postępowanie wydaje mi się dziwnie znajome — zauważył. Autumna rozgniewała się nagle.

— To jeszcze nic. — odparła. — Dowiedziałam się, kim jestem. Nie będę się na przyszłość starała zadawać kłam swej naturze. To niemożliwe, Hektorze Cardigan. Od dziś muszę być sobą.

Twarz starca pobladła.

— Nie lękaj się, Hektorze! Nie zdradzę twojej tajemnicy, tak samo jak tajemnicy Jarvisa Deana. Jeśli mężczyźni zakochują się w tej samej kobiecie i dla niej się zabijają, to nie moja rzecz. Niech się wypełni tradycja. To dzwonek baskijski, Hektorze. Ani ty, ani ja nie stłumimy jego dźwięku.

Zabrała kapelusz i rękawiczki i szybko skierowała się ku drzwiom.

Hektor wyciągnął ku niej rękę.

— Dokąd idziesz, Autumnno? — zapytał drżącym głosem.

— Do piekła — odparła. — Żegnam cię.

Usiłował ją powstrzymać, ujmując delikatnie za ramię.

— Pozwól, że ci coś powiem — prosił.

— Mogłeś to uczynić w zeszłym tygodniu — powiedziała. — Teraz już za późno.

Wybiegła z domu i wskoczyła do samochodu. Niebawem wyjechała z doliny na krętą, stromą drogę prowadzącą do Kelowny.

## ROZDZIAŁ DWUNASTY

Pokój, do którego młodsza z córek państwa Paarów zaprowadziła Autumnę, był chłodny i przesiąknięty zapachem róż. Urządzono go w tonie zielonym i kremowym, a na podłodze leżał jasnobrązowy dywan.

— Co za miły pokój — powiedziała rozglądając się Autumna.

— Cieszę się, że się pani podoba — rzekła młoda panna rozmyślnie niedbałym głosem. — Mieszkam zaraz obok. — Długą, jasnoczerwoną cygarniczką, którą trzymała w prawej ręce, uczyniła ruch wskazujący. Pod lewą pachą miała srebrnopłowy kłębek, który, jak się Autumna już dowiedziała, był belgijskim gryfonem. Panna Paar była szczupłą, ciemną blondynką o fiołkowych oczach i jaskrawo uszminkowanych wargach. Otwarte drzwi prowadziły do małego różowego buduaru, będącego doskonałym tłem dla urody jego właścicielki. Autumna zajrzała doń i zaczęła pieścić pieska.

— Jak on się nazywa, proszę pani? — zapytała.

— Kauczuk. Brzmi to trochę jak po eskimosku, ale nad Gangesem to słowo znaczy „guma”. Ale na miłość boską proszę mnie nie nazywać „panią”. To doprowadziłoby tu wszystkich do rozpacz. Rodzice przylepili mi imię „Melinda”, kiedy byłam jeszcze za młoda, by mieć własne zdanie. Nazywają mnie „Lindą”, ale wolę „Lin”, jeśli pani nie ma nic przeciwko temu.

Zgoda — odparła Autumna — bardzo chętnie.

Zobaczyła, że wniesiono jej walizeczkę do pokoju i rozpakowano tak, że rzeczy leżały w największym porządku

-- Poleciałam mej wiernej niewolnicy, by się zajęła pani sukniami  
powiedziała Linda. — Może miałyby pani teraz ochotę na zimną kąpiel.  
Zaraz na lewo, tu między naszymi pokojami.

— Dziękuję odrzekła Autumnna. Chętnie skorzystam.

Linda siedziała na kanapce, paląc papierosa. Obok na aksamitnej poduszce leżał jej piesek.

— Pani jest czymś pośrednim między mną a moją siostrą  
Eleonorą — powiedziała, przypatrując się krytycznie Autu-  
mnie. Eleonora jest zakałą rodziny. Dziwnie to zapewne  
brzmi, ale nie stoi w żadnym związku z panią.

Autumna roześmiała się mimo woli i zapomniała na chwile o troskach.

— A gdzie jest Eleonora? — zapytała, rozbierając się Linda machnęła  
ręką.

— Bóg raczy wiedzieć! Pewnie jest na dole i przycina jabłonie... chociaż  
nie, to zdaje się nie jest odpowiedni sezon. W takim razie polewa je lub  
coś w tym rodzaju. Albo może jest w lesie i strzela wiewiórki. Biedna  
Eleonora jest trochę dziwaczna, ale będzie się pani podobała.

— Zdaje się, że polubię was wszystkich — oświadczyła Autumnna z  
lekkim zakłopotaniem.

— Wcale nie jestem tego pewna — sprzeciwiła się Linda — Wszyscy  
mamy lekkiego fioła. Krew nie była zła, tylko wychowanie zawiodło.  
Mimo to rodzina jest niby bardzo poważna z wyjątkiem mnie i Floriana.  
Czas schodzi nam przeważnie na wyśmiewaniu innych i... siebie.

— To działa zbawiennie — wtrąciła Autumnna.

— Pani jest dotąd jedyną rzeczą, którą Florian wziął poważnie -  
oczywiście z wyjątkiem gry w polo — szczebiotała Linda, puszczając w  
powietrze kółka dymu. — Biedak wpadł porządnie.

— Cóż znowu! — zaśmiała się Autumnna chłodno. Zaczerwieniła się  
jednak, gdy uczuła, że krytyczne spojrzenie Lindy przybrało wyraz  
uznania.

— Wcale mnie to zresztą nie dziwi — rzekła Linda — Takiej szwagierki  
nie trzeba by się wstydzić.



Młoda dziewczyna była typem, jakie Autumnna знаła w Europie. Poza maską obojętności ukrywała żądzę życia. Autumnna dziwiła się tylko, że i tutaj są tego rodzaju panny.

— Czy pani kocha się może we Florianie? — zapytała nagle Linda, podczas gdy Autumnna zarzuciła kimono na nagie ramiona i włożyła na bosc nogi pantofle.

Autumnna uśmiechnęła się.

— Nie przypuszczam... a przynajmniej jeszcze nie — odparła.

— Powinam się była tego domyślić — rzekła Linda. — Paarowie to straszni durnie!

Jej głos zrobił się rozwlekły, jakby wyrażenie pogardy dla tego rodu było zbyt nużące. Autumnna przeszła do łazienki, by wziąć prysznic. Gdy wróciła, Linda siedziała tam gdzie przedtem.

— Będę gotowa za minutę — powiedziała Autumnna.

— Proszę się nie śpieszyć — odrzekła leniwie Linda. — Nikt się tu nie śpieszy. Florian zapewne ogryza paznokcie, o ile się już nie opija. W każdym razie nic mu to nie zaszkodzi, jeśli trochę poczeka. Co to jeszcze chciałam powiedzieć... bardzo żałowałam, że nie mogłam być na pani przyjęciu. — Ja również żałowałam — zapewniła Autumnna.

— Zwichnęłam wówczas nogę. Wracając późno w nocy do domu potknęłam się o gumowego węża do polewania kwiatów, który z niedbalstwa pozostawiono na gazonie. Opowiadano, że byłam pijana, ale to nieprawda. — Zaprosiłam całe sąsiedztwo — opowiadała Autumnna.

— Florian już mi wszystko opowiedział. Słyszałam jednak, że Bruce Landor nie przyszedł. Na dźwięk tego nazwiska Autumnna cofnęła się. Odwróciła się od Lindy i wzięła jakąś suknię z łóżka, gdyż lękała się, że jej twarz zdradzi szybko silne wewnętrzne wzburzenie.

— Jego matka jest bardzo chora — zauważyła wymijająco.

— No tak, ale ona już przecie od roku leży konająca. Zdaje się chyba tylko złość utrzymuje ją przy życiu. Wie, że Bruce'owi byłoby lżej na świecie, gdyby umarła. — Pani zna dobrze Bruce'a? — zapytała Autumnna.

— Ile mi sam na to pozwala — rzekła Linda. — Dzwoniłam dziś znowu do niego, czy nie mógłby do nas przyjechać. Powiedział, że się postara być tu jutro.

— Opowiadał mi, że go pani zaprosiła — rzekła Autumnna, zastanawiając się, czy Linda zauważyła drżenie jej głosu.

— Zdawało mi się, że jest mu przykro, iż nie może zdążyć na rozgrywkę. Jakkolwiek umiała udawać obojętność, była bliska rozpaczki. Bruce powiedział jej, że nie może przyjechać do Kelowny. Jeśli przyjedzie mimo to, uczyni to dla niej.

— Zna go pani od dzieciństwa, prawda? — ciągnęła dalej Linda tak natarczywie, że stawało się to przykre.

— Chodziliśmy razem do szkoły.

— I nie zakochała się pani w nim? — westchnęła Linda. Autumnnie drżały ręce. Włożyła pończochy i podeszła do toaletki, gdzie mogła zobaczyć w lustrze twarz Lindy. Dziewczyna siedziała rozleniwiona i głaskała pieska.

— Nie myślałam wcale o tym — odparła, zaciskając usta.

— A ja pomyślałam o tym, jak tylko zobaczyłam go po raz pierwszy — rzekła Linda. — Odtąd żaden inny mężczyzna nie budził we mnie najmniejszego zainteresowania.

— Zawsze tak nie będzie, Lin.

— Czas nie ma z tym nic wspólnego — rzekła Linda, spuszczać oczy z rezygnacją. — Miłość zjawia się... albo nie. U mnie zjawiała się nagle, a u niego nie zjawi się nawet za dziesięć lat... w stosunku do mnie.

Autumna, nie mogąc się zdobyć na odpowiedź, patrzyła dalej w lustro i prawie bezwiednie nałożyła trochę różu na wyjątkowo dziś blade policzki. — W każdym razie mam nadzieję, że jutro wieczorem przyjdzie — mówiła jakby do siebie Linda. — Czuję się bez niego okropnie, a z nim jeszcze gorzej. Wstała z kanapki, przeszła przez pokój i wyjrzała oknem. — Idzie mój brat Tim. Wobec tego cała rodzina będzie dziś przy stole. Naprawdę nie są najgorsi, Autumnno, zwłaszcza jeśli sobie podpiją. Są zupełnie możliwi.

Stała przy oknie, dopóki Autumnna się nie ubrała.

— Jestem gotowa — oświadczyła Autumnna.

Linda odwróciła się od okna i spojrzała na nią z podziwem. Autumnna miała na sobie skromną białą wieczorową suknię i turkusowe kolczyki.

— Jesteś urocza — rzekła Linda po prostu, biorąc ją pod ramię. Wyszły razem, aby spotkać się z towarzystwem.

**W hallu spotkały Floriana z dwoma zamrożonymi kieliszkami. Zaprowadził Autumnę do bambusowego fotela o wysokim oparciu, wysłanego miękką poduszką.**

— Myślałem, że już wcale nie przyjdziecie — rzekł. — Wiedziałem, że nie **powiniennem być oddać** pani w szpony Lindy. Ale **teraz** nikomu pani nie odstąpię.

Przyniósł jeszcze kieliszek dla siebie i usiadł koło niej na podłodze, ze skrzyżowanymi nogami.

— Jak tu ładnie — szepnęła Autumnna, patrząc w dal na mozaikę doliny.

— Do dziś brakowało jeszcze czegoś — powiedział znacząco Florian. Autumnna szybko opuściła powieki, niemile dotknięta. Przygryzła wargi zirytowana swą słabością i niemożnością zapomnienia raz na zawsze o Brusie. Uprzytomniła sobie z rozpaczą, że nie powinna wypadać z roli, gdyż inaczej wszystko przepadnie.

— Zanadto pan szafuje komplementami — rzekła znużona. — Nie powinien mi pan zawracać głowy.

Mówiąc te słowa spojrzała na Lindę. Młoda dziewczyna siedziała na werandzie na huśtawce, podniósłszy wysoko kształtne nogi i opierając je o łańcuch huśtawki.

— Ale pani może się odwrócić i spojrzeć na mnie — ośmielił się odpowiedzieć Florian.

— Niech się pani wcale na niego nie ogląda — wtrąciła Linda. — On zawsze prawi komplementy, jak wypije parę kieliszków.

Autumna uśmiechnęła się i skierowała ponownie wzrok na roztaczający się przed nią widok. Dom Paarów był zbudowany nad urwiskiem, ponad długim, kryształowym jeziorem Okanagan. Z wznoszącego się na słupach przedsionka można było wiosną patrzeć na morze kwiatów, na białą, różową i czerwonawą pianę tysiąca kwitnących drzew owocowych: jabłoni, grusz, śliw i brzoskwiń. A pod tą różową masą perłową sadów ciągnęła się niebieska toń rzeki, niknąca na północy i południu poza zamglonymi pagórkami. Tu przez wiele lat mieszkali w zabezpieczonym dobrobycie Paarowie, energiczna, pełna radości życia rodzina, której awanturnicze przygody omawiano w całej okolicy, odpowiednio je ubarwiając. Elliot Paar chełpił się tym, że jako sześćdziesięcio-

letni mężczyzna może jeszcze swemu synowi Florianowi pokazać niejednen chwyt i uderzenie w polo i że krzepko jeszcze włada rapierem. Złośliwi twierdzili, że nic dziwnego, iż pani Paar już dawno wyzionęła ducha. Ale to nie należy do rzeczy, zwłaszcza jeśli mowa o młodym pokoleniu.

Jakże inne jest tutejsze piękno — myślała Autumnna, patrząc na rzekę. Było to bogatsze, bardziej zmysłowe piękno, aniżeli skromny, a jednak majestatyczny urok jej rodzinnych gór. Widok okolicy przedstawiał zarazem pewną bogatą różnorodność, przypominającą grupę modernistycznych obrazów, jakie oglądała na wystawie w Paryżu. Gdy jednak zaczęła patrzeć na grę cieni na jeziorze w dole, ogarnęła ją tęsknota za majestatem tych gór, które należały do niej i do Bruce'a Landora. Ach Bruce! Zapragnęła być znów z nim sama w szalasię na dnie wąwozu, odgradzona deszczem od świata. Ach, gdyby to wszystko, co od tej chwili zaszło, mogło być tylko przykrym snem!

Pies Floriana, brązowy seter irlandzki, przybiegł z dołu sadząc po schodach i z zaufaniem położył głowę na kolanach Autumnny.

— Kochany piesek — powiedziała i ciągnęła go za długie, miękkie uszy.

— Jaki przyjacielski!...

— Kocha wszystkich, których kocha jego pan — odrzekł Florian odstawiając kieliszek. Poczęstował ją papierosem.

— Jak on się nazywa?

— Lot.

— Strasznie miły psiak — mówiła.

— Tylko słówko, a dostanie pani połowę z niego.

— Żeby się tak ktoś znalazł, kto by zabrał połowę brytana Eleonory — rzuciła Linda. — Boże, jak ja go nienawidzę!

— Czy i Eleonora ma psa?

— Tak, angielskiego brytana. Zjada wszystko, a najchętniej gryfony.

Eleonora wracała właśnie, wchodząc po zboczu od strony ogrodu. Za nią szedł nieodstępny, ponuro patrzący pies. Była w spodniach khaki, flanelowej koszuli i miała krótkie włosy, zwisające nieporządnie dokoła głowy, bardzo ciemne oczy i pełne usta o nieregularnym rysunku.

Cechowała ją pewna powściągliwość w zachowaniu, co od razu ujęło Autumnnę. Podały sobie rękę.

— Ach, więc to jest Autumnna Dean. — Cieszę się, że pani do nas przyjechała.

— Bardzo mi miło...

— A gdzie się podział Tim? — zapytała Linda. — Przecież widziałam niedawno, jak zajeżdżał.

— Rozmawia jeszcze z ojcem w garażu — odparła Eleonora. — Zaraz tu przyjdą. Czy nikt mnie niczym nie poczęstuje?

— To oczywiście odnosi się do mnie — powiedział Florian i podał jej nalany kieliszek.

— Nie grzeszy się tu grzecznnością w stosunku do mnie — zrzędziła Eleonora, uśmiechając się do Autumnny. — Musi się pani do tego przyzwyczaić.

— Nie masz nic ludzkiego w sobie, moje dziecko — oświadczyła Linda, przeciągając się i ziewając.

— Ja też mam swoje dobre strony — broniła się Eleonora, biorąc się ostro do picia. — Potrafię przynajmniej odróżnić owcę od jałówki. A Lin myśli, że jagnię z krótkim ogonkiem to taki gatunek psa.

Roześmiała się, wypila jeszcze jeden kieliszek i poszła się przebrać na wieczór. — Bezcelność — zawołała za nią Linda.

— Sama jesteś sobie winna — rzekł Florian — zawsze źle na tym wychodzisz, jeśli zaczynasz z Eleonorą. Idzie ojciec z Timem.

Obaj panowie już szli na górę po schodach. J. Elliot Paar był wysokim mężczyzną o twarzy z lekka zaczerwienionej i nieco przerzedzonych włosach. Wypinał naprzód pierś, usiłując odwlec nieuchronną otyłość.

Był w spodniach z żaglowego płótna, nosił jasny krawat w kropki, a z kieszeni jego marynarki wystawała zalotnie chustka z brzegiem w takie same kropki. Przywitał Autumnnę silnym uściskiem dłoni.

— Niech mnie licho porwie, jeśli to nie jest dla mnie radość, że mogę powitać córkę Millicent Dean! — huczał. — Ładna panna, co Florianie?

— A na mnie wcale nie przyjdzie kolej? — pytał Tymoteusz. Autumnna podała mu rękę i spojrzała szczerze w jego badawcze oczy. Był to barczysty, przystojny mężczyzna o zaczepnych, przenikliwych oczach.

— Niech się go pani nie lęka — zawołała ironicznie Linda. — Rozwiódł się przed rokiem z żoną, gdyż wołał blondynki.

— Przestań gadać — powiedział bez złościwości Florian.

— Nie jestem zacofany — zapewniał Tim. — Mam jedno tylko zmartwienie, że na świecie jest zbyt wiele pięknych kobiet, bez względu na to, jakiego koloru mają włosy. Nie można sobie ze wszystkimi dać rady.

— Tim robi wszystko, co jest w ludzkiej mocy — żartowała z niego Linda ze swego miejsca na huśtawce.

— Dlaczego właściwie ojciec trzymał panią tyle lat w Anglii? — pytał starszy pan Paar.

— Zapewne uważał, że tak jest lepiej dla mnie — odrzekła Autumnna. — Ale bardzo się cieszę, że wróciłam.

— No myślę! — unosił się Elliot. — Taka dziewczyna jak pani nie ma co robić w Europie. Pani potrzebuje szerokiej przestrzeni, aby się czuć swobodnie, prawda? Chciałbym, by tu pani było tak dobrze jak w domu, moje dziecko. Pani matka spędziła tu bardzo miłe chwile, proszę mi wierzyć.

Wyjął chustkę i otarł czerwone czoło.

— Ale to już dawno, strasznie dawno temu... Z tymi słowami odszedł. Tymoteusz podjął przerwana rozmowę, mieszając sobie koktajl i rozsiadając się wygodnie.

— Założyłem się już, że przegrasz jutro w polo, Florianie — oznajmił. — Ale Campbell postawił na ciebie. — Alec wie, co robi — odparł Florian.

— Powinniśmy mieć przynajmniej trzy gole na naszą korzyść.

— Nie ma mowy o tym. Hutchinson pokaże wam, co umie.

— Nie masz żadnych szans — wtrąciła Linda. — Założyłam się dwa razy, że przegrasz. Florian zaśmiał się.

— Zawsze się tak przeciwko mnie zakładają, by utrzymać szczęście po naszej stronie — wyjaśnił. Autumnna spojrzała na Tima i odpowiedziała na jego wyzywające spojrzenie wyniosłym uśmiechem.

— Postawiłabym na drużynę Floriana dziesięć dolarów jeden do jednego — zaproponowała. — Zrobione! — zawołał Tim. — Od nikogo tak nie chciałbym wygrać pieniędzy jak od pani.

Rozmawiano o rozgrywkach, a Autumnna przysłuchiwała się, starając skupić uwagę. Wreszcie w drzwiach zjawił się Japończyk i oznajmił, że podano do stołu. Jego twarz two-

rzyła nieprzeniknioną, dyskretną maskę. Wszyscy wstali i przeszli do jadalni. Po drodze Florian ujął ramię Autumny.

Słońce już zaszło, gdy wstali od stołu i przeszli znowu do hallu.

Florian sprowadził Autumnę po nie ociosanych kamiennych schodach do niżej położonego ogrodu, będącego zaniedbaną gęstwiną kwiatów, paproci i krzaków jeżynowych. Pełno tam było ruty, goździków, niezapominajek i róż, a wysoka, niebieska ostróżka sterczała obok białych kaskad spiżu. Autumnna rozkoszowała się naturalną pięknnością ogrodu. Ze źródła, na jego krańcu, po obrosłych mchem kamieniaci sączyła się woda i zbierała się w mroku w sadzawkę barwy miodu. Stali obok siebie, patrząc w wodę, w której odbijały się ich twarze. Autumnna, spoglądając na te odbicia myślała, że mogłaby być teraz szczęśliwa i swobodna jak dawniej, gdyby się nie była spotkała z Bruce'em. Florian był miły, pociągający, towarzyski, mimo całej swej pewności siebie, która zdawała się być charakterystyczną cechą Paarów. Była przygnębiona i nie mogła wrócić do równowagi.

Po co właściwie spotkała Bruce'a? I dlaczego jedna czarno-wna noc zamieniła dwoje niezależnych ludzi w istoty, które, każda z osobna, były niekompletne? Tak, to ją męczyło, ta połowiczność własnego „ja”. Zawsze będzie to odczuwała, ilekroć pomyśli o Landorze. Tak dalej jednak być nie może! Musi zapomnieć o jednej krótkiej godzinie, którą spędziła z Bruce'em w chacie pasterza.

Florian rozmawiał o tym i owym; zmuszała się, by go słuchać. Zasługiwał na większą uwagę, zwłaszcza teraz, gdy miał jej pomóc zapomnieć o miłości, z którą walczyła.

— Strasznie się pani podobała całej mojej rodzinie — oznajmił jej. — To doskonale, prawda?

— Co prawda? — powtórzyła żartobliwie. Zachmurzył się.

— Czy nigdy nie będzie mnie pani traktowała poważnie? — zapytał szorstko.

Położyła mu rękę na ramieniu z taką powagą, że sama nią była zdziwiona.

— Chce pan, bym udawała? — zapytała.

— Lepiej to, jak nic — odparł.

— Ma pan mniejsze wymagania ode mnie — rzekła niedbale.

Schylił się i rzucił kamień na środek sadzawki. Na wodzie zaczęły się tworzyć koła.

— Czy ktoś inny stoi między nami? — zagadnął po długim milczeniu. Spojrzała mu w twarz.

— Nie bądźmy tacy uroczyści — prosiła. — Czyż pan sam nie wyrażał się wobec mnie z pogardą o życiu?

— Owszem — odrzekł lakonicznie — i byłem szczery. Nagle chwycił ją i całował tuląc mocno. Trzymał ją przez chwilę w ramionach, uśmiechając się i patrząc w jej oczy.

Spojrzała nań z chłodnym namysłem, a potem odsunęła się od niego i poszła ku domowi.

— Wracajmy — powiedziała obojętnie. Poszedł za nią. Zaczęła nucić jakąś piosenkę.

— Nadejdzie dzień — rzekł, biorąc ją znowu pod rękę — że nie będziesz tak lekceważyła moich pocałunków, ty zimna diablico!

— Możliwe — odparła, wybuchając śmiechem — lecz na razie będziemy dla siebie tylko zabawką, jeżeli pan nie ma innych zamiarów. To o wiele przyjemniejsze.



## ROZDZIAŁ TRZYNASTY

Bruce Landor zatrzymał swój samochód w szeregu kilkunastu innych, które stały za domem Paarów na wysypanym żwirem podjeździe. Przez chwilę przysłuchiwał się wesołym odgłosom dochodzącym z jasno oświetlonego pałacyku, wzniesionego na skalistym wybrzeżu. Rozmyślał o tym, jak Autumn daje sobie radę z hałaśliwą paczką Floriana i uśmiechnął się. Zapewne Florian jest wielce uradowany zwycięstwem, jakie jego drużyna odniosła dziś po południu w Kelowny. Bruce żałował, że nie widział tej gry, o której mu opowiadano na mieście.

Idąc schodami do hallu z kapeluszem w rękę, tak że wiatr igrał jego włosami, nie przestawał myśleć o Autumnie, która była tak różna od innych dziewcząt. Czuł przyśpieszone bicie serca. Gdy zatrzymał się na chwilę w drzwiach, gdzie słyhać było głosy rozmawiających, ujrzał w cieniu słupów kilka mglistych sylwetek.

— Ach, Bruce! — zawołał jakiś głos z ciemnego kąta. Linda wysunęła się z ciemności i ujęła go pod ramię.

— Dobry wieczór, Lin! — powitał ją.

— Czyżby pan udawał, że mnie nie widzi? — rzekła z wyrzutem.

Spojrzał na nią i uśmiechnął się zagadkowo.

— Ależ bynajmniej. Nie zauważyłem pani naprawdę. Jak się moja przyjaciółeczka miewa? — zapytał, gładząc rękę, którą Lin oparła na jego ramieniu. — Wygląda pani uroczo jak zawsze!

Wzruszyła ramionami.

— Dziękuję, mam się doskonale, chociaż nudziłam się śmiertelnie... aż do tej chwili. Czekałam na pana przez cały wieczór. Prawie wszyscy są w sali bilardowej i grają w ruletę.

— To znaczy kto? — zapytał.

— To samo wstrętne towarzystwo — odpowiedziała. — Wszyscy się wysilają, aby się jak najprędzej upić.

Lokaj wziął od Bruce'a kapelusz i płaszcz i Linda ujęła go znowu pod ramię, przyciskając je do siebie.

— Bardzo ładnie ze strony pana, że pan przyszedł — rzekła. — A co u pana?

— Wszystko dobrze, dziękuję — odparł, czując, że jego głos brzmi jakoś nienaturalnie. Poprawiał krawat jakby w oczekiwaniu czegoś ważnego. Od czasów swego dzieciństwa nie był tak podniecony. Zdał sobie nagle sprawę, iż przez cały czas podświadomie spodziewał się, że Autumnna powita go po jego przybyciu.

— Może się czegoś napijemy — zaproponowała Linda. Czekałam na pana, byśmy pierwszy kieliszek wypili razem.

Uśmiechnął się uprzejmie i weszli razem do jadalni, gdzie rodzina Paarów urządziła sobie bar. Bruce zawahał się na progu i objął wzrokiem grupę zebranej tam młodzieży.

— Hallo Landor! — zawołał jeden z przyjaciół Floriana, a kilka innych głosów zaczęło wykrzykiwać słowa powitania.

— Witamy słynnego hodowcę owiec z Cherry Creck!

— Dobry wieczór wszystkim! — witał się z uśmiechem Bruce.

— Chodźże do nas — zapraszano go. — Przybliź się do źródła obfitości. Linda pociągnęła go za sobą, czekając, aż napełni mu kieliszek.

Jakiś młodzieniec z zaczerwienioną twarzą i jasnowłosa panna siedzieli na wysokich stołkach obok siebie, kiwali się naprzód i w tył i śpiewali wesołe, niezbyt przyzwoite piosenki, będące pozostałością wojennych czasów.

— Chodźmy stąd — rzekła Linda, gdy im podano napoje, i poprowadziła go w stronę werandy.

— A może byśmy poszli do sali bilardowej? proponował.

— Po to, żeby mi pan znikł na resztę wieczoru? — odparła. — Ani mi się śni. Nie puszczę pana. Zostanie pan u nas przez noc?

— Niestety nie mogę — odparł. — Wprawdzie matka ma się dziś lepiej, zresztą jest pod opieką pielęgniarki, ale muszę wracać do pracy.

Linda niezadowolona z jego odpowiedzi niecierpliwie wzruszyła ramionami.

— Bogowie są skąpi — oświadczyła.

Usiedli na huśtawce i popijali koktajle. Bruce usiłował opanować niecierpliwość i podtrzymywać rozmowę dla samej przyzwoitości.

Wbrew jednak dobrym zamiarom zerkał ciągle niespokojnie na jasno oświetlone wejście do hallu. Nie zważał na nieliczne, przechodzące obok nich pary, na ich paplaninę i śmiech.

Linda przysunęła się do niego i wzięła go pod ramię. Był już przyzwyczajony do jej naiwnych poufałości. Zajęty własnymi myślami zapomniawszy niemal zupełnie o tym, że jest blisko niego.

— W każdym razie ładnie z pana strony, że przebył pan tak daleką drogę, bym mogła spędzić z panem godzinkę — szepnęła.

— Szkoda, że nie mogłem być na meczu — odparł rzeczowo Bruce. — Słyszałem, że Florian świetnie się spisał.

— Grał jak nigdy — oświadczyła Linda. — Zapewne dlatego, że Autumnna założyła się z Timem, że Florian wygra. Biedny Florian kocha się szalenie w Autumnnie.

Bruce uśmiechnął się z niedowierzaniem.

— Na serio? — zapytał.

— Jeszcze nigdy nie brał tak poważnie tego rodzaju sprawy. Oszalał po prostu.

— Florian szalał już nieraz — zauważył Bruce.

— Tak, ale tym razem to rzecz poważna. Jeśli Paarowie wpadają, to na całego.

Zawahała się, lecz Bruce nic nie odrzekł. Po chwili dodała:

— Zdaje mi się, że Autumnna też go lubi. Doskonale się z sobą zgadzają. Bruce tłumaczył sobie, że uczucie, które go ogarnęło, gdy tak siedział w ciemności koło Lindy, nie jest zazdrością. Autumnna przybyła doń z własnej inicjatywy nie dalej jak

dwa dni temu. Po owej pamiętnej nocy, gdy pierwszy promień świtu zaróżowił niebo, leżał chwilę w łóżku i patrzył na ten najczarowniejszy i najdziwniejszy wschód słońca w jego życiu. Spoglądał na różowe światło i myślał o Autumnie, która zapewne spała słodko pod ochroną tej piękności. Jakaż ona była urocza i kochana! Miał wrażenie, że na świecie nie ma nikogo prócz Autumny, jego i cudownego rapsodu ich miłości. — Nigdy nie uwierzę, że Florian jest zakochany, dopóki nie zobaczę tego na własne oczy — powiedział.

I uczył dłoń uczucie ciepła, jakby litość.

— A więc zobaczy pan to dziś wieczór — zapewniła Linda — chociaż nie uwierzy pan nawet wówczas. Pan jest zupełnie ślepy, mój kochany Bruce.

— Powinienem się jednak na tym poznać.

Z salonu dały się słyszeć kołyszące dźwięki muzyki i natychmiast pary siedzące na werandzie zaczęły znikać. Linda i Bruce pozostali sami.

Zwróciła ku niemu twarz i jej błagalny wzrok wyrwał go z zamyślenia.

— A jednak nie zna się pan na tych rzeczach — szepnęła — gdyż inaczej nie mógłby pan być taki okrutny.

— Okrutny? — zapytał.

— Tak, bo pan jest taki... dobry — odparła, a głos jej wydał mu się prawie stłumionym szlochem.

— Ależ na miły Bóg, Lin — bronił się. — Przecież to nic dziwnego, że jestem dla pani uprzejmy. Przecież ja panią naprawdę strasznie lubię...

Roześmiał się z zakłopotaniem, wstał i pociągnął ją za rękę.

— Tak, bardzo panią lubię, Lin. Chodźmy... odszukamy resztę towarzystwa i zobaczymy, co się dzieje z Florianem.

— Napiłabym się jeszcze czegoś — zaproponowała.

— A ja już nie — odrzekł, ujmując jej ramię i kierując się ku wyjściu.

U progu sali bilardowej zatrzymał się chwilę i rozejrzał się wokół. Na środku pokoju, na bilardzie ustawiono ruletkę, a Tim Paar objął na ten wieczór funkcje krupiera. Całe towarzystwo tłoczyło się koło stołu, mając wzrok utkwiony w małą kulkę ze słoniowej kości. Pośród wrzawy głosów słyszało się stuk sztonów i krótki, równy warkot skaczącej kulki. W pokoju unosiły się cienkie niebieskie chmurki dymu.

Autumna, w przezroczystej srebrnobiałej sukni, siedziała na brzegu stołu, a obok niej stał Florian. Po chwili podniosła głowę i spojrzała na Bruce'a. Skinął w jej stronę ręką, lecz ona uśmiechnęła się tylko przelotnie, ale zimno i zdawkowo. Następnie nie spojrzała już nań i śledziła uważnie grę, podczas gdy Tim puszczał w ruch kulkę.

Bruce'owi serce się ścisnęło i przez chwilę był jak porażony. Nie mogło być wątpliwości: Autumna go widziała. Jej zachowanie wskazywało jednak na to, że była jakaś inna, niż oczekiwał. A może się mylił?

Podszedł natychmiast do stołu. Florian ujrzał go i zawołał na niego. Stał z Lindą przy bilardzie i podał Florianowi rękę.

— Bruce przyszedł, Autumno — powiedział Florian. Dziewczyna odwróciła się doń jakimś nagłym ruchem i podała mu rękę swobodnie, po koleżeńsku. Milczała. Uśmiech jej był mu całkowicie obcy.

Bruce zatrzymał jej rękę w swej przez chwilę i spojrzał w jej twarz. Jego zdziwienie i oszołomienie zastygło w niesłychany ból. Przez chwilę patrzyła nań błyszczącymi, szeroko rozwartymi oczyma, ale tak niepewnie, jakby go wcale nie poznawała. A potem cofnęła szybko rękę, odwróciła się od niego i zaczęła nucić taneczną melodię, dochodzącą z sąsiedniego pokoju, gdzie stał głośnik. Założyła przy tym ręce na tył głowy, a ciało jej falowało powolnym ruchem.

Bruce uczuł nagle dziką chęć, aby chwycić ją i wynieść po prostu z pokoju. W tej chwili zbliżyła się doń Linda i pociągnęła go za klapę marynarki.

— Budzę cię, Bruce — rzekła. — Co się panu stało?

— Nic, Lin — odparł patrząc z roztargnieniem na jej uśmiechnięte, szkarłatne usta.

— Chodźmy tańczyć do salonu — prosiła.

— Może jednak przedtem zagramy? — zapytał obojętnie. — Potem możemy zatańczyć.

Z grymasem niezadowolenia, na które nie zwracał uwagi, Linda docisnęła się do stołu i przypatrywała się Bruce'owi, który nabył stos sztonów i czekał na następną kolejkę. Gdy Tim wyciągnął rękę, aby puścić w ruch ruletkę, Bruce postawił trzy sztony i zaofiarował garść sztonów Lindzie.

— Nie mam szczęścia do gry — powiedziała niezdecydowanie.

Zwrócił się znów ku rulecie i czekał, na którym polu kula się zatrzyma. Zauważył, jak jakiś niski, tęgi pan, który trochę za wiele wypił, przysunął się do Autumny. Florian odepchnął hałasującego jegomościa i gra toczyła się dalej.

Autumna stanęła na złożonym krześle ponad stłoczonym tłumem i rzucała sztony na trzynaście i na czarne. Czuła, że się zatacza, lecz Florian podtrzymywał ją, otaczając ramieniem jej smukłe biodra. Niekiedy gładziła jego włosy, na co Florian odpowiadał powłóczystym, znaczącym spojrzeniem.

Ciągle przegrywała na trzynaście i na czarne i gdy śmiejąc się podniosła wzrok, zauważyła Bruce'a Landora, który stał w tłumie ze skrzyżowanymi rękoma, patrząc w kierunku otwartych szklanych drzwi. Nie powinnam go widzieć... nie powinnam go widzieć! — powtarzała sobie w duszy. Odwrócił powoli głowę w jej stronę i wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu, tworzącym głęboką zmarszczkę na policzku. Dwie noce temu całowała niewymownie czule właśnie to miejsce jego twarzy. Poczowała zawrót głowy i myślała, że załamie się w swym postanowieniu. Ale to uczucie trwało tylko chwilę. Kiedy na nią spojrzał, zdobyła się na beztronski uśmiech.

Nagle krępy, niezgrabny jegomość przysunął się do niej, stracił równowagę i zwałił się na krzesło, na którym stała.

Rozpaczliwym ruchem chwyciła się Floriana. Zanim osunęła się na podłogę, Bruce pochwycił ją i spośród zaskoczonego tym tłumem wyniósł do ogrodu.

Usiłowała się wyswobodzić i, bijąc go w piersi, z trudem chwyciła oddech. Gdy ją wreszcie postawił na ziemię poza krzewami kaprifolium, oddychał ciężko. Cofnęła się, jakby chciała przed nim uciec, lecz chwycił jej rękę, przyciągnął ją gwałtownie ku sobie i oparł plecami o żywopłot, zmuszając do spojrzenia mu w oczy. — Czemu igrasz ze mną? — zapytał. W blasku gwiazd zdawało się, że srebrna łuska jej sukni drży. Stała jednak przed nim wyprostowana, z dumnie w tył odrzuconą głową i pałającymi oczyma.

— Nie igram — wykrztusiła. Proszę mnie puścić. Spojrzał na nią zimno.

— Bawisz się mną, albo dziś, albo... bawiłaś się mną przedwczoraj wieczór.

Przygryzła wargi i odparła:

— Jak pan uważa.

Przybliżył się jeszcze bardziej i chwycił ją za rękę.

— Mówisz to serio? — zapytał. Wyrwała mu się jednym szarpnięciem.

— Proszę mnie nie dotykać... nie ma pan prawa mnie dotykać! —

krzyczała, usuwając się przed nim.

Jej głos brzmiał jak bolesny cichy jęk, jakby już nie panowała nad sobą.

Serce mu się ścisnęło ze współczucia. Był zupełnie zaskoczony.

— Co się stało, Autumnno? — pytał. — Mam prawo wiedzieć.

— Prawo? — Jej uśmiech brzmiał niemal jak szloch. Skrzyżowała ręce na lśniąącym staniku sukni i jej delikatne dłonie kurczowo obejmowały gładkie, okrągłe ramiona. Widział, jak pierś jej wznosi się i opada gwałtownie. Jej kasztanowate włosy rozsypały się, opadając na ramiona, a gdy spojrzała na niego, miała tak rozszerzone oczy, że wyglądała jak niewidoma. Cofnął się.

— Jesteś nieprzytomna, Autumnno — powiedział chłodno.

— Byłam nieprzytomna owej nocy, o której pan wspomniał — odparła.

— Dziś ujrzał mnie pan taką, jaką jestem w rzeczywistości... i jaką pozostanę już zawsze. Proszę tylko zapytać swej matki. Ona wie, jaka krew we mnie płynie.

Chciała przejść koło niego. Odsunął się z wahaniem.

— Jak pani sobie życzy — rzekł spokojnie.

Stał w ciemności i patrzył za nią. Gdy zniknęła za drzwiami, obszedł dom wokoło i wszedł przez werandę. W hallu natknął się na Lindę.

— Zatańczmy, Lin — powiedział, zanim zdążyła się odezwać. — A może napijemy się czegoś jeszcze?

Spojrzała nań i uśmiechnęła się.

— Zdaje się, że obudził się pan ze snu — zauważyła — i pociągnęła go z sobą do baru.

## ROZDZIAŁ CZTERNASTY

Minął maj i czerwiec, nadszedł lipiec, miesiąc dzikich róż. Dolina spoczywała w warowni gór otoczona żarem upału.

Bruce zatrzymał samochód na stromym wzgórzu i odetchnął z ulgą, patrząc na dolinę, która mieniła się błękitnawo w przypiekającym słońcu. Jadąc daleko w góry na pastwisko położone nad górskim potokiem o sto mil od domu, był wdzięczny za chłodny wiaterek, owiewający mu skronie, gdyż nie tylko przynosił fizyczną ulgę, lecz był balsamem dla umysłu i serca, udręczonego w ciągu ostatnich miesięcy.

Właśnie dwa tygodnie temu po dniu tak upalnym, jak dzisiejszy, zmarła niespodziewanie i spokojnie Janina Landor. Po prostu zasnęła i już się nie zbudziła.

Bruce pocieszał się myślą, że odtąd nie będzie już znosiła mąk swej nieuleczalnej choroby, niemniej jednak ból jego z powodu jej zgonu był głęboki i szczery.

Autumny nie widział niemal wcale od owej majowej nocy, gdy przybył do Paarów i zastał ją w nastroju, którego samo wspomnienie budziło w nim niepokój i rozpacz.

Od owej nocy rozmawiał z nią tylko raz. Pewnego popołudnia odwiedził Hektora Cardigana i wchodząc na schody ujrzał wychodzącą pośpiesznie z domu, dziwnie bladą Autumnę.

Przebiegła obok niego, pozdrawiając go przelotnie. Wiedział, że zauważyła go przez okno i po prostu uciekła, aby uniknąć spotkania.

Wizyta u Hektora była bardzo przykra. Bruce był przekonany, że stary żołnierz pokłócił się z córką Jarvisa Deana.



Hektor nie potrafił ukryć złego humoru, mimo starań Bruce'a, który silił się na dowcipy. Wreszcie starzec wybuchnął głosem, w którym drżała troska:

— Ta dziewczyna doprowadza mnie do rozpacz. Nie można wcale z nią mówić!

— Ale po co się tak irytować? — pytał Bruce. — Czyż koniecznie trzeba ją przekonywać?

Wypowiadając te słowa uświadomił sobie, że miały służyć ku własnej obronie.

Hektor patrzył nań chwilę nic nie mówiąc i udobruchał się stopniowo.

Wreszcie rzekł z uśmiechem:

— Między młodym durniem a starym nie ma wielkiej różnicy, poza małą różnicą lat.

I nalał dwa kieliszki wina ze stojącej na stole karafki.

Bruce myślał o tym popołudniu u Hektora, gdy wsiadł z powrotem do samochodu i jechał coraz trudniejszą do przebycia drogą. Stary przyjaciel Deanów miał powody rozpaczać, a przynajmniej martwić się, o ile dobra sława Autumny leżała mu na sercu. Hektor opiekował się Autumną od czasów jej dzieciństwa, jakby był jej ojcem chrzestnym, a teraz cała okolica zaczęła mówić o niej. W Kelownie i Kamloops opowiadano sobie o jej eskapadach z Paarami, a zwłaszcza z Florianem i innymi młodymi ludźmi, którzy się zjeżdżali u Paarów, a soboty i niedziele spędzali w górach w ich myśliwskim pawilonie. Był to obfity żer dla plotkarzy, a Autumnna jeszcze podsyciała te plotki. W ogóle — jak mówił Hektor — nic sobie z tego nie robiła, co o niej opowiadają.

Bruce doszedł powoli do przekonania, że Autumnna prowadząc tak swobodny tryb życia, czyni to w jakimś ukrytym celu.

Nie mógł uwierzyć, by stała się lekkomyślna z wewnętrznego upodobania. Nie mógł również pojąć, nagłej zmiany jej zachowania się w stosunku do niego i tłumaczył ją sobie tym, że ojciec wyjawiał jej coś, o czym nie wiedziała, albo zabronił jej się z nim widywać. Ale nawet to nie usprawiedliwiałoby takiej zmiany. Autumnna była zanadto samodzielna i uparta, aby pozwoliła się ojcu powodować. Musiało się w tym kryć coś innego, czego nie mógł się domyślić. Cokolwiek by to jednak być mogło, nie pozostawało mu nic, jak starać się zapomnieć...

Otaczało go zupełnie pustkowie. Wjeżdżał w górskie okolice, w których rosło już tylko niewiele drzew. Nieco dalej na północ, w obramowaniu cichych, tajemniczych gór, wznosiła się letnia rezydencja Deanów, granicząca z jego gruntami. Po drugiej stronie głębokiego jaru, przecinającego przeciwległe jasnozielone wzgórza widać było niewyraźnie jedno ze stad. Jakkolwiek oczy Bruce'a Landora były wyćwiczone w patrzeniu na odległość, poprzez warstwę rzadkiego prześwietlonego słońcem powietrza mógł dojrzeć tylko zarysy trzody. Ale poprzez pustą przestrzeń dopłynął do niego słodki i przejmujący dźwięk dzwonka. Poznał ten dzwonek. W całym tym górzystym kraju był tylko jeden taki... tak, to był baskijski dzwonek Autumny. Już mniej więcej przed miesiącem, gdy jechał doliną, dźwięk tego dzwonka przywabił go tutaj. Wówczas spędził godzinę na rozmowie z młodym Irlandczykiem, którego Jarvis Dean przyjął za pasterza. Nigdy nie zapomni myślących niebieskich oczu chłopca, który koniecznie chciał go zatrzymać jak najdłużej. Teraz dźwięk dzwonka znów poruszył wszystkie jego zmysły, ale Bruce otrząsnął się z wrażenia.

To tylko jego sentymentalność kazała mu słyszeć w tym dzwonieniu rytm imienia Autumny. Postanowił, że następnym razem wyjedzie w góry wcześniej, tak by móc znów pogawędzić z pastuszką. Miał ochotę uczynić to dziś, lecz musiał wracać na czas, gdyż umówił się z jednym z kupców w Kamloops.

Późno już było, gdy Bruce zatrzymał samochód przed szarym, zwietrzałym budynkiem, który służył dawniej jako stacja handlowa. Obecnie mieściła się tam oberża z bilardem, znana w okolicy jako „Restauracja Sandy'ego”. Zbierali się tu hodowcy bydła i owiec, poszukujący pracy robotnicy rolni i różni przejezdni. Mimo długoletnich usiłowań pozbawienia go pozorów romantyzmu, panowała jeszcze w tym lokalu swoista swobodna atmosfera minionych czasów, gdy zajeżdżali tutaj na jedną noc i na pokera doświadczeni bywalcy i żółtodzioby. Właścicielem był szorstki stary Szkot, sam niegdyś poszukiwacz złota w Williams Creek.

Gdy Bruce wszedł, zastał już w pierwszym pokoju kilku próżniaków. Spojrzał na nich tylko i skierował się do drugiego pokoju, gdzie stanął na progu, szukając oczyma kupca,

z którym się umówił. Dojrzał go po chwili w kącie zadymionej izby, przy stoliku karcianym, w towarzystwie czterech mężczyzn. Bruce podszedł i przywitał się z nim.

— Dobry wieczór, Landor — odparł kupiec podnosząc głowę.

Bruce zaczął rozmawiać z jego towarzyszami.

— Niech pan sobie kupi trochę sztonów i przysiądzie do nas — zapraszano go.

— Innym razem — odparł Bruce. — Spać mi się chce i pojedę zaraz do domu, muszę tylko najpierw porozmawiać z Myersem.

— Zaraz panu służę — rzekł kupiec.

Bruce zapalił papierosa i przypatrywał się grze. Sam nie wiedział, dlaczego zwrócił uwagę na rozmowę, która toczyła się przy sąsiednim stole, za nim. Nagle usłyszał nazwisko Jarvisa Deana i obejrzał się. Mówiącym był Curly Belfort, właściciel farmy z Ashcorft. Inni słuchali. Widać było, że Belfort podpisał sobie porządnie. Bruce z uwagą przyglądał się grze swych znajomych.

Po dniu spędzonym w górach był trochę odurzony monotonną wrzawą i brzękiem sztonów.

Ocknął się nagle, usłyszawszy słowa Belforta, które natarczywie wdarły się do jego świadomości:

— ... i niech mnie Bóg skarże, jeśli ze stogu siana nie wylazła, przeciągając się, córka starego Deana. O siódmej rano! Powiedziałem młodemu Paarowi: „Co pan sobie wyobraża? Czy ja mam tu hotel? A może to jakaś nowa europejska moda?” Ale on coś majstrował przy samochodzie.

Belfort śmiał się rubasznie ze swoich słów. — Córka Deana wyrosła na ładne ziółko. Żeby przespać noc w sianie z...

Bruce zerwał się nagle i przystąpił do Belforta. Twarz mu pobladła, usta nieznacznie wykrzywiły się jakimś nieokreślonym uśmiechem.

— Zdaje się, że za wiele wypieś, Curly — przerwał mu. Belfort zmierzył wzrokiem Bruce'a Landora od stóp do głów. Wykrzywił usta w pijacki grymas i śmiejąc się położył karty na stole.

— Kto to powiedział? — zapytał.

— Ja — odparł Bruce. — Tylko pijana świnia może tak mówić jak ty.

Belfort zerwał się z przekleństwem, lecz Bruce pchnął go z powrotem na krzesło. Belfort zerwał się i mrucząc coś do siebie, podniósł krzesło. Zanim się jednak zamachnął, pięść Bruce'a dosięgła go. Belfort zatoczył się i upadł na podłogę. Inni obecni w izbie rzucili się rozdzielać walczących, między nimi stary Sandy.

Nim jednak mógł temu przeszkodzić, Belfort stanął na nogi i już biegł w stronę Bruce'a.

— Przystaniesz!... — krzyczał Sandy.

Jeszcze nie skończył, gdy Bruce uderzył po raz drugi i Belfort zwałił się na podłogę jak kłoda.

Sandy rozpaczliwie objął Bruce'a ramionami.

— Dość już, mój chłopcze — błagał sprowadzisz mi władze na kark. Bruce odsunął go chłodno.

— Lepiej niech się pan w to nie miesza, Sandy radził. Władze władzami, a Belfort musi mi coś oświadczyć, albo jeden z nas otrzyma lanie jak się patrzy. Belfort, cały obolały, podniósł się z trudem, Bruce szedł ku niemu, lecz Sandy zasłonił napastowanego.

— Co to wszystko znaczy? — zapytał znowu patrząc w twarz Bruce'a. — O co chodzi, Curly?

— Zapytaj go — warknął Belfort.

— O co idzie? — zapytał znowu Sandy Bruce'a, nie ruszając się z miejsca.

— Belfort wie — odrzekł Bruce. — Mówił o pewnej pannie, której nazwisko...

— Była tam jeszcze inna kobieta, u licha — ryczał Belfort poblady — i jeszcze jakiś facet. Samochód się zepsuł...

— Więc to, co mówiłeś, było kłamstwem? — nalegał Bruce.

— Opowiadałem tylko to, co widziałem na własne oczy odparł Belfort.

— To, coś z tego wywnioskował, jest podłym kłamstwem! — wyzywająco rzucił Bruce, wysuwając się groźnie naprzód.

Belfort patrzył na niego z rodzajem głupkowatego zdziwienia, kiwając głową. Nagle odezwał się pojednawczo:

— Niech będzie, jak chcesz. Ja przecież tylko tak gadałem...

— Na drugi raz ugryź się w język, gdy ci znów przyjdzie ochota na takie gadanie — ostrzegł go obojętnie Bruce i wyjął papierosa.

Kilku przyjaciół otoczyło Belforta i popychali go ku drzwiom.

— Zobaczmy się jeszcze — zawołał Belfort, odwracając głowę.

— Kiedy tylko zechcesz Curly — odparł Bruce, zapalając papierosa.

Sandy odetchnął z ulgą, gdy Belfort zniknął za drzwiami. Następnie, patrząc w stronę Bruce'a, pokiwał głową.

— To niepewna bestia — rzekł. — Na pana miejscu miałbym się przed nim na baczności.

— Ma pan słuszość — oświadczył Bruce i usiadł obok Myersa.

## ROZDZIAŁ PIĘTNASTY

Jarvis Dean zaprosił na obiad Hektora Cardigana. Ostatnio rzadko się to zdarzało, jakkolwiek za dawnych czasów Hektor był u Deanów częstym gościem. Wiedział jednak, że wówczas działo się to za sprawą Millicent. Obaj mężczyźni utrzymywali wprawdzie nadal nadzwyczaj przyjazne stosunki, lecz po śmierci żony Jarvis prowadził zupełnie samotny tryb życia.

Obiad obfitował w najlepsze potrawy, na jakie stać było pocziwą Annę. Nie brak nawet było pewnego wykwintu. Gdy Jarvis Dean urządzał coś w rodzaju uroczystego przyjęcia, wybierał jako główne danie comber barani. Kiedy więc Hektor zobaczył, że Anna postawiła przed swym chlebowcą półmisek z combrem, zrozumiał, że jego obecność przy uczcie ma być w życiu Jarvisa Deana ważnym wydarzeniem.

Ale dopiero gdy wstali od stołu i przeszli do bawialni, Dean zaczął wspominać o tym, co mu leżało na sercu.

Gospodarz zatrzymał się w hallu i zapytał Hektora, czy woli siedzieć w bawialni, czy w bibliotece. Cardigan nie wahał się ani chwili. Biblioteka była jedynym miejscem w domu, należącym wyłącznie do Jarvisa, podczas gdy bawialnią stanowiła niegdyś królestwo Millicent. Jeszcze obecnie pachniało tu jej obecnością. Poza tym Hektor sam przyczynił się do urządzenia pokoju.

— Oczywiście powiedział Jarvis, gdy Hektor wyraził swoje życzenie. Powinienem był to przewidzieć. Rozgość się. Pójdę tylko po wódkę.

Niebawem obaj przyjaciele siedzieli naprzeciw siebie przy kominku, w którym się nie paliło. Trzymali w rękach staroświeckie kieliszki i pili swe zdrowie z przestarzałą ceremonialnością. Pan domu obciął i zapalił cygaro i obracał je z namysłem w palcach. Hektor natomiast wyjął papierosa z własnej papierošnicy i zapaliwszy go starannie zgasił zapałkę, którą położył na stojącą obok popielniczkę.

— Nieczęsto się zdarza, bym prosił kogoś, ażeby mi pomógł w rozstrzygnięciu moich własnych spraw.

— Bo też rzadko potrzebowałeś czyjejś rady — zachęcał go Hektor. Jarvis wypuścił gęsty kłęb dymu i westchnął głęboko.

— Jesteś bardzo uprzejmy — zauważył jakby do siebie — ale to jest wierutne kłamstwo.

Hektor znał dobrze swego przyjaciela. Sam zarzut kłamstwa ze strony Jarvisa nie był bynajmniej obrażą, jeżeli ton nie był obraźliwy.

— Nie ma ustawy domagającej się kary za uprzejmość w stosunku do gospodarza — odparł.

— W takim razie należałoby stworzyć tego rodzaju prawo — rzekł Dean.

— Każdemu by się przydało usłyszeć czasem prawdę, nawet przy własnym stole.

Hektor zakaszłał.

— Większości ludzi prawda na nic się nie przydaje, bez względu na to, gdzie ją słyszą.

Jarvis przez chwilę zdawał się zastanawiać nad tymi słowami, potem lekko strzepnął popiół ze swego cygara.

— Słyszałeś o awanturze u starego Sandy'ego? — zapytał znienacka.

— Opowiadano mi — potwierdził Hektor ostrożnie.

— Mówią o tym w całej okolicy. Paskudna historia.

— Trudno, nie możemy na to nic poradzić.

— Ale o przyczynach tej awantury można coś niecoś powiedzieć — powiedział ostro Dean. — Za moich czasów nie wymawiano w takich lokalach nazwiska młodej panny... o ile była damą.

— Nie wątpię, że młody Landor myśli tak samo, nawet w obecnych czasach.

— Nie o to idzie. Za moich czasów młoda dziewczyna nie dawała powodów, by wymieniano jej nazwisko przy karcianym stoliku.

— Zdaje się, że czasy się zmieniły — mruknął Hektor.

— Zatem to nasza wina? Za wiele pozwalaliśmy tej młodzieży, która się rozbija samochodami, pije obrzydliwe koktajle i tak dalej. Jak się to skończy?

Hektor westchnął na wpół ubawiony, chociaż wiedział doskonale, co gnębi Deana.

— Zapewne wszystkie wyjdą za mąż, założą własny dom, będą rodziły dzieci i znowu z kolei będą miały z nimi kłopoty — powiedział od niechcienia.

Jarvis pochylił się naprzód w fotelu i spojrzał badawczo na swego gościa.

— Chcę usłyszeć twe zdanie o mej córce — rzekł po prostu. — Jaka ona jest właściwie?

Hektor uśmiechnął się.

— Jest twoją córką, mój kochany, więc powinienieś ją znać lepiej ode mnie — odparł.

— A jednak nie znam jej. Uważałem ją zawsze za dziecko. Teraz, odkąd wróciła, jest jakby kimś obcym. Przeważnie przebywa poza domem. Dziś w nocy wróci zapewne z myśliwskiego domku Paarów też nie sama — jestem o tym przekonany — i obróci mi dom do góry nogami, dopóki znowu nie wyjedzie.

Hektor wstał i rzucił papierosa w pustą czeluść kominka. Podeszedł do szklanych drzwi i patrzył na blado oświetlony blaskiem letnich gwiazd ogród.

— Myślałem wiele o Autumnie — powiedział w końcu — i rozmawiałem z nią. Nie jest szczęśliwa.

— Dlaczego? — mruknął Jarvis. — Ma wszystko, czego tylko pragnie. Przymknął oczy, jakby chciał ukryć swe myśli.

— Oczywiście, nie powiedziała mi tego — odrzekł Hektor. — Domyślam się tylko. — Czego się domyślasz?

Hektor wrócił na swe miejsce i wybrał sobie jeszcze jednego papierosa.

— Moim zdaniem, Jarvisie, dziewczyna się zakochała. I to zaraz po swym powrocie.

Jarvis zmarszczył czoło. Wiedział, co Hektor chce przez to powiedzieć.



— Myślisz o młodym Landorze?

— Oczywiście.

Jarvis Dean wzruszył niecierpliwie ramionami.

— Dziecinada! — zawołał. — Zapomni o tym, jeśli już nie zapomniała.

Hektor milczał chwilę. Nie odrywał wzroku od starego przyjaciela.

— To, co widzisz — rzekł wreszcie bardzo stłumionym głosem — jest właśnie procesem, który ma jej w tym zapomnieniu dopomóc. I nie dziwiłbym się, gdyby był dla niej równie bolesny jak dla ciebie.

— Śmieszne! — wybuchnął Dean.

— Pytałeś mnie o zdanie — oświadczył z godnością Hektor — powiedziałem ci je.

— Gdybym przypuszczał, że to prawda — odparł Dean — sprzedałbym wszystko, wyjechałbym i zabrałbym ją stąd.

— Wiem, że postąpiłbyś tak i nic byś przez to nie uzyskał — rzekł Hektor.

— Co chcesz przez to powiedzieć? Hektor uśmiechnął się pobłaźliwie.

— Powinieneś lepiej znać jej naturę, zamiast mnie o to pytać. Jeśli córka Millicent jest zakochana, to ani ty, ani ja nic na to nie poradzimy.

Nastąpiło długie milczenie. Wreszcie Jarvis Dean nalał sobie wódki, napełnił również kieliszek gościowi i pili znowu swe zdrowie po przyjacielsku, jakby nigdy nie było między nimi nieporozumienia. A potem Dean zaczął rozprawiać o rzeczach, co do których nie mogło być różnicy zdań...

Północ już dochodziła, gdy Autumna wreszcie wróciła do domu,

przywożąc Lindę „Paar, która miała spędzić u Deanów parę dni.

Dziewczęta zastały obu starszych panów przy kominku. Popijali jeszcze whisky i oczy im się kleiły, gdyż dawno już minęła ich zwykła godzina udania się na spoczynek.

Nie spodziewałam się wcale, tatusiu, że będziesz czekał na nas tak długo — zawołała Autumna po ogólnym przywitaniu. — Powinieneś już od dawna leżeć w łóżku.

To mówiąc zdejmowała kapelusz i rękawiczki i usiadła na jednym z krzeseł z czasów królowej Anny, podwijając nogi pod siebie. Oparła się łokciem o poręcz i dłonią podparła brodę. Linda siedziała obok śmiesznie wyelegantowana, ze

złożonymi na kolanach rękoma i z nogami przyzwoicie opuszczonymi na podłogę. Była uosobieniem dobrych manier.

— Pora nie jest późniejsza dla mnie, niż dla ciebie, moje dziecko — odparł z lekką niecierpliwością w głosie Jarvis Dean.

— Ale my jesteśmy już do tego przyzwyczajone, proszę pana — wtrąciła uprzejmie Linda.

— Tak, mówiono mi o tym — odparł Dean. — Czy słyszeliście jednak, moje panienki, że w całym sąsiedztwie mówi się o tym, jak się zachowujecie?

Autumna uśmiechnęła się.

— Nie będziesz się chyba, tatusiu, martwił tym, co mówią plotkarki...

— Martwię się jedynie tobą — przerwał jej. — Czy wiesz, że byłeś powodem skandalicznej bójki w podłym szynku w Kamloops?

— Opowiadano nam to wszystko, ojcze — rzekła Autumna.

— To było po prostu niesmaczne.

— Ale z fasonem — odezwała się Linda.

— Belfort to bydlak — ciągnęła dalej Autumna.

— Szanująca się panna nie daje bydlakowi sposobności skalowania jej

— zauważył Jarvis Dean.

Autumna starała się opanować wzbierający w niej gniew.

— Byliśmy we czwórkę, Lin, ja, Florian i jego przyjaciel — wyjaśniła. — Wracaliśmy z Ashcroft, skąd wyjechaliśmy później, aniżeli zamierzaliśmy i gdy dojechaliśmy do farmy Belforta, zepsuł się samochód. Chłopcy zabrali się wobec tego do naprawy motoru, a Lin i ja położyliśmy się spać w przydrożnej stercie siana. Koło siódmej rano Belfort przyczepił nasz wóz do swego samochodu i tak dostaliśmy się do garażu.

— Bo inaczej stalibyśmy do dziś dnia na polu — dodała Linda.

— Oto cała historia - zakończyła Autumna.

— Nie kwestionuję twego opowiadania oświadczył Jar-vis — ale nie wyjaśnia mi ono niczego. Ta cała eskapada była publicznym skandalem i wywołała zgorszenie bez względu na to, czy Belfort był zumieszany w tę sprawę, czy nie. To się nie może powtórzyć, moje dziecko, jeśli chcesz pozostać w moim domu.

Hektor Cardigan słuchał w milczeniu. Tylko od czasu do czasu wrywało mu się głębokie westchnienie, które Autumnna słyszała wyraźnie mimo podniesionego głosu ojca.

Linda Paar patrzyła ze zdziwieniem na pana domu.

— Nie powinnam może zabierać głosu — ośmieliła się odezwać — ale to był tylko przypadek, tak samo przykry dla nas jak dla pana. Myśmy wyszły na tym jeszcze gorzej, bo musiałyśmy spać w polu. Poza tym młodzież potrafi już dziś sama na siebie uważać.

Niespodziewane gadulstwo Lindy przeraziło Autumnnę. Ale dziewczyna zamilkła natychmiast, zauważywszy gniewny wzrok Jarvisa. Zagryzła wargi i spojrzała bezradnie na Autumnnę.

— Nie ścierpię, by obnoszono wszędzie nazwisko mej córki jakby była zwyczajną ladacznicą — ryknął starzec, uderzając głośno rękoma o poręcz krzesła.

Linda podniosła się ze zwykłą u niej gnuśnością, pożegnała się krótko, wyszła z pokoju i udała się na górę. Autumnna znając przyjaciółkę przypuszczała, że skłoniła ją do odejścia raczej chęć zapalenia papierosa, aniżeli niesmak, spowodowany niemiłą sceną.

— Niepotrzebnie się unosisz, ojcze — powiedziała spokojnie Autumnna po wyjściu Lindy. — Nie jest to dla ciebie wcale wskazane i dziwię się, że bierzesz tę prostą sprawę tak poważnie.

— Prostą? — bełkotał Jarvis. — Dziewczyno, czy ty nie masz poczucia przyzwoitości? Zachowujesz się tak, że mężczyźni biją się o ciebie w spelunce szulerskiej i ty to nazywasz prostą sprawą?

— Tłumaczyłam ci już, ojcze, że był to nieszczęśliwy zbieg okoliczności — upierała się Autumnna. — Byliśmy bardzo daleko od jakichkolwiek siedzib ludzkich. Cóż więc mieliśmy począć o trzeciej nad ranem?

Jarvis wyprostował się, a nozdrza jego zadrgały oburzeniem. O trzeciej nad ranem nie powinnaś się była znajdować ani tam, ani nigdzie indziej, tylko w łóżku. Żeby mi się to więcej nie powtórzyło.

W oczach Autumnny zjawił się groźny błysk. Spojrzała ukradkiem na Hektora, który osunął się ze zmęczeniem na krzesło.

— Cóż więc zamierzasz uczynić, ojcze? — zapytała lodowatym tonem.

— Trzymać mnie pod kluczem?

Na kościstych policzkach starca pojawiły się, jak złowrogi cień, ciemne plamy. Autumnna zrozumiała, że jej słowa rozpętały w głębi jego świadomości falę okrutnych wspomnień i przez chwilę żal jej było, że je wyrzekła.

Jar vis nie zaraz odpowiedział na jej pytanie. Po chwili, z zawziętością wyrzekł swe ultimatum:

— Będziesz się odtąd zachowywała jak dama, w przeciwnym razie wrócisz tam, skąd przybyłaś. Nie pozwolę, by nazwisko Deanów miało być powodem bójek w publicznych knajpach.

Autumna zerwała się gniewnie. W tej chwili odezwała się w niej cała zgryzota długich tygodni minionego lata, tych tygodni, gdy usiłowała wydrzeć sobie z serca miłość do Bruce'a Landora. Żal z powodu cierpienia zadawanego ojcu umilkł.

— Nazwisko Deanów! — krzyknęła z pałającymi, szeroko rozwartymi oczyma. — Więc o to ci tylko idzie? Nie myślisz wcale o tym, co się może stać ze mną. Wiesz, że potrafię sama na siebie uważać. Czyniłam to przez wiele lat, nie dając ci powodu do niepokoju. Ale nazwisko Deanów potrzebuje obrony, a twoja duma cierpi nad tym, że broni go Bruce Landor. Żyłeś tak długo przeszłością, że stała się dla ciebie ważniejsza od własnej córki. Pozwól sobie zatem powiedzieć, że nie dbam o nazwisko, którego trzeba bronić. Po moim powrocie wycierpiałam więcej, aniżeli sobie potrafisz w ogóle wyobrazić, właśnie w obronie nazwiska Deanów. Nie mogę już dłużej i nie chcę. Niech to nazwisko...

Starzec zerwał się w jednej chwili. Jego chuda, wysoka postać trzęsa się z gniewu. — Milcz! — krzyknął. — Milcz! Za daleko się posunęłaś. Za wiele sobie pozwalasz!...

Autumna patrzyła na niego przez krótką chwilę w milczeniu. Osłabł nagle, odwrócił się od niej i chciał chwycić się kominka, by nie upaść. Wydawał się złamany, pochylił się i skurczył, jakby chcąc uniknąć ciosu. W tejże chwili obudziło się znowu w Autumnnie współczucie. Chciała podbiec ku niemu i objąć go, by znów zapanowała między nimi zgoda. Ale Hektor stał już koło niego i dał jej znak, by odeszła. Wyszła z pokoju bez słowa.

Autumna nie mogła długo zasnąć owej nocy. Linda dawno spała w sąsiednim pokoju i cały dom pogrążył się w mroku i w ciszy, a ona ciągle biła się z upartymi myślami, wywołanymi upokarzającą kłótnią z ojcem. Wreszcie, nie mogąc już dłużej znieść przygnębiającej ciemności pokoju wstała z łóżka, zarzuciła szlafroczek i włożyła domowe pantofle.

Jakiś czas stała tak w ciemności przy oknie i patrzyła w parną noc. Na czarnym aksamitnym stropie letniego nieba wisiały jak łzy pod woalem wielkie, łagodne, błyszczące i melancholijne gwiazdy. Spuściła oczy i ujrzała czarną otchłań gór, na które Millicent zapewne też nigdy patrzyła oczyma pełnymi rozpacz. Odetchnęła głęboko i słodki zapach pogrążonej w mroku ziemi, stworzony dla miłości, ścisnął boleśniej jej serce, tak jak niegdyś ogarnął duszę Millicent w jej beznadziejnej niedoli. Autumna wysunęła się cicho na korytarz. Pies jej ojca, Pat który sypiał na rogóżce przed drzwiami swego pana, zerwał się usłyszawszy jej kroki, położył się jednak zaraz uspokojony jej pieszczotą.

Zeszła na dół i opuściwszy dom skierowała się do zakątka ogrodu otoczonego bzami. Tu stał jeszcze na niskim cokole słoneczny zegar jej matki<sup>1</sup>. Tu, jak ciche ciemne jezioro rozlewała się woń róż. Spod królewskiego namiotu nieba schylały się gwiazdy, świecąc białym, migotliwym światłem, zlewającym się z niewyraźnym odbłaskiem białych i żółtych róż. Tu Millicent Dean liczyła tęsknie dni i noce swego ostatniego lata. Przez pamięć o niej poczciwa Anna nie pozwoliła niczego w tym zakątku zmienić. Panowała tu zawsze jeszcze zaczarowana atmosfera żalosego sanktuarium.

Autumna usiadła na ławeczce obok zegara słonecznego i otuliła się w fałdy szlafrocza. Umysł jej stał się dziwnie podatny i wrażliwy na kojący wpływ emanujący z ustrojonej kwiatami kapliczki, która niegdyś była ulubionym miejscem jej matki. Jakaś spokojna pewność siebie powstała w jej duszy.

Millicent Odell odżyła, wzniosła się ponad tragedię własnego życia, ponad tragedię Jarvisa Deana, Godfryda Landora i nieszczęśliwej Janiny. Autumna przymknęła oczy pod wpływem radosnego olśnienia, które umocniło w niej świado-

mość, że jej miłość dla Bruce'a była nieuchronnym, nieubłaganym przeznaczeniem, którego opór jej ojca nie mógł ani zmienić, ani zniweczyć.

Ocknęła się usłyszawszy jakiś szelest. Obejrzała się szybko i ujrzała Hektora Cardigana.

— Hektor! Co cię tu sprowadza o tej porze? — zapytała szeptem. Uśmiechnął się z zakłopotaniem.

— Nie pierwszy raz tu przychodzę — odparł cicho, dziwnie nienaturalnym głosem — ale dopiero po raz pierwszy mnie na tym przyłapano.

Nie potrzebowała pytać, po co przybył. Millicent żyła tu dla niego tak samo jak dla Autumny.

— Nie mogłam spać po tym zajściu z ojcem... — rzekła. Hektor przybliżył się i usiadł obok niej na ławce.

— Przykra sprawa, prawda? — mówił zmartwiony. — Uprzedzałem cię jednak, że ci będzie ciężko z ojcem. Co prawda tego nie przewidziałem - przyznaję.

— Co niam teraz począć? — pytała.

— Sama wiesz, nie potrzebuję cię pouczać — odparł. Autumnna zerwała kwiat ze zwisającej nisko gałęzi i przybliżyła go do ust.

— Kocham ojca — rzekła po prostu — i kocham to wszystko, do czego wróciłam. Nie chcę tego porzucić.

Hektor milczał przez chwilę. A potem rzekł jakby do jakiejś trzeciej istoty, znajdującej się obok:

— Autumnna kocha syna Godfryda.

Młoda dziewczyna wyprostowała się mimo woli, jakby broniąc się przed dziwnym wrażeniem jakiego doznała.

— Czy to takie oczywiste? — zapytała.

— Przeszłość się powtarza — rzekł. — Moje oczy nie są jeszcze takie stare, aby tego nie dostrzec.

— Przeszłość właśnie stała pomiędzy Bruce'em a mną, Hektorze — powiedziała. Hektor nachylił się i odparł:

— O tym pomówię z tobą, dziecinko, gdy przyjdzie czas, że będę musiał to uczynić.

Autumna spoglądała na upiorny cień obsypanego kwieciami krzaku róż.

Gdybyś mi był zaraz po moim powrocie do domu opowiedział wszystko, co wiedziałeś, zaoszczędzilibyśmy sobie tego, co zaszło dzisiejszej nocy — rzekła. Hektor westchnął głęboko i smutnie.

— Zapominasz, dziecko, że niektórzy ludzie mają jeszcze poczucie lojalności. Jeśli nie wyjawiałem ci wszystkiego, to dlatego, że mi nie było wolno.

— Wszystko jedno — powiedziała. — Teraz już i tak za późno.

— Przeciwnie — odrzekł — jest jeszcze za wcześnie. Autumnna zniecierpliwiła się.

Jak długo zatem musisz zachować milczenie? — zapytała.

— Tak długo jak potrafię.

Lekki wietrzyk poruszył drzewami i do jej stóp na trawę opadł deszcz białego kwiecia.

## ROZDZIAŁ SZESNASTY

Gdy Linda zadzwoniła nazajutrz do Landorów, zamierzając w ciągu dnia odwiedzić Bruce'a, dozorca farmy Andrzej Gilly oznajmił jej, że Bruce wyjechał do Vancouveru w celu załatwienia interesów i wraca dopiero pod koniec tygodnia.

— Trudno! — powiedziała Linda. Położyła się na kanapce i otworzyła tom francuskich wierszy, przyniesiony z pokoju Autumny.

Dowiedziawszy się o wyjeździe Bruce'a do Vancouveru Autumnna doznała dziwnego uczucia osamotnienia i niepokoju, które ją niecierpliwiło. Dopiero teraz uświadomiła sobie, że w ciągu długich tygodni rozłąki pocieszało ją to, że on jest w pobliżu, w odległości kilku zaledwie mil i że podświadomie nigdy nie straciła nadziei, że jednak mimo wszystko w jakiś sposób kiedyś się znów zejdą.

Podczas gdy Linda czytała, Autumnna grała cicho na fortepianie. Jarvis wyszedł z domu zaraz po śniadaniu, odczuwając potrzebę samotności, najlepiej odpowiadającej jego nieprzystępnemu usposobieniu. Hektor wrócił do miasta i dziewczęta pozostały zupełnie same.

Nagle Linda rzuciła książkę na podłogę.

— Robi się ze mnie typowa stara panna! — zawołała.

— Co ci się stało, Lin? zapytała Autumnna, odwracając się od fortepianu.

— To zły znak, gdy dziewczyna zaczyna się wyżywać w erotykach — rzekła.



— Oszczędza sobie przynajmniej wiele kłopotów — oświadczyła Autumnna.

— I nic na tym nie korzysta. W kłopotach tkwi jednak trochę zadowolenia. W każdym razie mają one urok odmiany. Ginę z nudów, Autumnno. Ty możesz przynajmniej od czasu do czasu urządzić przyzwoity raban z rodziną.

Autumna wlepiała oczy w podłogę, nieco zaaferowana.

— Nie powiem, żebym była dumna z tego powodu, moja kochana — odrzekła. — To głupia sprawa, jakkolwiek zupełnie niewinna.

Wypowiedziała pierwsze lepsze słowa, jakie jej przyszły na myśl, nie chciała jednak, by Linda zauważyła, co się dzieje w jej duszy.

— Dla-mnie każda awantura byłaby pożądana — powiedziała rozmarzona Linda — gdyby tylko Bruce Landor chciał mnie bronić.

Jesteś niewdzięcznicą, Autumnno.

Autumna zerwała się, podeszła do okna i spojrzała na ogród, w którym ubiegłej nocy doznała tak dziwnych uczuć. Teraz, w jasnym świetle letniego poranka pojęła, że nienaturalna ufność, jaka zrodziła się w niej tej nocy, była złudzeniem. Nie było dla niej innego wyjścia, jak dźwigać dalej swe nieszczęście, dla dobra zarówno ojca jak Bruce'a Landora.

— Czy możesz nie być w nim zakochana po uszy? — zapytała Linda.

— Ja? W kim?

— W kim? — powtórzyła zniecierpliwiona Linda. — Wiesz doskonale! Autumnna nie odwróciła się od okna.

— Robisz się nudna, Lin — powiedziała.

Linda przewróciła się na kanapce i leżąc na brzuchu przyglądała się prostym plecocom przyjaciółki.

— Wiesz co? — rzekła w końcu. — Zdaje mi się, że pokochałaś go od pierwszej chwili.

— Musisz mieć ku temu własne powody — odcięła się Autumnna.

— Owszem, kochanie. Po pierwsze twoje wybryki wydają mi się sztuczne. Ja szaleję, bo mnie to bawi, ale ty... nie lubisz tego.

Autumna odeszła od okna, usiadła przy stole i wzięła do ręki ilustrowany miesięcznik.

— Nie wiem, o czym mówisz — rzekła obojętnie, odwracając powoli kartkę po kartce.

Linda namyślała się chwilę.

— Otóż twoje serce nie bierze udziału w zabawach. Myślisz o czymś innym, a przy brydżu w ogóle nie uważasz. Słowem — dodała po chwili milczenia, przypatrując się badawczo Autumnie — jesteś zakochana albo ja jestem upośledzona umysłowo.

Autumna sięgnęła po papierosa.

— W takim razie, kochanie, jesteś idiotką, Lin — uśmiechnęła się niedbale.

— Tak, jestem głupia pod niejednym względem — odparła młoda dziewczyna. — Ale nawet dureń może mieć swój rozum. Dlaczego nie zerwiesz z Florianem i jego paczką? Nie kochasz go i nigdy go nie pokochasz, a jego znajomi nudzą cię śmiertelnie.

— Nie wszyscy, Lin.

— Jestem jedynym wyjątkiem i to zazdrosnym jak diabeł. Owej nocy, gdy Bruce wyrwał cię z tej awantury przy ruletce i zaniósł do ogrodu, byłabym z rozkoszą przecięła tve piękne gardziółko. Czy możesz sobie wyobrazić, by który z chłopców zrobił coś takiego dla mnie? A wczoraj rano byłabym chętnie wsypała ci truciznę do kawy, gdy Florian opowiedział nam, że Bruce w twojej obronie znokautował Curly Belfortal. W tych czasach i w tym wieku, moja kochana! Każdy z moich znajomych panów skonałby ze śmiechu, zanim zdecydowałby się dla mnie na taki krok. A ty jeszcze masz o to pretensje!

— Lin, ty stanowczo głupiejesz — oświadczyła Autumnna.

— Wiem, wiem, moja droga! Ale pod pewnym względem nie jestem głupia... i nie będę. Nie należę do tych, które kochają się wiecznie i beznadziejnie.

Autumna roześmiała się sucho i zerwała się z krzesła. Przejedźmy się konno, zanim się nie zrobi zbyt gorąco — zaproponowała.

Linda przeciągnęła się leniwie i wreszcie wstała z kanapki.

— Czyli innymi słowy: „Przestań na miłość boską!” To chciałaś powiedzieć, prawda?

I Linda wyszła z Autumną przebrać się do przejażdżki.

Następnego dnia przyjechał do Deanów dozorca farmy Landorów Andrzej Gilly. Linda Paar odjechała dopiero przed godziną do domu, a Autumnna ścinała róże w zakątku ogrodu. Andrzej Gilly nieczęsto przyjeżdżał do Deanów, toteż na jego widok ogarnął ją nagły niepokój. Zebrała szybko kwiaty i zawróciła do domu.

Andrzej Gilly rozmawiał na podwórzu przed drzwiami wejściowymi z Tomem Willmarem. Autumnna wahała się przez chwilę, lecz dziwny wyraz oczu Toma nakazał jej przyśpieszyć kroku i zbliżyć się do rozmawiających. Na jej widok Andrzej Gilly z zakłopotaną miną zaczął obracać czapkę w rękę. Był wyraźnie przybity.

— Dzień dobry pani — powitał ją. Wyczuła w jego zachowaniu jakby wyrzut.

— Dzień dobry, panie Gilly — odparła z uśmiechem. — Czy Bruce wrócił już z Vancouveru?

Pytanie to wyrwało się jej, zanim miała czas zastanowić się.

— Nie — odrzekł Gilly — jeszcze nie wrócił i wcale mi nie śpieszno go zobaczyć. Mam dla niego bardzo niedobłą wiadomość.

— Co się stało? — zapytała Autumnna. Tom Willmar chrząknął.

— Gilly znalazł dziś rano na pastwisku przeszło trzydzieści zdechłych owiec — opowiedział.

Jej złodowaciałe ręce zacisnęły się kurczowo wokoło kwiatów.

— Czyżby te premiovane merynosy, z którymi przeprowadza próby hodowlane? — zapytała bez tchu.

— Właśnie te — odparł Tom Willmar. — Otruto je strychniną, wsypaną do koryta z solą.

— Boże Świąty! — krzyknęła Autumnna, czując że ją coś chwyta za gardło.

— Ten wypadek strasznie go zmartwi — zauważył Gilly drżącym ze wzruszenia głosem.

Autumna chciała coś powiedzieć, ale przez ściśnięte gardło nie mogła wykrztusić ani jednego słowa.

— Przyjechałem dowiedzieć się, czy i tu nie było jakiegoś wypadku — ciągnął dalej Andrzej Gilly. — Ale Tom mówi, że nie.

— Bo i prawda — mówił Tom. — Mieliliśmy tu, co prawda, trochę wyki, która...

— To się nie stało z naturalnych przyczyn — przerwał mu Andrzej. — To sprawka jakiegoś łotra. Musiał zakraść się w nocy do koryta pełnąc na brzuchu, inaczej psy by go rozdarły.

— Nie domyślacie się, kto to mógł być? — zapytała cicho Autumnna bardzo przygnębiona.

Dozorca miał tyle delikatności, że unikał jej wzroku. Na jego ogorzałej twarzy malował się jednak wyraz gniewnego rozgoryczenia.

— Mam o tym swoje własne zdanie — rzekł znacząco — i sędzę, że się nie mylę. Przypuszczam, że Bruce zgodzi się ze mną w tym punkcie, choć — mała z tego pociecha. Nie mamy najmniejszych dowodów.

Autumna wiedziała, co ten człowiek ma na myśli.

— Podejrzewacie Belforta, prawda? — zapytała bez ogródek. Spojrzał jej prosto w oczy z wyrazem niechęci.

— Jaka pani chytra! — odparł. — Dla mnie nie ulega wątpliwości, że to jego sprawka.

— To jest coś więcej niż podejrzenie. Tom potrzęsął głową.

— Trudno będzie dowieść bandzie Belforta — zauważył. — Co za podłość!

Autumna stała chwilę bezradnie i usiłowała powstrzymać cisnące się jej do oczu łzy. Nie mogła jednak długo opanować wzburzenia; odwróciła się i uciekła do domu.

W tej chwili Jaryis Dean pojawił się na ścieżce wiodącej do zagrody. Szedł powoli, a za nim dreptał Pat.

## ROZDZIAŁ SIEDEMNASTY

Ojciec Autumny wysłał ją do miasta w interesach, które przy sposobności mógł śmiało sam załatwić. Uciekł się do tego podstępu, aby mieć zupełną swobodę w domu. Mógł też wymyślić sposób pozbycia się poczciwej Anny, lecz istnieją pewne granice, których szanujący się człowiek nie przekracza. Jarvis byłby też z tych samych względów pozwolił zostać w domu i córce, lękał się jednak, że obecność młodego Landora zrani jej uczucia.

Stary Dean bowiem poprosił do siebie Bruce'a, aby z nim porozmawiać o sprawach, które nie mogły być poruszone w rozmowie telefonicznej. Mógłby Jarvis pojechać w tym celu do domu Landora, ale jakiś instynkt czy uczucie powstrzymały go od tego. Poza tym Landor nie okazał żadnej niechęci do odwiedzenia Deana.

Czekając teraz na młodego Landora Jarvis był dziwnie wzruszony. Niebawem miał się spotkać oko w oko z synem Godfryda Landora, rozmawiać z nim jak mężczyzna z mężczyzną, jakkolwiek trudno było w to uwierzyć, że Bruce istotnie jest już zupełnie dorosły. W ciągu tych wszystkich lat rozmawiał z Bruce'em bardzo rzadko i krótko, to znaczy witał się z nim, gdy się spotkali, i uprzejmie pytał o zdrowie jego matki. Nie była to wyłącznie jego wina, jak to sobie zresztą często powtarzał. Chłopak wychował się pod wpływem Janiny Landor, która była zgorzkniała aż do samej śmierci. Bruce trzymał się tak samo z daleka jak on. Na pogrzebie Janiny

Jarvis był szczerze wzruszony stratą, jaką spotkała młodzieńca i pragnął z całego serca móc się zdobyć na odwagę okazania mu swej przyjaźni. Zawsze bowiem pragnął, mimo wszystko, co ich dzieliło, być dla Bruce'a Landora ojcem.

A więc dziś z nim pomówi. Jakże inaczej rozmawiałby z nim, gdyby sprawy wzięły inny obrót! Może nie powinien był opowiedzieć Autumnie o tragedii, która złamała mu życie. Może lepiej byłoby zabrać ze sobą do grobu tę tajemnicę i pozostawić młodym dziedzictwo szczęścia, które im się należało. Wówczas byłaby się również zabił rana, jaką poniosła jego duma i wszystko by się skończyło dobrze. Ale takich rzeczy nie można nigdy przewidzieć. Los wmieszał się przemocą w życie niewinnych. Grzech ojców! Niewątpliwie lepiej było wyznać prawdę, ponieść od razu konsekwencje i zabezpieczyć się poniekąd na przyszłość. Jarvis podszedł do okna usłyszawszy, że ktoś przyjechał. Zobaczył Bruce'a, który wysiadł z samochodu i zbliżał się ku bramie. Jarvis odszedł od okna i usiadł w fotelu przy biurku. Po chwili doszedł go z hallu głos starej Anny i zaraz potem w drzwiach gabinetu ukazał się Bruce Landor. Jarvis podniósł głowę. Doznał wrażenia, że patrzy na God-fryda Landora, tak swobodne było zachowanie się młodzieńca, który stał wyprostowany, patrząc wyzywająco. Miał na sobie bryczesy i miękką popielatą koszulę, rozpiętą pod szyją.

Dzień dobry, Landor przywitał go Jarvis Dean, nie wstając z fotela. — Proszę wejść i usiąść.

Bruce wszedł do pokoju i stanął przed gospodarzem. Chciał pan ze mną mówić — przypomniał mu.

— Tak — odparł Jarvis. — Niechże pan usiądzie... Wskazał mu wolne krzesło. Bruce usiadł i rozejrzał się szybko po pokoju. Nastąpiło przykre milczenie, które Bruce rychło przerwał. — Mam nadzieję, że pan się dobrze miewa - zaryzykował z umyślną serdecznością.

Gospodarz rzucił mu spod krzaczastych brwi tak surowe i przeszywające spojrzenie, że ktoś mający mniej czyste sumienie byłby odczuł zakłopotanie.

Dość dobrze, dziękuję odparł Jarvis. — W moim wieku człowiek nie powinien się skarżyć, gdy mu od czasu do czasu coś dolega.

— Świetnie się pan trzyma, panie Dean — rzekł Bruce.

— Możliwe... możliwe — potakiwał Dean, biorąc z biurka cygaro i odgryzając jego koniec. — Zapalmy sobie — dodał. — Będzie się nam lepiej rozmawiało. Poczęstowałbym pana cygarem, ale wy młodzi...

— Mam papierosy, dziękuję — odrzekł Bruce, dobywając z kieszeni pudełeczko i wyciągając zeń papierosa. Potarł zapałkę, wstał i podał ją Deanowi. Dziwną mu się wydawała ta chwilowa zażyłość z człowiekiem, który był dlań od dzieciństwa jakąś tajemniczą i niedostępną osobistością.

— Stracił pan pewną ilość owiec — zaczął gospodarz, gdy Bruce usiadł znowu.

— Trzydzieści cztery — odrzekł.

— Z tych nagrodzonych merynosów?

— Tak.

— Przykre, bardzo przykre — rzekł Jarvis. — Gilly mówił mi, że otruto je strychniną, nasypaną do koryta z solą. Czy to pewne?

— Po powrocie pokazano mi orzeczenie weterynarza.

— Tak, słyszałem o tym. Gilly opowiadał mi również, że podejrzewa pan Belforta.

— Nie mamy na to dowodu — powiedział Bruce — ale wiem, co o tym myśleć i na czym opierać swe przekonanie.

— Może się pan jednak mylić. Bruce uśmiechnął się.

— Zapewne, ale tym razem nie sądzę, abym się mylił. Gospodarz wychylił się i strzepnął popiół z cygara.

— Przyznaję, że ten człowiek mógł to uczynić. Należy on do tego rodzaju ludzi, którzy zdolni są do takiego czynu, jeżeli mają powody. Ale nawet zły człowiek nie czyni nic bez przyczyny.

— Zdaje mi się jednak, że dałem mu ten powód — odparł Bruce bez ogródek.

— Właśnie o tym chciałem mówić. Opowiadano mi, że w ubiegłym tygodniu pan się z nim o coś w mieście pokłócił.

— Istotnie — przyznał Bruce.

— Poszło o to, że Belfort powiedział coś o... mojej córce, czy tak? — zapytał Dean.

— Postąpiłbym tak samo, jak postąpiłem, bez względu na to, czy chodziłoby o pańską córkę, czy o inną kobietę.

Jarvis pomiął to wyjaśnienie przeczącym gestem.

— Zapewne, mój chłopcze, zapewne, ale to nie ma nic wspólnego z naszą sprawą.

Zawahał się, odetchnął głęboko i poprawił się w fotelu.

— Pan jest młody, bardzo młody - ciągnął dalej — a ja jestem starym człowiekiem. Może moje zdanie nie będzie wiele znaczyło dla młodzieńca w pańskim wieku. Uważam jednak, że jeśli młoda panna przez swe lekkomyślne zachowanie się staje się przedmiotem plotek, to sprawy nie poprawi się przez urządzenie publicznych bijatyk.

— Córka pana nie zachowywała się tak lekkomyślnie — sprzeciwił się Bruce — a zresztą uczyniłem to, co musiałem, nie mając innego wyjścia.

— Czy nie byłoby lepiej, gdyby pan się w to nie mieszał, zamiast zrobić z mojej córki i z siebie samego pośmiewisko całej okolicy?

— Obawiam się, że w tym punkcie nigdy się nie porozumiemy — odrzekł Bruce. — Bardzo mi przykro, jeśli państwo mieli z tego powodu jakieś nieprzyjemności.

Twarz Jarvisa pociemniała.

— W każdym razie w przyszłości wolałbym sam załatwiać tego rodzaju sprawy, dotyczące mnie lub mej rodziny.

— Jak pan sobie życzy — odparł Bruce przez zaciśnięte wargi.

— Prawdę mówiąc, mój chłopcze, pragnę uczynić wszystko, co jest w mej mocy, by powetować przykre następstwa tej nieszczęsnej historii. Na ile pan oblicza wartość tych owiec?

Bruce zaczerwienił się.

— Nie obliczyłem tego jeszcze dokładnie.

— W takim razie proszę to uczynić i podać mi sumę. Chciałbym pokryć panu tę stratę.

Bruce spojrział na Jarvisa, czując nagły przypływ gniewu. Wahał się chwilę. Już miał wybuchnąć, lecz zdołał się w porę opanować, doszedłszy do przekonania, że nie ma powodu do obrazy. Przecież Dean uważał niewątpliwie, iż jego propozycja jest wspaniałomyślnym gestem.

— Pojmuję, jakimi pan się kieruje pobudkami — oświadczył w końcu ale strata dotyczy tylko mnie. Spowodowałem ją sam i sam poniosę konsekwencje.



Silne ręce Jarvisa Deana opadły ciężko na poręcz fotela.

— Czy pan chce przez to powiedzieć, że pan... odrzuca moją propozycję?

— zapytał ochrypłym głosem.

Bruce roześmiał mu się w twarz.

— Chyba nie przypuszczał pan, że ją przyjmę? — odparł. — Tak nisko jeszcze nie upadłem.

Na czole Jarvisa Deana pojawiła się niebieskawa żyła. Zerwał się na nogi z zadziwiającą w jego wieku sprężystością.

— Panie Landor, to jest... to jest po prostu bezczelność — dyszał.

Bruce, który wstał zaraz po zerwaniu się Deana, spojrzał starcowi śmiało w oczy.

— Czy pan nie jest nieco niesprawiedliwy, panie Dean? — zapytał.

— Dość tego, młokosie! — zawołał. — Uczyniłem panu propozycję honorowego człowieka, a pan ją odrzucił. Czy dobrze zrozumiałem?

— Nie mogłem jej przyjąć, proszę pana.

— Dobrze, jak pan sobie życzy. Lecz od dziś zrywamy wszelkie stosunki, rozumie pan? Dla mnie i dla mej córki jest pan człowiekiem obcym... aż do końca mego życia.

Przyskoczył do Bruce'a z wyciągniętą naprzód głową, krzycząc:

— Zrozumiał pan?

— W zupełności — odparł Bruce, wyjmując z kieszeni papierosa.

Ręka mu nieco drżała, gdy zapalał zapalniczkę, lecz wiedział już teraz, że uda mu się opanować wzburzenie. Kiedy spojrzał po chwili na Jarvisa Deana zdumiał się przerażającą zmianą, jaka w nim zaszła. Dziedzic opierał się ciężko o poręcz fotela. Pochylił głowę i przesuwając niepewnie rękę po oczach, jakby chciał spędzić coś, co mu zasłaniało widok. Bruce podszedł doń zaniepokojony, lecz natychmiast Jarvis Dean wyprostował się. Był śmiertelnie blady, twarz miał wykrzywioną, lecz zdołał się lekko uklonić.

— Do widzenia — rzekł i czekał aż Bruce wyjdzie. Bruce patrzył nań przez chwilę zmieszany i do głębi

poruszony. Potem skłonił się w milczeniu i skierował

ku drzwiom. Gdy wyszedł z pokoju, Jarvis Dean oparł się o fotel i słuchał oddalających się kroków Bruce'a Landora.

Dean siedział jeszcze w gabinecie godzinę, czy nawet dłużej, aż do chwili, gdy Autumnna wróciła z miasta. Usłyszawszy, że wchodzi na schody, zamknął duży, oprawiony w skórę dziennik, w którym coś zapisywał, i schował go do szuflady biurka. Następnie zamknął szufladę i położył kluczyk na zwykłe miejsce nad biurkiem.

Gdy Autumnna weszła do pokoju, podniósł siwą głowę.

— Już z powrotem? — zapytał. — Pośpieszyłaś się.

— Wyjechałam przecie trzy godziny temu — odparła — a nie miałam tak wiele do załatwienia.

— Byłaś u Snydera?

— Owszem. Zastałam go w biurze. Przyjdzie do ciebie jutro po południu.

Jarvis wstał od biurka i stanął przy kominku.

— Wezwałem tu młodego Landora — powiedział nagle.

— Mówiła mi Anna. Czy... czy posprzeczaliście się? Anna mówi...

— Anna za dużo mówi — przerwał Jarvis. — Jeśli doszło do przykrej sceny, to tylko z winy Landora. Zachował się jak zuchwały smarkacz.

Autumna podeszła do okna i spojrzała na zachód, w kierunku farmy Bruce'a.

— Czy jesteś pewny, ojcze, że go sprawiedliwie osądzasz? — zapytała spokojnie.

— Nie potrzebuje, byś go broniła — zganiał ją Jarvis.

— Wiem o tym i nie zamierzam go bronić — odrzekła. — Zresztą nie wiem nawet, co między wami zaszło.

— Zaproponowałem mu odszkodowanie za stracone owce — wyjaśnił Jarvis.

Autumna odwróciła się od okna. Chyba nie przyjął tego?

Jak to? Dlaczego nie miałby przyjąć? — zawołał Dean. — Z czyjej winy został poszkodowany?

Autumna patrzyła przez chwilę na ojca nic nie mówiąc, po czym rzekła:

— Z mojej, ojcze. Muszę to przyznać, ale nie można było tego tak załatwiać.

— Więc może powiesz, jak można mu inaczej za to zapłacić? — zawołał gniewnie Jarvis.

— Nie wiem, czy będzie to w ogóle kiedyś możliwe — powiedziała.

— Teraz już raz na zawsze jest sprawa załatwiona — odparł Jarvis. — Od dziś wszystko jest zerwane między młodym Landorem a Deanami.

Autumna spokojnie spojrzała ojcu w oczy.

— Czy zgodził się na to? — zapytała.

— Nie pytałem go o to — oświadczył Dean. — Powiedziałem mu, że tak będzie i mam prawo wymagać, aby do moich życzeń się zastosowano.

Autumna uśmiechnęła się cierpliwie.

— Zawsze tak było, ojczy — zauważyła, po czym odwróciła się i wyszła z pokoju.

## ROZDZIAŁ OSIEMNASTY

Bruce Landor nie mógł przez cały dzień zapomnieć zjadliwej urazy, jaką Jarvis Dean żywił w stosunku do niego. Starał się jednak jak najmniej o tym myśleć i zabrał się z zapalem do wykonania ulepszeń na farmie, których plan ułożył na wiosnę. Przy pomocy Andrzeja Gilly'ego wyznaczył odpowiedni obszar pod sadzawkę do pławienia owiec. Ale przygotowując grunt pod wykop i zwożąc belki na ocembrowanie nie mógł zapomnieć o rozgoryczeniu Deana. Dopiero teraz uświadomił sobie, że mimo wszystko spodziewał się, że Autumna przyjdzie kiedyś znowu, tak jak wówczas, by przynajmniej lojalnie wytłumaczyć swe zachowanie. Teraz stracił już tę nadzieję. Odtąd Autumna i on przejdą przez życie oddzielnie, a przeszłość musi być zapomniana. Musi przede wszystkim zapomnieć o tej nocy wiosennej, kiedy tulił ją w ramionach. Pod koniec tego dnia miał dość swych ludzi, pracy, siebie i stracił zupełnie humor. Pośpiesznie zjadł kolację i prawie nie odzywał się do Gilly'ego, który siedział naprzeciw. Parność zapadającej nocy pulsowała w jego zmysłach; z drażniącą ruchliwością biegały po siatce w oknie małe owady. W fiołkowym zmierzchu, obrysowanym prostokątem drzwi, widział już nietoperze krążące po niebie w czarnych niesamowitych parabolach. Zjadłszy kolację wstał natychmiast od stołu, rzucił parę słów Gilly'emu i wyszedł z domu.

Już pół godziny później przywiązał konia do brzozy w pobliżu szałas w wawozie, pogłaskał pieszczotliwie miękkie

nozdrza zwierzęcia i dał mu kawałek cukru, o który koń upomniął się cichym, lecz natarczywym rzeniem. Bruce rozebrał się szybko w chacie, narzucił stary płaszcz kąpielowy, który przywiózł z sobą, i wzięwszy ręcznik zszedł do wąwozu, do miejsca, gdzie górski potok zwięzał się i płynął głębszym nurtem.

Zanurzył się w zimną wodę i wytarł silnie ręcznikiem, następnie owinał się płaszczem kąpielowym i stał cicho słuchając odgłosów gór, idących od szczytów. Były to jakby skargi, czasem ledwie słyszalne, odzywające się w równych, drażniących odstępach, senne kwilenie ptaka, wpadające w mrok jakby klejnot, przedzieranie się małego zwierzątka przez poszycie lasu, westchnienie zamierającego w wysokich sosnach wietrzyku! Piękno i powaga nocy sprzysięgły jednak się przeciwko niemu i obaliły obronny wał, który wznosił dokoła siebie. To wszystko ześrodkowało się nagle w gorącym pożądaniu Autumny.

Niezadowolony z siebie pobiegł z powrotem do chaty i ubrał się pośpiesznie w półmroku. Właśnie zajęty był zbieraniem przyniesionych z sobą rzeczy, gdy usłyszał rzenie swego konia, a po chwili szelest.

Skierował spojrzenie ku drzwiom.

Wśród mroku ujrzał delikatnie rysującą się sylwetkę Autumny Dean w czarnej sukni. Przyszła tak jak owej pamiętnej nocy trochę nieufna, a trochę zuchwała.

Bruce rzucił na krzesło płaszcz kąpielowy i ręcznik i zbliżył się do drzwi powoli, jakby z namysłem. Jedną ręką oparł o futrynę, a drugą wziął się pod bok i patrzył na nią z niewyraźnym uśmiechem, który tworzył na jego prawym policzku długą, dziwaczną bruzdę — tę bruzdę, którą miała ciągle przed oczyma, gdy trapiły ją myśli o nim. Czekał, by przemówiła pierwsza.

— Bruce — zaczęła, czując drżenie swego głosu. — Pan Gilly powiedział mi, że pan tu jest. Chciałam z panem pomówić.

— Pani także? — zapytał Bruce. — Ostatnimi czasy rodzina Deanów zaczyna się mną żywo interesować.

Bawiła się rękawiczkami, patrząc nań bezradnie.

— Czy mogę wejść? — zaproponowała nieśmiało. Bruce roześmiał się z lekkim przekąsem, po czym otworzył szeroko drzwi i usunął się na bok.

— Bardzo proszę — odparł — lecz niestety nie mam dziś nafty w lampie. Nie spodziewałem się gości.

Zapalił papierosa i poczęstował ją również. Autumnna potrząsnęła głową przecząco.

— Jak pani sobie życzy — rzekł i schował papierosy do kieszeni.

Autumna usiadła w półmroku w pobliżu drzwi, podczas gdy Bruce oparł się o brzeg stołu, założywszy nogę na nogę. Widziała, że obserwuje ją uważnie i że nie przestaje się uśmiechać.

— Był pan dziś u mego ojca — zaczęła.

— Na jego zaproszenie — odrzekł Bruce. — Chciał mi zapłacić za owce, które straciłem.

— Opowiadał mi o tym.

— W takim razie powinien był pani również powiedzieć, że odtąd nie mamy sobie nic więcej do powiedzenia.

— To też mi mówił.

— Zatem te odwiedziny są tylko takim sobie gestem z pani strony?

— Jakiego rodzaju gest pan ma na myśli?

— Jako wyraz nieposłuszeństwa wobec ojca pani i pogardy dla mnie.

— Ojciec nawet nie podejrzewa, że tu jestem — wyjaśniła Autumnna — a gdybym chciała okazać panu pogardę, unikałabym pana.

— Tak, jak to pani czyniła przez całe lato.

Autumna zacisnęła pięści pod wpływem wzbierającego w niej gniewu.

Nie przyszła tu po to, by ją dręczył.

— Wiedziałałam przecież, że pan tego nie zrozumie. Zaśmiał się drwiąco:

— To wcale nie jest takie trudne do zrozumienia — odparł. — Znalazła sobie pani odpowiednie towarzystwo. Nie mam z tego powodu do nikogo żalu. Dla mnie nieszczęściem było tylko to, że przyszła pani do mnie owej nocy, zanim pani to towarzystwo znalazła.

— I to było nieszczęściem? — zapytała.

— Niezbyt tragicznym oświadczył z uśmiechem. — Wcale miłym, dopóki trwało.

Zerwała się natychmiast, i skoczyła ku niemu z gniewnym spojrzeniem pałających oczu w pobladłej nagle twarzy.

— Przyszłam tu teraz — krzyknęła — by się zapytać, czy będziemy przyjaciółmi mimo tego, co mój ojciec dziś rano panu powiedział.

— Pani дума musiała dużo wycierpieć, zanim się pani zdecydowała na ten krok — odparł chłodno.

— To moja rzecz — odrzekła. — Dlaczego nie powiedział mi pan od razu, że tracę czas daremnie?

— Uczyniłbym to — rzekł spokojnie Bruce — gdyby mi pani od razu powiedziała, co panią do mnie sprowadza. Wiem już od dawna, że pani i ja nie możemy być przyjaciółmi.

Odrzuciła dumnym ruchem głowę.

— Nie będę pana pytała o powód — powiedziała i odwróciła się ku drzwiom.

Zanim się spostrzegła chwycił ją za rękę i odwrócił tak, że patrzyli sobie prosto w oczy.

— Mimo to chcę, by go pani poznała.

Przy tych słowach porwał ją w ramiona. Czuł, że się nie opiera i jego niemal brutalne pocałunki odwzajemnia z jakąś dziką rozkoszą.

Następnie usiłowała z całej siły odepchnąć go i uwolnić się z miazdzącego ją uścisku.

Bruce śmiejąc się chwycił ją za ramiona i odrzucił od siebie, aż się zatoczyła o ścianę chaty. Stała tak oniemiała, ciężko dysząca z wściekłości i przerażenia, podczas gdy on zapalił drugiego papierosa i oparł się obojętnie o brzeg stołu.

— Oto masz powód — rzekł. — I lepiej nie przychodź tu już nigdy.

Spojrzała nań nieufnie, nie mogąc jeszcze uwierzyć w to, co zaczęła sobie uświadamiać. Wyleczyła go nie tylko z miłości dla niej, lecz i z szacunku.

Wybiegła w ponurą ciemność zamierającego nieba, zamierającego świata, w przestrzeń opuszczoną, w otchłań wypełnioną głuchym jękiem konania.

## ROZDZIAŁ DZIEWIĘTNASTY

Autumna przeszła po obiedzie do saloniku i usiadła przy fortepianie. Przy stole starała się rozproszyć czarne myśli ojca, lecz sama były w tak rozpaczliwym nastroju, że jej się to nie powiodło. Współczuła z nim jednak głęboko.

Jarvis Dean żył wszak przez tyle lat pod grozą złowrogiego cienia, od którego nie było dlań ucieczki. Można go było oczywiście oskarżać, że pozwolił swej dumie rozrosnąć się do rozmiarów ponurej namiętności, która popychała go do niesprawiedliwości i okrucieństwa w stosunku do innych. Ale Jarvis w ciągu tych wszystkich lat cierpiał w obronie jedynej rzeczy, która mu pozostała po rozbiciu się wszystkich nadziei: dumy z czcigodnego nazwiska. Los obszedł się z nim okrutnie. Zdany jedynie na własne siły, musiał się zmagać z całym światem, który za jego ból dał mu tylko tak niewiele radości.

Autumna była świadkiem jego samotnej walki. Widziała, jak ustępuje przed twardymi ciosami własnego sumienia, jak zbiera się w sobie i z trudem odzyskuje szacunek dla samego siebie i nową wiarę. Wiedziała, że miłość, jaką ją darzy, jest jedyną radością jego życia. Tylko dla niej, córki Millicent, i dla pamięci Millicent, która w niej żyła po raz drugi, nie rezygnował z walki.

Nic więc dziwnego, że nie mógł zrozumieć, iż w swe uparte zmagania się wciąga również córkę. Chciał uniknąć tego pozostawiając ją w Europie, gdzie nigdy nie dowiedziałyby się o tragedii jego życia. Gdyby nie przyjechała, byłby walczył do końca i umarłby w tym przekonaniu, że będzie



mogła przynajmniej rozpocząć nowe życie według własnego upodobania bez tego nieszczęsnego dziedzictwa przeszłości. Ale przybicie jej wywołało zwrot, który stał się przyczyną porażki starca — porażki, z której się już nigdy nie podźwignie.

I znowu jeden wieczór gasł pogodnie, jak gdyby nie zbladły gwiazdy na niebie minionej nocy, gdy sama odwiedziła Bruce'a jak gdyby całe piękno nie spopielalo w jej duszy.

Jarvis udał się do biblioteki, a Autumnna siedziała przy fortepianie, przesuając w zamyśleniu ręce po klawiszach i patrząc z roztargnieniem w niebieski półmrok, który wsiąkał przez otwarte okno i nadawał dziwnie delikatny koloryt stojącemu w dużym wazonie pękowi żółtych róż.

Niebawem ręce Autumnny zsunęły się z klawiszy i opadły zmęczone na kolana. Jakiś szelest skierował jej wzrok ku drzwiom. Zobaczyła ojca, który patrzył na nią z niezwykłą tkliwością.

— Co grałaś przed chwilą, Autumnno? — zapytał po krótkim milczeniu.

— Serenadę Gróndahla, tatusiu.

— Nieraz już słyszałem, jak ją grałaś. Zagraj ją jeszcze raz.

Bardzo ją lubię.

Wszedł do pokoju i usiadł w fotelu przy oknie.

Podczas gdy Autumnna grała dalej, przypatrywał się, jak się zmienia światło w ogrodzie. Kiedy skończyła, me przerywał milczenia, a Autumnna wstała i podeszła do stoliczka, na którym stały róże. Pieściła w zamyśleniu jeden z pięknie rozwiniętych żółtych kwiatów.

— Już nie będziesz grała? zapytał wreszcie Jarvis Dean, a w głosie jego brzmiał smutek, który boleśnie dotknął jej serca. - Może później znowu — odrzekła spokojnie.

— Prawda... trzeba być odpowiednio usposobioną. Utwór, który teraz grałaś, posiada głębsze znaczenie, wnosi nowy, jasny promień, jeśli się go tylko chce należycie słuchać.

Stary Pat wsunął się do pokoju i ułożył na dywanie u nóg swego pana.

Autumna odeszła od róż i zbliżyła się do ojca.

— Jak się zapatrujesz na to, tatusiu, bym wróciła do cioci Flory? — spytała łagodnie.

Stary pan odwrócił się powoli i spojrzał na nią niepewnie. Wyraz jej oczu był obojętny, jakby nie zależało jej na tym, jaka będzie jego odpowiedź. Powiedzenie jej bowiem nie było właściwie pytaniem, lecz oświadczeniem.

Zaniepokoiła się jednak bezradnym, niemal dziecinnym wyrazem troski, jaki pojawił się w jego oczach.

Pochylił się naprzód i złożył ręce.

— Chcesz stąd wyjechać, Autumnno? — zapytał głosem, w którym brzmiał smutek.

— Nie zawsze można czynić to, co by się chciało — odparła. — Wróciłam, bo tęskniłam za domem, a teraz przekonałam się, że od pierwszej chwili mego przybycia byłam zawsze tylko powodem zamieszania.

Jar vis westchnął głęboko.

— Bardzo mi przykro, kochanie. Nie było w tym z pewnością twojej winy.

— Nikt tu nie zawinił, tatusiu — rzekła. — Tak było przeznaczone.

Tak, wiem. Myślisz jeszcze ciągle o synu Godfryda, prawda?

Myślę... o wszystkim — odrzekła. — Wobec tego stanu rzeczy nie mogę tu dłużej pozostać. Robiłam wszystko co możliwe, a może nawet niemożliwe, ale dla wszystkich będzie może lepiej, jeśli wyjadę na drugą półkulę.

Wstała znowu i podeszła do okna. Nastąpiło długie milczenie, podczas którego każde z nich było zajęte swymi myślami. Słyszała, że ojciec chrząknął i wiedziała, że wstał i że powoli idzie ku niej.

Delikatnie położył rękę na jej ramieniu, lecz nie odwróciła głowy.

— Bardzo mi przykro, dziecinko — szepnął. — Nie umiem ci nawet powiedzieć, jak mi żal. Miałem nadzieję, że będziesz tu szczęśliwa... może po pewnym czasie... Wimo wszystko. Zdaje się, że za wiele się spodziewałem.

— Ja także — odpowiedziała Autumnna — stało się jednak inaczej.

— Będzie mi cię brak, Autumnno, więcej niż kiedykolwiek — powiedział Jarvis i po chwili dodał: — Ale to cię nie powinno wstrzymywać.

— Ułatwiasz mi pożegnanie — rzekła Autumnna z bezwiedną szorstkością.

Starzec powrócił do swego fotela.

— Nie bądź dziś wobec mnie niecierpliwa, Autumnno — prosił. — Jestem zmęczony, a ta muzyka...

— Ależ ja wcale tak nie myślałam, tatusiu — powiedziała szybko i zbliżyła się do niego.

Jarvis spuścił głowę.

— Cieszyłbym się tak samo, gdybym mógł ci ułatwić pozostanie — rzekł.

— Czasem myślę...

Powstrzymał się i przesunął dłonią po oczach. Autumnna objęła go ramionami w milczeniu i przycisnęła do siebie. Powoli wysunął się z jej ramion.

— Uważasz zapewne, że jestem podłym tchórzem — powiedział, prostując się. — Mam jednak może więcej odwagi, niż przypuszczasz.

Wczoraj, gdy ten chłopak tu był, miałem mu już wszystko powiedzieć, co wyznałem tobie owej nocy. Jestem jeszcze zdrow na umyśle i dość dobrze widzę wszystko, co się dzieje. Twoje niemądre zachowanie się tego lata z tą oszalałą paczką Paarów nie zdołało mnie wprowadzić w błąd.

Wiedziałem od początku, co się za tym kryje. Myślałem nad tym dniami i nocami. I kiedy on tu był — a nawet jeszcze wcześniej — myślałem...

myślałem, że należałoby mu wszystko opowiedzieć, ażeby mógł zrozumieć, co i jak było. Wówczas mógłby postąpić tak, jak uważałby za stosowne, ty również zrobiłabyś, co byś chciała, a ja nie mieszałbym się do tego zupełnie. Ale są rzeczy, nad którymi człowiek nie panuje.

Przyszedł do mnie i stał przede mną, jakby Godfryd Landor we własnej osobie: dumny, wyzywający, niedbały. I wówczas ja zaproponowałem mu, że płacę za stracone owce. Prawdopodobnie nawet nie spodziewałem się, że przyjmie te pieniądze, ale jego zachowanie się wzburzyło mnie.

Ogarnęła mnie znowu gorycz, nienawiść i duma — to wszystko, co czułem przez dwadzieścia lat... i wypędziłem go. Zawahał się chwilę, po czym dodał: — A teraz tak się składa, że wypędzam również ciebie.

- Nie, ojczy — sprzeciwiła się Autumnna — tak nie jest.

Nie powinieneś tego mówić. Wracam do Europy, gdyż — jak ci już mówiłam — uważam, że tak będzie lepiej dla nas wszystkich.

Jarvis Dean zdobył się nagle na postanowienie.

— Sprowadź go do mnie... dziś w nocy... jutro zaraz z rana! — zawołał.

— Powiem mu wszystko, co ci wyznałem Kiedy się dowie...

— Daj pokój, ojciec — błagała Autumnna — wyrządziłbyś tym tylko przykrość jemu i mnie. Chcesz to uczynić dla mnie, ale mnie by nic z tego nie przyszło. Jeżeli kocham Bruce'a Landora, to jest to tylko jedna z moich głupich omyłek. Jakoś sobie z tym poradzę. Gdy ocean nas rozdzieli nie będzie to takie trudne. Nie jestem tak beznadziejnie zakochana, by mi serce miało pęknąć z powodu kogoś, kto do mnie nic nie czuje.

Jarvis podniósł głowę i spojrzał na córkę.

— Czy chcesz przez to powiedzieć... że on...

— Chcę powiedzieć, że mnie nie kocha, ojciec — rzekła z uśmiechem. — Przecież nie ma w tym znowu nic tak bardzo dziwnego.

Jarvis zamyślił się.

— Nigdy bym nie pomyślał, że może być takim durniem powiedział, porywczo wstając.

Autumna zaśmiała się krótko, lecz oczy starca pozostały surowe.

— Niech zatem będzie tak, jak sobie tego życzysz — oświadczył. — Tak będzie najlepiej. W jesieni zlikwiduję tu wszystko i przyjadę do ciebie do Europy.

Poklepał ją po ramieniu, nie umiejąc wyrazić jej słowami swego współczucia, i wyszedł z pokoju. Słyszała jego oddalające się kroki... ciężkie, miarowe i powolne. Jej udręczonemu sercu zdało się, że są to nieubłagane żelazne kroki przeszłości, druzgocącej teraźniejszość i przyszłość.

Spojrzała na ciemny ogród smutnymi oczyma, w których malowała się rezygnacja.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY

W ciągu następnych dni Jarvis Dean czuł się znacznie lepiej, aniżeli kiedykolwiek w ciągu ostatnich miesięcy. Oczywiście nie mogła go cieszyć świadomość, że Autumnna opuszcza kraj, do którego niedawno powróciła pełna planów, z sercem tętniącym oczekiwaniem wszystkiego, co przyszłość jej przynieść miała. Współczuł z nią z całej duszy. Jednak męcząca niepewność ostatnich tygodni była dla niego chwilami już nie do zniesienia. Dlatego też przyjął z ulgą postanowienie Autumnny.

Postanowienie swe sprzedania wszystkiego, skoro tylko będzie to można uczynić bez większych strat, i wyjazdu do Europy chwilami budziło żal i tęsknotę. Ale i one minęły. Miał teraz przed sobą wyraźną drogę. Postanowił pozostawić za sobą przeszłość z jej brzemieniem nieszczęść i spędzić ostatnie swe lata tak, jak przystało zamożnemu człowiekowi, którego starość mogła być najpiękniejszą częścią jego życia.

Dziwne, jak otaczający go świat stał się dla niego pełnym uroku.

Pozbywszy się gnębiącego lęku, podziwiał wiele rzeczy, których dawniej nie dostrzegał. Dopiero teraz zauważył, że Autumnna nie jest tym swawolnym dzieckiem, tą nieposkromioną dzikuską, którą niegdyś wysłał do Anglii w nadziei, że jego siostra będzie miała na nią wpływ, jaki on utracił. Nigdy jednak w życiu — tylko raz w owym czasie, który usiłował zapomnieć — nie odczuł, jak trwałe i doskonałe jest zadowolenie mężczyzny, który odkrył piękność w kobiecie.

Podobnego uczucia doznawał obecnie, patrząc na siedzącą naprzeciw niego przy stole Autumnę. Kazał wcześniej podać śniadanie, by móc w porę wyjechać w góry, gdzie miał obejrzeć trzodę i przywieźć staremu Absolomowi Peekowi nieco zapasów. Przez całe lato zajmował się tymi sprawami Tom Willmar, który odbywał te podróże do owczarni i z powrotem, lecz Jarvis zwykł był przynajmniej raz w sezonie sam robić przegląd stada. Poza tym polecił, ażeby młody Irlandczyk Clancy Shane spędził w dolinę kilkaset owiec, które zostały przeznaczone na sprzedaż. Zamierzał rozmówić się teraz z tym chłopcem, by się przekonać, czy wszystko jest w należyтым porządku.

— Mogłabyś pojechać dziś ze mną, Autumnno, o ile nie masz nic lepszego do roboty — zaproponował. — Dotrzymałabyś mi towarzystwa, a przejażdżka nic by ci nie zaszkodziła.

— Myślałam już o tym wczoraj wieczór — odparła. — Dla mnie jest to ostatnia sposobność zobaczenia trzód przed wyjazdem.

— Właśnie. Ubierz się, dziecinko, zaczekam na ciebie.

— Zaraz będę gotowa, tatusiu — powiedziała i wstała od stołu.

— W takim razie daj nam na drogę więcej jedzenia — polecił Jarvis Annie. — Wrócimy dopiero późnym wieczorem.

Wyruszyli w drogę, gdy dzień zapalał się dopiero jasnym płomieniem na wschodnich szczytach gór.

Autumna jechała tak szybko po gładkiej drodze, że ojciec musiał się trzymać obiema rękami siedzenia.

— Dalej w górze będzie gorzej, ojczy — powiedziała, gdy spojrzała nań raz spod oka i zauważyła zdeterminowany wyraz jego twarzy. — Lepiej więc teraz jechać prędzej, a potem zwolnić tempa.

Okolo południa zobaczyli trzodę, którą Clancy Shane spędzał z wyżej położonych pastwisk ku dolinie i Autumnna czekała w samochodzie, podczas gdy ojciec zszedł w dolinę. Po półgodzinie Jarvis wrócił.

— Myślę, że zostanę tu jeszcze trochę dłużej z „lunatykiem” — rzekł. — Może pojedziesz na chwilę do Absoloma Peeka i wrócisz po mnie.

— Dobrze, tatusiu. Czy masz jakieś zlecenia dla Absoloma?

— Daj mu tylko to pudło z prowiantem i powiedz mu, że w przyszłym tygodniu albo za dwa tygodnie na pewno do niego przyjadę.

Autumna wprawiała w ruch motor i już miała ruszyć z miejsca.

— Zaczekaj chwilkę — zawołał za nią Jarvis. — Zjemy coś najpierw.

Autumna z uśmiechem zatrzymała motor i wyskoczyła z wozu.

Niebawem usiedli obok siebie na przewróconym drzewie i zajadali smakołyki, które Anna dla nich zapakowała. U ich stóp szemrał górski potok, a ponad nimi krzepki wietrzyk poruszał gałęzie starego świerku. W powietrzu unosiła się miła woń róż alpejskich i świerków, a z doliny dochodziło nieustanne beczenie trzody Clancy'ego.

Całą godzinę Autumna gwarzyła i śmiała się z ojcem, jak nigdy od czasów dzieciństwa. Gdy wreszcie wstali, Jarvis odprowadził ją do samochodu. Przy pożegnaniu nachylił się i pocałował ją.

— Do widzenia, tatusiu! — zawołała ruszając. — Wrócę niezadługo, ani się obejrzysz!

Jarvis Dean przysłonił ręką oczy od słońca i odprowadzał samochód wzrokiem, dopóki nie zniknął za zakretem. Ogarnął go niewytłumaczony smutek. Był w owej godzinie zanadto szczęśliwy. Powoli zaczął schodzić ku dolinie.

Dopiero na odchodnym Autumna zdobyła się na odwagę powiedzenia Absolomowi Peekowi, że żegna się z nim na zawsze. Wizyta u starego pasterza trwała znacznie dłużej, aniżeli to było w planie dziewczyny. Słońce już dochodziło do szczytów gór na zachodzie i ojciec zapewne czekał z niepokojem jej powrotu. Nie mogła się jednak rozstać z tą cichą doliną, z trzodami i gadatliwym starcem.

— Przyjdzie pani wnet znowu? — zapytał Absolom, odprowadzając ją do samochodu.

— Nie, Absolomie — odparła — nigdy już nie przyjdę.

— Co? — zdumiał się pasterz.

— Wracam do Anglii, Absolomie.

— Co się stało? Dlaczego?

— Nic, Absolomie. Po prostu nie nadaję się do tutejszego życia.

Absolom podrapał się w głowę.

— No, tak — rzekł w końcu. — To nie jest odpowiednie miejsce dla młodej panny. Wiem o tym. Dla pana dziedzica będzie to jednak ciężki cios, jeśli go panienka znowu opuści. Już przyzwyczał się do tego, że panienka jest w domu.

Autumna nie zaraz odpowiedziała. Pomyślała jednak, że zbyt wcześnie byłoby już teraz mówić mu, że ojciec zdecydował się przenieść na starość do Europy. Wreszcie rzekła:

— Obawiam się, że niewiele mu byłam pomocna.

— Jemu już w ogóle wiele pomóc nie można — oświadczył nagle Absolom. — Nie mówię, że nie był w swoim czasie dzielnym człowiekiem, ale teraz, to on już jakby nie żył, panienko.

Biedny ojciec! — szepnęła Autumna. — Miał niezbyt lekkie życie.

— Co to, to prawda. Ale nie będzie mu źlej, jeśli wyśle panienkę do...

— Ojciec wcale mnie nie wysyła — przerwała mu Autumna. — Jadę, bo sama chcę.

Absolom patrzył na nią niedowierzająco.

— Mnie się zdaje, że za tym kryje się coś innego — rzekł. Ale wolę się panienki nie pytać.

Doszli do wąskiej drogi, gdzie stał samochód. Na opadającym ku dolinie stoku mogła po raz ostatni zobaczyć senną, szarobiałą trzodę, poruszającą się powoli, jakby cienie sunęły na nocne legowisko. Cóż za rozkosz i spokój! Ciszę gór przerywał tylko od czasu do czasu dźwięk baskijskiego dzwonka!

Żegnając się z Absolomem była odważna i dobrej myśli, chociaż w oczach miała łzy, które zasłoniły jej niezapomniany obraz tam, na zboczu.

Niebawem odjechała, a stary pasterz wrócił do samotnej swej pracy.

Późno w nocy, gdy Autumna czuwała i gdy myśl jej raz po raz wracała sennie do wycieczki w góry, miała wrażenie, że to wszystko, co widziała w ciągu tego dnia było wschodem i zachodem słońca na księżycu, czy innej nieznannej planecie, istniejącej dotychczas jako fantastyczny sen.

Wczesny ranek wyłobiał w bladych, olbrzymich obliczach gór głębokie bruzdy



ciemnych dolin, które dawały wstrząsające i przerażające świadectwo o tym, czym kraj ten był przed tysiącami wieków. Żar południa oderwał szczyty gór, nieprawdopodobnych wysp, pędzących w morzu mgły jak w odmęcie pramorza.

W zmierzchu wieczornym czarne plamy lasów jodłowych, rozciągających się po rozległych przestrzeniach dolin, wydawały się śladami przedpotopowych zwierząt, z okresu, gdy na ziemi panował jeszcze chaos.

O tym nie powinna więcej myśleć! Musiała wracać do sztucznego i bezcelowego życia w domu cioci Flory i zapomnieć, że istnieje na świecie coś innego. Trzeba było zapomnieć o ciemnych grzbietach gór, wychylających się ku księżycowi, o gwiazdach, które rozchylają się wśród jasnej letniej nocy jak słodki kwiat samotności. Trzeba zapomnieć o strugach wiosennego deszczu w górach i o płomienistych pochodniach drzew na potężnych szczytach. Zapomnieć o Brusie Landorze i o dziwnych, okrutnych, a jednak tak drogich sercu cierpieniach miłości... zapomnieć na zawsze!

## ROZDZIAŁ

### DWUDZIESTY PIERWSZY

Na tydzień przed zamierzonym wyjazdem Autumny Florian zadzwonił wieczorem z mieszkania Hektora Cardigana i poprosił ją, by z nim poszła na bal, który miał się odbyć w Kamloops i z którego dochód przeznaczony był na szpital.

— Lin przyjechała również — mówił. — Miałem coś do załatwienia w mieście i przy tej sposobności chciałbym, żebyśmy się trochę zabawili. Przywieźliśmy stroje wieczorowe i jesteśmy już gotowi. Od dwóch tygodni nie dała pani znaku życia. Jeśli pani pozwoli, przyjadę po panią samochodem. Więc jakże będzie?

— Nie wiem — wahała się. — Nie jestem w odpowiednim nastroju, Florianie.

— Proszę nie odmawiać — nalegał. — Gdzie się podział pani zmysł społeczny. Nie wybaczone by pani tego, gdyby pani odmówiła poparcia na cel dobroczynny. Hektor przyrzekł nam dotrzymać towarzystwa. Florian roześmiał się rozmyślnie niefrasobliwie, co podrażniło Autumnę.

— Więc i pan sądzi, że trzeba na mnie uważać? — zapytała.

— Co u licha dzieje się z panią? zawołał Florian z wymówką. -- Tak dalej być nie może. Przyjeżdżam po panią około ósmej.

— Razem z Lin?

— Niech Bóg broni. Ona się umówiła z kimś innym.

— Oczywiście.

— Bruce przyjeżdża do niej. Później się wszyscy spotkamy, dobrze?

— Dobrze — powtórzyła. — Zatem ubieram się. Będę gotowa, gdy przyjedziesz.

Gdy oznajmiła o tym projekcie ojcu i zapytała, czy by się nie wybrał również, opuścił jedną najeżoną brew, a drugą podniósł z lekką ironią.

— Ja? Chyba nie myślisz tego na serio — rzekł. — Ale kup mi bilet, kup dla mnie nawet kilka, dziecinko. To cel bardzo godny poparcia. Idź i baw się dobrze. Prawdopodobnie będzie to twój ostatni wesoły wieczór tutaj. Włóż jakąś ładną sukienkę i pokaż im, że jesteś prawdziwą córą Deanów. Autumnna uśmiechnęła się niepewnie i ucałowała jego krzaczaste brwi.

— - Dobrze, tatusiu — przyrzekła. — Co prawda, to nie mogę się niczym przyczynić do świetności nazwiska.

Pociągnął ją żartobliwie za ucho. Pobiegła na górę, by się ubrać.

Kiedy usłyszała około ósmej zajeżdżający samochód Floriana, spojrzała po raz ostatni w stojące w jej pokoju lustro. Stwierdziła, że czarna, cieniutka tkanina jej sukni, głęboki dekolt na plecach oraz rudawobrazowawe, zaczesane z czoła i odsłaniające uszy włosy, które opadały sutymi lokami na kark, nadawały jej romantyczny wygląd. Czuła się dziwnie. Nie włożyła żadnej biżuterii i odsunęła z niesmakiem bukiet róż, przygotowany przez Annę. Pomyślała, że pozostaną dłużej świeże we flakonie na jej toaletce. Błyszczały tylko diamentowe klamry u jej czarnych pantofelków i jej własne oczy. Przeraziła się jednak ich blaskiem, dojrzanym w lustrze. Ten nienaturalny połysk zdradzał jej tajemnicę. Miała jednak nadzieję, że uda jej się tak lawirować pomiędzy tańczącymi, by się nie spotkać z Bruce'em Landorem. Oby tylko Linda miała tyle intuicji, aby zapobiec temu spotkaniu.

Florian czekał niecierpliwie na dole w wieczorowym stroju bez zarzutu.

Gdy doń podeszła z narzutką ze srebrnej lamy na ramieniu, zaczerwienił się z radości, co za czasów pobytu Autumny u cioci Flory byłoby pochlebilo jej próżności. Obecnie pominęła to z lekkim niezadowoleniem. Wziął ze stoliczka przy drzwiach pęk białych storczyków, chłodnych, sztucznych, jak z wosku.

— Pani pozwoli — rzekł z głębokim ukłonem. Ale jeżeli powie mi pani, że nie cierpi storczyków, to chyba... wyrzucę je.

Autumna roześmiała się i przesunęła dłonią po delikatnych kwiatach.

— Marnotrawcze! — powiedziała i przypięła kwiaty do sukni. — Są prześliczne. Dziękuję, Florianie.

Właściwie rzeczywiście nie cierpiała storczyków i dawniej byłaby je bez zastanowienia odrzuciła. Obecnie jednak kierowała się nedorzeczną litością w stosunku do wszystkich.

— Nie widział się pan z moim ojcem? — zapytała, kiedy wychodzili z domu.

— Nie, spotkałem tylko Annę, która otwierała mi drzwi — rzekł Florian.

— Czy ojciec pani gniewa się jeszcze o to zajście w sianie?

— Już je zapomniał — odparła — ale w ogóle czuje się niedobrze.

— Zapewne przykro mu, że go pani niebawem opuszcza. — Nie przypuszczam. Możliwe, że w jesieni się zobaczymy. Wsiedli do samochodu Floriana.

— Będzie nam pani szalenie brakowało — rzekł.

— Miło jest słyszeć, że się jest komuś potrzebną — szepnęła Autumna.

Florian uściskał jej dłoń. Po chwili puścił jej rękę i ujął kierownicę.

Gdyby pani zechciała, u licha, posłuchać głosu rozsądku — mruknął.

W sali, w której odbywała się zabawa, było pełno ludzi. Obszerne apartamenty przystrojono kolorowymi lampionami i girlandami, a ponad falą głów unosił się zawrotny rytm jazzowej orkiestry. Autumna, stojąc na balkonie, spoglądała na barwny tłum spod ciężko opuszczonych powiek, zakrywających jej szukające spojrzenia.

— Co za ścisk, prawda? - zauważył Florian, stojący tuż za nią. Czy odważymy się teraz zatańczyć? A może przeczekamy trochę? Tańczą wszystko od archaicznych tanców począwszy aż do rumbi.

— - Najpierw popatrzmy chwilę — zaproponowała. Powiedziawszy to spuściła oczy. W zewnętrznym, nieco

mniej zwartym kręgu tańczących par zauważyła Lindę i Bruce'a Landora. Oczy Bruce'a przebiegały jakby ostrożnie po

balustradzie balkonu, spotkały się z oczyma Autumny, zatrzymały się przelotnie na jej postaci i przesunęły się obojętnie.

— Lin i Bruce! — zawołał nagle Florian — tam pod ścianą... na prawo! Autumnna rozejrzała się wokoło i udawała, że ich nie dostrzega.

— Teraz ich widzę — rzekła w końcu.

— Można by ich poznać spośród tysiąca — oświadczył z podziwem Florian. — Przy nich wszyscy wyglądają jak statyści. Chodźmy zmierzyć się z nimi.

— Więc przyszliście jednak! — przywitał ich Hektor Cardigan.

Autumna uśmiechnęła się radośnie i wyciągnęła ku niemu obie dłonie.

— Dobry wieczór, Hektorze! — zawołała. — Jak wspaniale wyglądasz!

— Przyjrzała mu się badawczo i dodała:

— Zatańczysz ze mną?

— Z rozkoszą — odparł Hektor ze staroświecką uprzejmością. —

Przyrzekasz, że nic mi się nie stanie w tym tłoku?

— Autumnna wyprowadza nas wszystkich bezpiecznie... z każdej sytuacji

— wtrącił Florian.

— Boisz się? — przekomarzała się Autumnna, jakby nie słysząc uwagi Floriana.

— Te młode stworzenia przerażają mnie — rzekł Hektor.

— Ciebie, starego żołnierza? — szydziła. Hektor uśmiechnął się.

— Wówczas byłem młodszy aniżeli dziś. Nie uznawano wtedy również wzajemnego deptania sobie po piętach.

Autumna i Florian zaśmiali się. Wszyscy troje zeszli do sali balowej.

Przystanęli chwilę, gawędząc obok dużego wazonu z palmą, a potem

Autumna poszła tańczyć z Florianem.

— Pamiętaj, Hektorze - zawołała jeszcze przez ramię Floriana — że następny taniec tańczymy razem i że czekam na ciebie w hallu.

Hektor skinął przyjaźnie. Gdy zniknęła mu z oczu, zmarszczył jednak

brwi. Bruce Landor wysunął się właśnie z Lindą Paar z koła tańczących.

Przechadzali się i ujrzawszy go z daleka, skierowali się w jego stronę,

dając mu znaki. Dopiero teraz pojął, że Autumnna chciała z nim zatańczyć tylko dlatego, by uniknąć tańczenia z Bruce'em.

— Dobry wieczór, Hektorze! zawołał uradowany Bruce. Linda, przywitawszy się krótko z Hektorem, została uprowadzona przez innego tancerza.

— Dobry wieczór, Bruce — powiedział Hektor. — Dobrze się pan bawi?

— Doskonale — odparł tak pospiesznie Bruce, że Hektor zmarszczył brwi.

— Szpital będzie miał duży dochód — oświadczył Hektor, bawiąc się binoklami. — Już dawno nie widziałem takich tłumów.

— Zdaje się, że wszyscy tu są — rzekł Bruce.

Stali przez chwilę w milczeniu i patrzyli na tańczących.

— Trzeba wyjść z tego tłoku — rzekł wreszcie Hektor. — Może pójdziemy na papierosa?

— Owszem — odparł Bruce.

— Chodźmy zatem do hallu — zaproponował Hektor. Wyszukali zaciszny kącik i usiedli naprzeciw wejścia.

— Rzadko widywaliśmy się ostatnio — powiedział Hektor.

— Przesiadywałem przeważnie w domu — odrzekł Bruce. — Tego lata miałem bardzo wiele zajęć.

— Wiem, wiem — przytaknął Hektor. — Bardzo żałowałem tych pańskich merynosów. Co za podłość!

— Nie potrafię nawet o tym mówić, Hektorze — przyznał Bruce, opierając się o poręcz krzesła. — Jak sobie to przypominę, mam ochotę rzucić się na kogoś z pięściami.

— Zupełnie zrozumiałe — oświadczył Hektor. — Toteż lepiej tego nie wspominać.

Palił przez chwilę w milczeniu, po czym zaczął:

— Podobno pańska sąsiadka wyjeżdża?

— Ma pan na myśli Autumnę Dean? — zapytał Bruce, nie zmieniając wyrazu twarzy pod badawczym, chytrym spojrzeniem Hektora.

— Tak.

— Lin opowiadała mi dziś wieczór, że panna Dean wraca do Anglii — rzekł Bruce.

— Zdaje się, że już nawet w przyszłym tygodniu. I pan tak na to pozwala? Bruce rzucił mu szybkie spojrzenie.

— Cóż mnie to obchodzi? — odparł obojętnie.

Hektor uśmiechnął się i po chwili westchnął zamyśliwszy się głęboko.  
— Zdaje się, że czasy rycerskości już przeminęły — powiedział z żalem potrząsając głową.

Bruce patrzył spod przymrużonych powiek na dym z papierosa.  
Nie rozumiem, Hektorze, mimo najszczerzych chęci, co rycerskość ma wspólnego z tym, że jakaś panienka chce koniecznie uciec do Europy.  
Wiesz, chłopcze — odpowiedział Hektor po krótkim zastanowieniu się — uważam, że młode pokolenie, o którym się dziś tyle mówi, jest w porównaniu z ich rodzicami czy dziadkami małoduszne.

Nie chcę pana wypytywać, ale czy pan tak twierdzi w odniesieniu do Autumny Dean...

Ależ oczywiście — przerwał Hektor. — Gdyby za moich czasów młody człowiek żywił jakieś uczucie dla panny, nie pozwoliłby jej wyjechać do Anglii i zostawić się na lodzie. Bruce Landor uśmiechnął się lekko.

— Zwrócił się pan pod niewłaściwym adresem, Hektorze. Starzec zawahał się nagle i wstał.

— Właśnie idzie Autumnna — rzekł, a radość i zakłopotanie zmieniły jego twarz w dziwną maskę karzełka.

Autumna ociągała się przez sekundy, zanim podeszła do dwojga rozmawiających mężczyzn. Hektor zauważył, jak zbladła i wyciągnął ku niej rękę. Bruce wstał i skłonił się z taką swobodą, że to aż wyprowadziło Hektora z równowagi.

Autumna, rzuciwszy Bruce'owi „dobry wieczór”, zwróciła się do starego przyjaciela.

— Teraz nasz taniec, Hektorze — przypominała. — A może nie skończyłeś jeszcze cygara?

Hektor pominął jej pytanie i rzekł bez ogródek:

— Słyszałem, że wyjeżdżasz w przyszłą sobotę do Anglii?

— Tak, w sobotę rano — odparła.

— Zapraszam was oboje — powiedział patrząc na nich wojowniczo — do mnie w czwartek wieczór na obiad. Przyjdziecie?

Nastąpiło krótkie milczenie, podczas którego Hektor obserwował walkę niebieskich ironicznym oczu Bruce'a z mor-skozielonym, jasnym i zdziwionym spojrzeniem dziewczyny.

Bruce włożył jedną rękę do kieszeni i stojąc w pozycji niedbalej patrzył uprzejmie na Autumnę.

— Czwartek odpowiada mi w zupełności, Hektorze.

— Bardzo chętnie — rzekła z trudem Autumnna. — Jak to ładnie z twojej strony, że o tym pomyślałeś, Hektorze! Ale chodźmy tańczyć — dodała i ujawszy go pod ramię pociągnęła ku sali.

Bruce patrzył za nimi, a potem uśmiechnął się i usiadł z powrotem na dawnym miejscu.

Biedny, stary Hektor! — pomyślał, krzywiąc się. — Zdobył się na ostatnią, śmiałą próbę! A jak ona to lekko potraktowała. Niech to lichy porwie!

Niecierpliwie rzucił papierosa do wazonu z palmą, który stał pod ręką i poszedł dalej obojętnie, swobodnie, jak człowiek, który nie ma żadnych zmartwień.

Zabawa była jeszcze w pełni, gdy Autumnna poprosiła Floriana, by ją odprowadził do domu. Skarżyła się na ból głowy wywołany panującym na sali hałasem i dusznym powietrzem. Florian namawiał ją do pozostania, lecz w końcu ustąpił. Odszukali Lindę i umówili się, że zanim Autumnna wyjedzie do Europy, spędzą jeszcze jeden wieczór w myśliwskim pawilonie Paarów. Autumnna miała przyjechać swym samochodem do pawilonu, w którym Linda i Florian będą już jej oczekiwać w oznaczonym dniu. Dziewczęta ucałowały się na pożegnanie i tym razem zdawało się, że Autumnna jest bardziej zniechęcona aniżeli Linda.



## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY DRUGI

Autumna musiała przebyć pięćdziesiąt mil na wschód i dziesięć od gościńca do Kelowny, aby dojechać do myśliwskiego pawilonu Paarów. Wyjechała z domu wcześniej rano, by załatwić sprawunki w Kamloops i oznajmić Hektorowi, że następnego wieczora na pewno u niego będzie. Myśl, że spotka Floriana w myśliwskim pawilonie była jej obojętna, lecz cieszyła się na Lindę. Ciężko jej było żegnać przyjaciółkę, która mimo swej płochości, nieświadomie okazała jej więcej sympatii, niż mogła przypuszczać.

Zmierzch już zapadał, gdy Autumna zajechała przed pawilon Paarów. Wsiadła z samochodu i rozejrzała się wokoło za Lindą i Florianem, przypuszczając, że zapewne jej oczekują.

— Hallo! -- zawołał biegnąc ku niej Florian.

Uścisnął mocno jej ręce w rękawiczkach i spojrzał na nią z jakimś dziwnym, zagadkowym uśmiechem.

— Dobry wieczór, Florianie - odparła trochę niepewnie. Jechałam jak szatan.

— Proszę, niechże pani wejdzie — mówił Florian, ujmując ją pod ramię. Cofnęła się instynktownie, doznawszy jakiegoś niemiłego uczucia.

Wskoczył do samochodu i odjechał nim do garażu. Autumna udała się ku domowi; Florian dogonił ją i otworzył jej drzwi. W dużym, tak dobrze jej znanym pokoju, z głowami rogatych jeleni na ścianach, rozesłanymi na podłodze skórami niedźwiedzi i kuguarów, dużym kominkiem, wygodnymi

krzesłami oraz nieodzownymi u Paarów zapasami alkoholu, nie było żywej duszy, prócz Floriana i niej. Autumnna spojrzała nań ze zdziwieniem.

— Gdzie Lin? — zapytała.

Florian zamknął drzwi. Oparł się o nie i z obojętną miną trzymał ręce w kieszeniach grubej aksamitnej kurtki. Jego blond głowa znaczyła się jasną plamą na drzwiach, a ciemne, przymrużone oczy śmiały się z widoczną uciechą.

— Lin ma zapalenie gardła i położyła się dziś rano do łóżka — wyjaśnił.

— Dlaczego więc mnie pan o tym nie zawiadomił?

— Dzwoniliśmy, ale powiedziano nam, że pani jest w mieście.

— Dlaczego zatem nie zabrał pan Eleonory? zapytała Autumnna rozgniewana zachowaniem Floriana.

— Niech się pani nie gniewa o taką drobnostkę — odrzekł. — Eleonora nigdy ze mną nie jeździ. Zresztą i tak jest wszystko w porządku!

— Pan wie tak dobrze jak i ja, że to nieprawda. Podszedł ku niej lekko i niedbale.

Proszę nie być taka dziecinna — powiedział. — Niech mi pani da swe rzeczy.

Autumna patrzyła nań zimno i wrogo, odpowiadając na jego pewny siebie uśmiech.

— Ani myślę — odparła. — Wracam do domu natychmiast. Pan wie doskonale, że nie byłabym wcale przyjechała, gdybym wiedziała, że pan jest sam.

Skierowała się ku drzwiom. Florian chwycił ją jednak za ramiona i ściągnął z niej płaszcz samochodowy.

— Nie może pani być taka niemądra! — zawołał. — Jeśli pani już tu jest, proszę usiąść i wziąć to wszystko na wesoło. Nie jestem taki staroświecki, aby nastawać na pani cnotę, o ile się pani tego obawia. Musiałem przecie przyjechać, aby panią zawiadomić, nieprawdaż?

A więc już mi pan powiedział i mogę odejść — odrzekła Autumnna.

Nie wyjdzie pani z tego pokoju, aż się czegoś nie napijemy i nie przekąsimy. Potem może pani zrobić, co pani zechce.

Autumna usiadła i wyjęła z papierośnicy papierosa. Siedziała nie odzywając się, podczas gdy Florian zaniósł jej

płaszcz do przyległego pokoju i tam go zawiesił. Wróciwszy nalał dwa kieliszki wódki i jeden z nich podał Autumnie. A potem stanął przed nią z kieliszkiem w ręku i uśmiechnął się drwiąco.

— Czyżby mała Autumnna lękała się, że Florian urządzi jej tradycyjną, staroświecką scenę z ogłuszeniem i porwaniem? — zapytał.

— Wcale się tego nie boję.

Właściwie powinienem coś w tym rodzaju zrobić — ciągnął dalej.

Przyzna pani, że przez całe lato udało się pani wodzić mnie za nos.

Ach tak... Więc pan chce mi odpłacić pięknym za nadobne. Nie przypuszczałam, że pan jest mściwy.

Zaczerwienił się. Na jego twarzy zjawił się wyraz chłopięcego rozczarowania, który mimo woli wzruszył Autumnę. Pomyślała, że może nie powinna była igrać z nim przez całe lato, wiedząc od początku, jakie były jego uczucia. Florian osunął się na krzesło i przysłonił dłonią oczy.

— Nie, pani mnie źle zrozumiała, Autumnno — mówił powoli. — Nie zamierzam mówić o tym, co bym uczynił, gdyby mi było wolno. Nie zrobiłbym jednak nic wbrew pani woli. Przyznaję, że ucieszyłem się, gdy Linda nie mogła mi towarzyszyć. Byłem rad z możliwości znalezienia się z panią sam na sam i byłem na tyle głupi, że myślałem, iż pani... będąc ze mną po raz ostatni sama... okaże mi nieco więcej względów.

— Bardzo mi przykro, doprawdy — powiedziała znużona — lecz od pierwszej chwili usiłowałam dać panu do zrozumienia, że nie możemy być niczym więcej jak przyjaciółmi.

— Prawdopodobnie ma pani ku temu jakieś powody — zauważył. — Czy... jestem taki niemożliwy?

Autumna westchnęła głęboko.

— Zdaje mi się, że wszędzie tylko przysporzyłam kłopotów — rzekła.

Florian spojrział na nią spod zmarszczonych brwi.

— Oczywiście... Bruce Landor — powiedział tonem pełnym beznadziejnego smutku.

Autumna unikała jego wzroku. Patrzyła w otwarte okno, z którego dochodził zapach świerków.

— Wiem o tym już od kilku tygodni — rzekł z rezygnacją. — I dlatego pani wyjeżdża. Ucieka pani przed nim.

Autumna podeszła do okna i spojrzała na łańcuch gór okrywających się już zmięszchem. Stała tak dłuższy czas. Żadne z nich nie przemówiło słowa, aż Florian zerwał się wreszcie zniecierpliwiony.

— Zjedźmy coś — rzekł. — Pewnie pani już zgłodniała? Spojrzała nań i uśmiechnęła się.

— Chętnie coś przekąszę — odrzekła. — Co pan ma w domu? Mogę to szybko sporządzić.

— Nie, nie — sprzeciwił się. — Proszę usiąść, a ja przysmażę słoninę i jaja.

Kwadrans później siedzieli w najlepszej zgodzie przy stoliczku obok kominka i raczyli się wędliną, jajami, chlebem z masłem, marmoladą i istotnie doskonałą kawą, którą zrobił Florian. Młodzieniec zauważył z ironicznym uśmiechem, że powinni urządzić sobie ucztę możliwie romantycznie, toteż zapalił ogień w kominku, a prozaiczną lampę przeniósł do zacisznej alkowy.

Rozmawiali o różnych rzeczach, a przeważnie o Paarach, gdyż Autumna rozmyślnie unikała wzmianki o swym bliskim wyjeździe. Florian opowiadał, że Linda zakochała się znowu w jakimś oficerze, obwieszonym odznaczeniami za waleczność, który w okolicy zakupił sady.

— Lin będzie miała urozmaicenie; zamiast owiec, owoce — rzekł. — Zabawne, jeśli się bierze lekko życie, nieprawdaż?

I tak gawędzili swobodnie, podczas gdy odblask ognia igrał po rudych belkach sufitu i gonił cienie za stołami i krzesłami.

Po wyjeździe Autumny przez cały ranek Jarvis Dean był dziwnie smutny, odczuwając zaniepokojenie, które było czymś więcej, niż żalem z powodu wyjazdu córki. Mówił sobie, że następnego ranka Autumna wróci i spędzą jeszcze z sobą parę miłych dni, zanim opuści ona na zawsze strony rodzinne. Tym razem nie miała już nigdy wrócić, a gdy spotka się z nią na jesieni w Anglii, będzie musiał pożegnać się z krajem, w którym zaznał szczytów i głębin wszelkich namiętności. Zastanawiając się nad przyczyną smutku, doszedł wreszcie do przykrego przekonania, że skończyło się dlań wszystko, co miało w jego życiu istotne znaczenie. Przed nim była już tylko otchłań nicości.

Bez tych gór i nieprzeniknionych dolin, które były milczącym lecz współczującym świadkiem jego życiowej tragedii, będzie kuglarzem przed pustą widownią.

Tego dnia patrzył kilkakrotnie z zachwytem na piękny krajobraz, jaki tworzyły należące doń od przeszło ćwierć wieku doliny i góry. Wszedł w posiadanie tej farmy dzięki ciężkim wysiłkom umysłu, ciała i duszy i był oddany tej wspaniałej ziemi całym swoim jestestwem. Cała zaznana radość i ból, nienawiść i miłość, dzieje jego klęski i zwycięstwa zapisane były na mapie tego kraju, niewidzialne dla wszystkich, prócz niego. Gdy opuści ten kraj, tu będzie jego nagrobek.

Tego ranka przy pracy pomyślał nagle z gwałtownym wzruszeniem, że zrezygnuje z wyjazdu do Europy i spotkania się z Autumną, i cokolwiek się stanie, pozostawi jej powrót zrządzeniu losu. W tej krótkiej chwili wolności odetchnął z ulgą i czuł, że jest znowu samym sobą, że stanowi znowu jedność z ukochaną doliną, tym wszystkim, co było treścią jego życia. W tej jednej cudownej chwili pozbył się nawet upiornych wspomnień o Godfrydzie Landorze, które uczyniły z niego niewolnika. Nie trwało to jednak długo i gdyby ktoś obserwował Jarvisa, zauważyłby, że ten zmienił się nagle z pełnego życia człowieka w zupełną ruinę... Słońce przeszło przez południe i chyliło się stopniowo ku zachodowi. Pod wieczór Jarvis udał się do tymczasowego obozowiska, w którym pasterz Clancy Shane dozorował kilkaset owiec, spędzonych z pastwisk celem sprzedaży. Chłopak był niezmiernie dumny, że mu się udało sprowadzić stado bez niczyjej pomocy, a Jarvis okazał swe zadowolenie, podwyższając mu płacę.

Jarvis Dean przystanął nagle w lesistym wąwozie, poniżej szczytu pagórka, z którego można było dostrzec trzodę, i nadśluchiwał. Od strony stada dochodziło głośnie i podniecone szczekanie psa, zmieszane z oszalałym bekiem owiec. Jarvis podążył niespokojnie lasem na grzbiet pagórka. Straszny widok przedstawił się jego oczom.

Zachodzące, czerwone słońce oświetlało ukośnie skłębione morze białawych ciał, które zbliżały się coraz bardziej do brzegów głębokiego górskiego potoku, piaszczystej wyrwy, pogłębionej jeszcze bardziej na skutek zeszłorocznych wio-

sennych przyływów. Pies owczarski usiłował rozpaczliwie odpędzić oszalałą trzodę od grożącego niebezpieczeństwa. Młody pasterz wskoczył nagle między owce i zaczął się przedzierać ku środkowi wiru. Jarvis wydał ochryple okrzyk i puścił się biegiem ku stadu.

Zanim zdążył dotrzeć do krawędzi jaru, pierwsza, najbliższa przepaści owca odłączyła się od innych i runęła w rozpadlinę. Za jej przykładem poszła większa część trzody. Gdy Jarvis wreszcie przybiegł i spojrział w dół jaru, zobaczył tarzające się, wijące i beczące zwierzęta. Niektórym udało się wyjść cało i te, becząc jak oszalałe, wspinały się stromymi zboczami z przerażeniem i obłędem w swych skośnych oczach.

W samym środku kłębiącej się masy znalazł się Clancy Shane. Wywijając rękoma i jęcząc rozpaczliwie podskakiwał na fali owiec jak korek. Jarvis krzyknął nań przeraźliwie i rzucił się w jego kierunku, roztrzaskując ogłupiałe owce, które napierały nań ogarnięte przerażeniem. Dotarł z wysiłkiem do chłopca, wyrwał go spośród walących się nań z góry szarych postaci i odrzucił daleko na bok.

W tej samej chwili ponowna fala owiec runęła na niego i Jarvis Dean zniknął pod nią.

Bruce Landor jechał z miasta do domu. Na ostrym zakręcie drogi, w pobliżu posiadłości Deanów, ujrzał jakąś dziwną postać, która wybiegła ku niemu znienacka, jak oszalała. Bruce zatrzymał samochód. Szaleńcem okazał się pastuszek Clancy Shane.

Chłopiec osunął się u stopni samochodu. Z jego piersi wydobywał się ciężki, świszczący oddech. Bruce wyskoczył z auta i podniósł go do pozycji siedzącej.

— Co się stało, Clancy? — zapytał.

Pasterz wyciągnął rękę w kierunku pastwiska.

Tam — wykrztusił — dziedzić... w wąwozie... na pomoc!

Bruce spojrział jeszcze przelotnie na przerażoną i okrwawioną twarz chłopaka i pobiegł w stronę wąwozu.

W głębi jaru uderzył go widok mrozący krew w żyłach. Rozpierzchła część trzody kręciła się tu beładnie, becząc głupowato, podczas gdy pies jeszcze ciągle usiłował spędzić zwierzęta w stado. W poprzek rozpadliny utworzył się prawdziwy most z nieżywych i umierających ciał. Janasa Deana

nie było zupełnie widać. Bruce stał jak skamieniały z przerażenia. Z farmy Deanów przybiegło dwóch ludzi.

Dziwna cisza zapanowała wokoło, gdy po pewnym czasie, który wydawał się Landorowi wiecznością, zachodnie niebo roztoczyło szmaragdowozieloną zasłonę nad zagasłym blaskiem. Trzej ludzie o zasepionych spojrzeniach ukończyli swą smutną pracę, ociekając potem. Zniekształcone, nieruchome ciało Jarvisa Deana leżało na ziemi u ich stóp. Clancy Shane opowiedział im pokrótce tragiczny przebieg wypadków. Orzeł zaatakował trzodę i przestraszył kilka owiec, które odbiegły od stada. Rzuciły się do ucieczki i wywołały ogólną panikę. Dalszy ciąg był już widoczny ze spustoszenia, jakie dokonało się w ciągu paru minut beznadziejnej walki.

W folwarcznej kuchni u Deanów Anna podniosła zapłakaną twarz i rzekła:

Będzie pan musiał po nią pojechać, panie Brusie. Jest w myśliwskim pawilonie Paarów. Wie pan, gdzie to jest?

— Tak, wiem — odparł Bruce.

— Zatem pojedzie pan?

— Dobrze — powiedział przez zaciśnięte wargi. Wybrał się natychmiast, a gdy jechał krętą drogą na południe, zapadała coraz ciemniejsza noc. Dwie godziny później samochód jego wjechał z przytłaczająco ciemnej doliny w przepojone światłem gwiazd, chłodne, czyste powietrze gór. Droga zwężała się i stawała coraz bardziej kapryśna, a wierzchołki wysokich czarnych świerków odznaczały się na niebie jak wieże olbrzymich katedr. Jakie to było charakterystyczne dla Autumny, że przejechała sama tą drogą. Jeden niewłaściwy ruch kierownicą, a byłaby zdana na łaskę samotnej puszczy, aż ktoś znalazł by ją i wyratował. Starał się myśleć tylko o trudnych zakrętach, aby móc wywiązać się z czekającego go ciężkiego zadania z opanowaną równowagą. Nie dbając o własne uczucia cieszył się, że Linda Paar i Florian będą przy niej. Dodadzą jej otuchy, której on nie mógł jej dodać.

Z farmy Deanów zadzwonił jeszcze do Hektora Cardigana. On pierwszy powinien dowiedzieć się o nieszczęśliwym wypadku i, jeżeli to było możliwe, zawiadomić Autumnę. Bruce dałby wiele za to, aby stary przyjaciel rodziny towarzyszył

mu w tej przykrew misji. Nie zastał jednak Hektora w domu, a Anna nalegała, by niezwłocznie doniesiono Autumnie o nieszczęściu. Droga była coraz bardziej stroma i niebezpieczna, aż wreszcie Bruce zbliżył się do domku Paarów. Z ciemności ponad nim doszła go złowróżbna, ponura skarga kuguara. W pobliżu krzyczała sowa, jakby chciała zadrwić z groźnego odgłosu puszczy.

W ciemności ukazało się jakieś światełko i Bruce podjechał ku otwartej bramie domku Paarów. Obrócił wóz, aby jeszcze odwlec swe trudne zadanie i przemyśleć przykre słowa, które miał wypowiedzieć. Gdy wysiadał z samochodu, usłyszał, że ktoś wychodzi z domku. Niebawem ujrzał Floriana Paara.

Mimo całego przygnębienia zauważył zakłopotanie Floriana.

— Dobry wieczór, Florianie — rzekł, podając mu rękę. Florian uściśnął lekko podaną mu dłoń i odwrócił się z wahaniem.

— Ciebie najmniej spodziewałem się tu dzisiaj, Bruce — powiedział cicho.

Bruce spojrział na dom.

— Przywożę bardzo złe wiadomości, Florianie — rzekł przyciszonym głosem. — Ojciec Autumny uległ dziś wieczór nieszczęśliwemu wypadkowi i nie żyje.

Florian cofnął się o krok.

— Nie żyje? Boże Świąty! Jak to się stało?

— Pojechał obejrzyć stado, przeznaczone na sprzedaż, które Shane spędzał z góry. Chłopiec mówi, że orzeł przestraszył owce, które rzuciły się na oślep do ucieczki. Shane usiłował je powstrzymać i dostał się pomiędzy nie na dno jaru. Jarvis skoczył mu na pomoc i wyratował chłopca, ale sam nie mógł się już wydobyć.

Florian nie mogąc wymówić słowa, przesunął ręką po czole. Bruce zauważył, że patrzy z roztargnieniem w stronę domu.

— Boże — wykrztusił wreszcie. Autumnna chyba nie przeżyje tego.

— Idź i zawołaj Lin — polecił Bruce. — Ona najlepiej ją powiadomi.

Lecz Florian patrzył nań z przerażeniem. Bruce zaintry-



gowany jego dziwnym zachowaniem się, zaczynał się niecierpliwić.

— Nie ma co się namyślać długo, Florianie — rzekł szorstko. — Musi się jej to powiedzieć, a Lin zrobi to najlepiej.

Przy tych słowach spojrzął ponownie ku drzwiom i uświadomił sobie, że coś jest nie w porządku. Dom wydawał się opuszczony i mimo otwartych okien panowała w nim zupełna cisza.

— Lin tutaj nie ma — rzekł z ściśniętym sercem Florian. — Autumnna jest tylko ze mną.

Po tych słowach, których nie mógł pojąć, Bruce patrzył na Florianą poprzez ciemność oczyma, które stały się tępe i bez życia. W uszach szumiała przewalająca się fala krwi.

— Ach tak... rozumiem — rzekł głucho i bezdźwięcznie. Florian zwrócił ku niemu twarz w ciemności. Przez chwilę nic nie odpowiadał.

— Nic nie rozumiesz, głupcze! — wybuchnął wreszcie. — Lin nie mogła ze mną przyjechać. Mieliśmy właśnie stąd wyjechać, gdy usłyszeliśmy twój samochód. Jeśli sądzisz...

— Milcz! — syknął Bruce. — Nie potrzebujesz się przede mną usprawiedliwiać. Idź i powiedz jej. Będzie potrzebna w domu. Pojadę naprzód. Widzę, że nie jestem tu już potrzebny.

Bruce odszedł z pięściami zaciśniętymi tak, że paznokcie wpiły mu się w dłonie jak ostrza. Pierwszy raz w życiu uczuł straszliwą i radosną żądzę zamordowania kogoś. Rzucił się jak oślepy ku swemu samochodowi i skierował go gwałtownie na drogę. A potem czekał na odgłos drugiego motoru, aby mieć pewność, że Florian i Autumnna wyjechali już z domu. Zjeżdżając ku dolinie słyszał ciągle za sobą bezwstydną i rozdzierający serce turkot drugiego samochodu. Zdawało mu się, że i gwiazdy chwieją się na oszalałym niebie, że noc zwali się nań i zgniecie go brzemieniem obłąkania.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY TRZECI

Jakie to dziwne — myślała Autumnna w tym szczególnym stanie oderwania się od dręczących spraw, który występuje często przy wyczerpaniu uczuciowym — że ten pokój w bia-ło-złotym tonie, w którym przebywała Millicent, zachował swoisty charakter i zupełną odrębność od innych pokojów tego domu. Siedziała w wygodnym fotelu, podczas gdy myśli były częściowo zajęte Anną, która zapłakana żegnała się z adwokatem Snyderem, a częściowo błądziły bez celu po przezroczystych promieniach słońca, wpadających do pokoju. Tu, w pokoju Millicent, nie było żadnych cieni. Dziwna ironia! Nawet dziś, gdy wszystkie pokoje wraz z opuszczonym gabinetem pana domu, w którym czuwał tylko wierny pies Pat, zdawały się okryte żałobą, pokój Millicent był mistycznie promiennym zaprzeczeniem śmierci, a raczej potwierdzeniem życia poza doczesność.

Autumna przesunęła dłonią po oczach. Wysilek, na jaki się musiała zdobyć, by wysłuchać spokojnie, jak Snyder odczytał ostatnią wolę jej ojca, wyprowadził ją zupełnie z równowagi. W dodatku ojciec niedawno dodał doń ustęp dotyczący Bruce'a Landora...

Wejście Anny z gorącą herbatą przerwało myśli Autumnny. Snyder nie chciał pić herbaty, lecz uraczył się obficie wódką Jarvisa Deana. Dziwna rzecz, jak człowiek staje się wrażliwy w czasie wielkich wzruszeń i bierze za złe sprawy nikłe, bez znaczenia!

Spojrzała na zegarek. Zapewne Hektor wnet nadejdzie. Przychodził do niej codziennie, jak wierny przyjaciel, i zdawała sobie sprawę, że bez niego byłaby zupełnie opuszczona.

Łagodny cień padł przez próg i przez szklane drzwi, prowadzące z ogrodu do pokoju, wszedł Hektor. Autumnna wstała i przysunęła dlań drugie krzesło. Milcząca, szczerze zmartwiona Anna podała herbatę na małym stoliczku.

Wyszła cicho z pokoju, a Hektor usiadł obok Autumnny.

- Jeden kawałek cukru, prawda Hektorze? — zapytała Autumnna, przymuszając się dzielnie do wesołości. — I cytryna! Bardzo proszę — odparł Hektor.

Pomyślała, że nawet jej ręce, które drżały, kiedy nalewała herbatę, były teraz inne. Wyglądały tak jakby były bezsilne i bezużyteczne.

Autumna postawiła swą filiżankę na stole, oparła się w fotelu i przymknęła oczy.

— Nie wiem, co z sobą począć — szepnęła. — Nie mam gruntu pod nogami.

— Ależ kochane dziecko — wyjąkał Hektor. — Życie musi iść dalej swoim torem. Nawet po najokropniejszych wypadkach, jakie nas spotkać mogą.

— Musi? Dlaczego?

Otworzyła szeroko oczy i spojrzała nań jakby zdziwiona. Hektor poruszył się niespokojnie.

Zauważyła z bólem, że źle wygląda. Bardzo zaprzyjaźniony z Jarvisem Deanem był jedynym żyjącym świadkiem całej tej dziwnej tragedii duszy, urodzonej pod złą gwiazdą. Może nie należało obarczać biednego Hektora jeszcze epilogiem, który zakrawał na ironię.

— To bezsensowne pytanie, Autumnno — odparł Hektor. — Córka Jarvisa Deana będzie żyła dalej. Jesteś wstrząśnięta i ogromnie wyczerpana moje dziecko. — Nie jestem już od dawna córką Jarvisa Deana — przerwała mu w zamyśleniu Autumnna. — Dziś wiem, że mój ojciec zmarł już przed dwudziestu laty. Od czasu do czasu wracał tylko jego duch i w jednej z takich krótkich chwil ojciec dopisał w testamencie ustęp przeznaczony dla Bruce'a Landora. Hektor zdumiał się.

— Rzeczywiście?

Autumna wstała powoli i podeszła do biurka, przy którym przed kwadransem siedział Snyder z nią i Anną. Wróciła trzymając w ręku kopertę, z której wyjęła arkusz papieru.

— Ojciec napisał to zapewne już po tym, kiedy Bruce odwiedził go na jego życzenie. Snyder nie mógł tego zrozumieć. Trzeba to doręczyć Bruce'owi.

Hektor wziął z jej rąk pismo.

Przeczytał słowa skreślone śmiałym, niecierpliwym pismem dziedzica: „Wyznanie dla Bruce'a Landora, któremu podobnie jak i innym wyrządziłem może niejedną niesprawiedliwość.

W chwili gdy to piszę, zdaje mi się, że widzę jakieś światełko, które jednak drży i gaśnie, pozostawiając mnie, starego człowieka, w ciemności. Nie moja wina, jeśli błądzę, otoczony ciemnością. Życie mnie strasznie oszukało i uczyniło ze mnie to, czym być nie chciałem”.

Przez kilka sekund Hektor wpatrywał się uważnie w pismo. Następnie spojrzał na Autumnę, która była zdziwiona uroczystym wyrazem jego twarzy. Malowała się na niej ulga, niemal uszcześliwienie.

— Tak — powiedział jakby do siebie — zapewne tak było, jak mówiłaś — jego duch wracał z zaświatów. Mnie czasami też to przychodziło na myśl. Ileż to razy tak mi się wydawało! Biedny Jarvis! Wspomnienie przeszłości zamroczyło mu umysł. Te słowa napisał w chwili świadomości. Powinnaś być szczęśliwa, że zdołał to jeszcze uczynić.

— Dlaczego? — zapytała Autumna. — Wszak nic się nie zmieniło.

— Ależ przeciwnie — rzekł Hektor. — Wszystko się przez to zmienia — dodał dotykając lekko białego papieru. — Tym pismem Jarvis odwołuje wszystko, co mógł mieć przeciwko Bruce'owi.

— Jeżeli nawet tak jest — rzekła znużonym głosem Autumna — cóż to teraz pomoże?

— Przypuszczam, że dla Bruce'a Landora nie będzie przykrą wiadomością, iż Jarvis Dean w gruncie rzeczy nie czuł doń żadnej urazy.

— Oczywiście, Hektorze przerwała mu Autumna — wybacz mi. To była myśl samolubna.

Hektor położył papier na stole i usiadł, opierając dłonie niezgrabnie na kolanach.

— Rozumiem — zauważył dobrotliwie. — Wolałabyś, by ojciec napisał, że daje swe przyzwolenie i...

— Ach, Hektorze — wtrąciła znowu — mówiłam bez zastanowienia się. — Właśnie. Ale gdy młoda dziewczyna jest zakochana, widzi wszystko w świetle tego jednego faktu. Słowa twego ojca mogą mieć jednak wpływ nawet na to.

Autumna uśmiechnęła się zrezygnowana.

— Nie rozumiesz mnie dobrze — rzekła. — Bruce co do mnie nie ma już żadnych zamiarów.

Wiesz z pewnością?

Nie opowiedziałam ci, co zaszło, gdy przyjechał w nocy do pawilonu Paarów, by mi donieść o śmierci ojca — rzekła z wahaniem. — Pojechałam tam wcześniej wieczorem. Bruce zastał mnie tam samą z Florianem. Przedtem Anna powiedziała mu, że zostanę w domku myśliwskim na noc. Tak też było zaplanowane, ale Linda miała być z nami. Zachorowała i musiała pozostać w domu. Florian oczekiwał mnie i miał mnie zaraz odwieźć. Jedliśmy jednak jeszcze kolację, w czasie której nadjechał Bruce. Wiesz, co musiał o tym pomyśleć. Florian próbował mu potem wszystko wyjaśnić, ale Bruce nie chciał o niczym słyszeć.

— Hm... hm... — chrząknął Hektor, marszcząc brwi. — I Florian potem nic już w tej sprawie nie uczynił?

— Oczywiście zachowanie Bruce'a oburzyło Floriana. Pewnie zechce jeszcze raz rozmówić się z Bruce'em, ale musiał wyjechać w interesie w zastępstwie ojca. Ale Bruce'owi nie zależy na tym. Musisz wiedzieć, że już od dawna zmienił się w stosunku do mnie.

Hektor zaszepił się. Romanse tych młodych ludzi były dla niego niezrozumiałe. Dano mu do zrozumienia, że nowoczesna młodzież w sprawach miłosnych nie zważa na dawne konwenanse. Za jego czasów... no tak, za jego czasów bywało zupełnie inaczej!

— Głupi jesteście oboje! — zawołał i nalał sobie jeszcze filiżankę herbaty.

Autumna podeszła do okna i patrzyła na ogród. Czowała, że Hektor usiłuje rozwiązać ten niesamowity urok ciążący nad nią

od owej strasznej chwili, gdy Bruce przyjechał po nią do pawilonu Paarów. Poszczególne tylko obrazy wydarzeń owej okropnej nocy wyrły się w jej pamięci, jaskrawe i straszliwe jak wybuchające gwiazdy. Powrót wydawał się jej koszmarnym snem, w którym straszna świadomość śmierci ojca walczyła z domysłem, że Bruce niewłaściwie zrozumie jej sam na sam z Florianem. A potem blada i milcząca Anna tuliła ją w ramionach. I nagle ujrzała zamknięte drzwi, prowadzące do gabinetu, w którym leżał jej zmarły ojciec. Na widok dziwacznej, karzełkowatej postaci przedsiębiorcy pogrzebowego o stożkowej głowie uciekła do swego pokoju i krzycząc przeraźliwie z histerycznym śmiechem ukryła twarz w poduszkach, aż Hektor wszedł do niej cicho i usiadł przy jej łóżku. Hektor zjawił się niespodziewanie. Później dowiedziała się, że Bruce go zawezwał. A potem w nocy opuszczony przez swego pana Pat wył gardłowo i rozpaczliwie.

Hektor pragnął, aby ocknęła się z tego wszystkiego. Było to bardzo pocziwie z jego strony, ale cóż to pomoże, że będą rozmawiali o Brusie Landorze? Obecnie Bruce wydawał jej się bardziej nieodgadniony niż kiedykolwiek. Nie mogła sobie nawet przypomnieć wyraźnie jego rysów ani dźwięku jego głosu. Zdawało jej się, że lata minęły, odkąd widziała go po raz ostatni, kiedy milczący i surowy stał na progu jej domu nie chcąc doń wejść, mimo że odprowadził ją i Floriana. Autumnna spojrzała na Hektora.

— Istotnie jesteśmy niepoprawnymi głupcami! — przyznała.

Spojrzał na nią z dziwnym zadowoleniem.

— Możliwe, dziecinko — stwierdził. — Ale zastanów się przede wszystkim nad tym, co się stanie z tym dopiskiem twego ojca?

— Nie wiem jeszcze — odparła. — Oczywiście chciałabym, aby Bruce się o nim dowiedział. Namyślę się, jak...

— Zajmę się tym sam, jeśli pozwolisz przerwać Hektor. — A może wolisz to inaczej załatwić?

— Wolałabym pozostawić tę sprawę tobie — rzekła. — Będzie prościej.

— W takim razie sporządzą sobie odpis — oświadczył Hektor, po czym usiadł przy biurku i zabrał się do pisania.

Wkrótce był gotów. Autumnna patrzyła nań w milczeniu wzrokiem bez wyrazu. Ujrzała, że schował arkusz do kieszeni, natomiast z wahaniem wyjął z niej pakiecik owiązany złotym sznureczkiem.

Hektor odwiązał uroczyście ten sznurek i wyjął z paczki leżący na wierzchu list.

Te listy zaczął drżącym głosem — były powodem, dla którego zaprosiłem ciebie i Bruce'a dziś na kolację. Los zrządził, że nie mogliście przyjść, ale chcę, abyście je przeczytali. Należały one do twojej matki, a pisał je do niej Godliyd Landor. Millicent powierzyła mi jednak te listy przed śmiercią. Daję ci je, abyś mogła je w spokoju przeczytać. Godfryd pisze tam o chęci opuszczenia wraz z żoną i dzieckiem kraju, w którym życie stało się dlań beznadziejne.

Autumna oddychała szybko.

Chcesz przez to powiedzieć, że zamierzał wyjechać? — zapytała cicho.

Hektor poruszył się niespokojnie.

— Tak. Niezależnie od tego, co pisze w tych listach, wiem, jak usilne czynił starania w tym kierunku.

— Nie wiedziałam o tym — szepnęła.

— Ojciec nie wspominał ci o tym, bo uważał, że to dla niego nie ma znaczenia — opowiadał Hektor. — Nigdy nie rozumiał dobrze tego wszystkiego, co dotknęło jego i innych. Jar vis był jakby pod wpływem manii. Zazdrość może skłonić człowieka do czynów, za które niezupełnie jest odpowiedzialny. Twój ojciec myślał, że Godfryd chciał dlatego wyjechać, aby Millicent mogła się z nim później spotkać. Posiadłość Godfryda była wówczas bardzo obciążona, a Jarvis posiadał majątek i miał Godfryda w rękę.

Autumna siedziała na brzegu krzesła i patrzyła na Hektora pałającym wzrokiem.

— Powierzę ci więc list Godfryda. Ale ten — dotknął listu wyjętego z paczuszki — chciałbym, ażebyś przeczytała teraz przy mnie. Twoja matka życzyła sobie, abym ci go wręczył, jeśli uznam, że nadeszła odpowiednia chwila.

— Dlaczego dotąd nic mi o tym nie mówiłeś? — zapytała Autumnna. Hektor zaczerwienił się z zakłopotania.

— Zapominasz, moje dziecko, że twój ojciec był moim przyjacielem. Nawet teraz z trudem zdobyłem się na taką decyzję. Tylko twoje postanowienie wyjazdu do Europy na stałe skłoniło mnie do wydania ci tych listów.

Rozłożył list i spośród jego kartek wydobyl mały papier, który tam był wsunięty.

— Najpierw przeczytaj to — rzekł, podając Autumnie krótsze pismo. Autumnna ujęła list drżącymi palcami i spojrzała na delikatne, wyblakłe pismo.

„Kochany Hektorze — pisała Millicent — mam wrażenie, że już nigdy nie wyzdrowieję. Pamiętaj, proszę, o tym, co mi przyrzekłeś. Mam nadzieję, że moja prośba nie będzie miała dla Ciebie przykrych następstw. Twoja wdzięczna Millicent”.

Autumna wpatrywała się przez chwilę w milczeniu w kartkę papieru, nie widząc jej jednak.

— A teraz przeczytaj to — rzekł Hektor, wręczając jej list, który trzymał w ręku.

Zdawało jej się, że litery palą jej oczy niesamowitym żarem. Kiedy zdołała opanować wzruszenie, przeczytała przez łzy:

„Do mojej ukochanej córki Autumnny czytała. — Jeśli kiedykolwiek będziesz czytała te słowa — stanie się to tylko wtedy, gdy Hektor uzna to za konieczne. Dotyczą one rzeczy, które opowiedziałabym Ci chętnie sama, gdyby to było potrzebne albo możliwe. Powinnaś się dowiedzieć, że ani God-fryd Landor, ani Twój ojciec nie ponoszą winy za nieszczęśliwy wypadek, który Godfryd przypłacił życiem. Godfryd czynił wszystko, aby stąd wyjechać, zapomnieć o mnie i... dopomóc mi, abym o nim zapomnieć mogła. Hektor Ci powie, dlaczego nie mógł tego uczynić. Od owego okropnego wiosennego poranku Twój ojciec myślał ciągle o śmierci tego człowieka, który był przedtem jego przyjacielem. Obawiam się, aby to się nie stało jakąś manią, która go opanuje w zupełności. Na mnie spada cała wina, o ile beznadziejna miłość może być uważana za winę. Nie umiem Ci powiedzieć, jak to się stało, że po wielu latach błądzenia po omacku zakochałam się. Pragnę tylko, Autumnno, abys wiedziała, że stało się to już po Twym urodzeniu i że nie złamałam przysięgi, która uczyniła mnie



żoną Twego ojca. Chcę Ci też powiedzieć, Autumnno, że prawdziwa miłość jest dla kobiety całą treścią jej istnienia. Nigdy nie może ona uciec przed taką miłością, nawet gdyby poszła na koniec świata.

Nie wiem, co Cię w życiu czeka, Autumnno. Janina Landor jest upartą i energiczną kobietą. Zamierza pozostać tu na swej farmie, pospłacać wszystkie zobowiązania i wychować tu syna. Wzrośnięcie więc razem i staniecie się z czasem przyjaciółmi lub wrogami to ostatnie z woli jego matki i Twego ojca, którzy się teraz nienawidzą. Życzeniem moim, Autumnno, jest, abyś patrzyła na te rzeczy bez uprzedzeń i odsunęła wszelki wpływ tej minionej tragedii. Cieszyłabym się, gdyby stara wina mogła być zmazana. Twoja kochająca Cię matka Millicent".

Ostatnie słowa listu przesuwają się przed oczyma Autumnny poprzez łązy jak zamglona, srebrzysta karawana. Jasnowidzenie umierających! Może Millicent spodziewała się nawet, iż jej córkę będzie łączyło z synem Godfryda coś więcej, aniżeli przyjaźń i że przez nich spełni się przeznaczenie. Autumnna spojrzała na Hektora, siedzącego znów przy oknie, i w zamyśleniu złożyła list.

— Dziękuję, Hektorze, że mi to pokazałeś — rzekła.

Nie odwrócił się. Położyła list obok paczki z innymi listami i podeszła do niego.

— Spełniłeś swoją rolę i jestem ci bardzo wdzięczna. Zwrócił się ku niej, wstał i objął ją ramieniem.

Przez chwilę zdawało się, że coś powie, a potem pogładził ją tylko w milczeniu po włosach.

— Pójdę już chyba — powiedział niepewnie. — Musisz mnie znowu wnet odwiedzić. — Wziął kapelusz z sofki i odszedł wyprostowany i nieugięty jak żołnierz. Autumnna patrzyła za nim z okna, przygryzając wargi. Potem odeszła do swego pokoju.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY CZWARTY

Bruce Landor ubrany w wygodny flanelowy garnitur wyskoczył ze swego małego samochodu i pobiegł stromymi schodami do domu Hektora Cardigana. Nalegające zaproszenie Hektora na obiad zastanowiło go nieco, lecz nie podejrzewał w tym żadnego podstępu.

Hektor sam widocznie poruszony otworzył mu drzwi, wziął od niego palto i kapelusz i zawiesił je w hallu, na nieco niepewnym wieszadle, które zdaniem Bruce'a należałoby podziwiać jako własność niegdyś Kleopatry czy może Konfucjusza.

— Cieszę się, że przyszedłeś, kochany chłopcze — rzekł Hektor, prostując się. — Wejdz i napij się czegoś. Mam tu dla ciebie doskonałą gorzką.

— Brawo, Hektorze! — zawołał Bruce i udał się za panem domu do jadalni, w której jeden koniec długiego dębowego stołu był nakryty ozdobnym obrusem, zastawiony srebrem, porcelaną i mnóstwem doskonałych przekąsek.

Bruce doznawał tu zawsze dziwnego wrażenia, iż z gobelinów wyjdą postaci dawnych wieków i zazdrośnie odbiorą Hektorowi skarby, nagromadzone w jego domu.

Stał wyczekująco, podczas gdy Hektor napełnił dwa kieliszki i z uprzejmym gestem podał mu jeden z nich.

— Za naszą przyjaźń! — zawołał, wyciągając swój kieliszek, aby się trącić z Bruce'em.

Wypili jednym haustem i Bruce podał z uśmiechem swój kieliszek do ponownego napełnienia.

— Jeszcze jeden, Hektorze... na pomyślność duchów przeszłości. —  
Ruchem ręki wskazał na ścienne gobeliny.

Hektor spojrział nań przelotnie, po czym nalał wódki w kieliszki. Jego ruchy wyrażały takie podniecenie, że musiały dziwić Bruce'a. Ale Hektor uśmiechnął się, powtórnie uklonił się Bruce'owi i wypił.

— Zapewne jest pan już głodny, kochany chłopcze — rzekł następnie.  
Chodźmy do stołu.

Spodziewam się, że nigdy nie będę głodniejszy — odrzekł Bruce i usiadł na krześle, które pan domu wskazał mu ruchem ręki.

Wino było wyśmienite, a zimne potrawy i sałatki też były doskonałe. Zdenerwowanie Hektora zdawało się stopniowo ustępować i prowadził rozmowę zrównoważonym tonem. Mówili o śmierci Jarvisa Dęana, o wspaniałym jego pogrzebie, posiadłości Deanów, planach Autumny zamieszkania w Anglii, lecz wszystko to miało charakter tak nieosobisty, że Bruce nie mógł się zorientować, o co staremu przyjacielowi idzie. Kiedy wstali od stołu, Hektor przykrył starannie półmiski, zaprowadził Bruce'a do bawialni i zamknął za sobą drzwi.

— Duchy będą miały ucztę — pomyślał Bruce z uśmiechem.

Ponieważ wieczór był chłodny, Hektor zapalił sosnowe drwa na kominku, obok którego teraz usiedli przy stoliczku, mając przed sobą wódkę i papierosy.

— Nie czułby się pan dobrze pośród nowoczesnych sprzętów, nieprawdaż? zauważył, rozglądając się wokoło Bruce. Za długo przebywał pan z duchami przeszłości.

Oczy Hektora załśniły dziwnie.

— Słuszne spostrzeżenie, kochany chłopcze — powiedział z naciskiem.

— Nie pozwoliłem jednak nigdy duchom, żeby mnie trapiły.

I wskazując stojący na serwantce kunsztownie rzeźbiony kielich do wina z czasów królowej Elżbiety, dodał:

— Kto wie, czy jakiś rycerski dworzanin nie otruł się, pijąc zeń? A czyż kielich przez to stał się dla nas mniej cenny lub mniej piękny?

— Nie sądzę — odparł Bruce — przeciwnie...

— Przeszłość — zaczął wywodzić z zapalem Hektor — jest — ciemną ulicą, po której stąpamy, by znaleźć jej boczne drogi lęku, piękna i namiętności. Gdy zatrzymamy się na początku tej ulicy i patrzemy w jej głąb, wówczas widzimy jasno, że zdarzenia przeszłości i ubiegłych dziesiątków lat mają tę samą wartość. Rozumiesz mnie, młody przyjacielu?

Bruce patrzył na Hektora Cardigana z wzmożoną ciekawością.

— Zdaje mi się, że pana rozumiem — rzekł bezwiednie, dostrajając się do uroczystego tonu Hektora.

Hektor wskazał rasową, opaloną ręką na gobelin wiszący na ścianie pokoju, po lewej ich ręce.

— Dokonane fakty przeszłości — ciągnął dalej — można porównać z tą tkaniną, na której z bezinteresowną sympatią i współczuciem oglądamy osobliwe pragnienia, ambicje, tragedie i miłosne przeżycia naszych przodków. Dla umysłu, powodującego się rozumem, nawet minione pokolenie jest takim gobelinem, mój chłopcze.

Hektor widocznie zmierzał do jakiegoś celu. Jego słowa były wypowiedziane z pewnym rozmysłem. Bruce usiadł wygodnie w fotelu i postanowił czekać spokojnie, aż Hektor powie, o co mu idzie.

— Przypomina pan sobie to powiedzenie z *Burzy* Szekspira: „To, co się stało, jest wstępem”? — zapytał Hektor. — Proszę mi nie brać za złe tego, co powiedziałem — usprawiedliwiał się — ale jestem starym człowiekiem, hołdującym romantyce.

Bruce uśmiechnął się.

— Proszę mówić dalej, Hektorze, mnie też już podobne myśli przychodziły do głowy. Nie umiałem ich jednak nigdy wypowiedzieć.

Hektor spojrzał nań bystro.

Zupełnie zrozumiałe, że miałeś tego rodzaju myśli. Rozmyślałeś wszak o przeszłości... na przykład o śmierci swego ojca.

Bruce rzucił w ogień papierosa.

— Właśnie o tym ciągle myślałem, Hektorze — wyznał. Nastąpiło krótkie milczenie. Hektor pochylił się naprzód i w zamyśleniu bawił się kieliszkiem.

— Czy byłoby ci bardzo przykro, gdybym w związku z tym o coś zapytał? — zagadnął w końcu.

Nie będę panu mógł wiele powiedzieć, Hektorze — odparł Bruce. — Prawdopodobnie pan wie więcej ode mnie.

Czy wiesz, w jaki sposób zginął twój ojciec? — zapytał nagle Hektor.

Sądzę, że popełnił samobójstwo z miłości... z powodu nieszczęśliwej miłości dla... dla innej kobiety — odparł Bruce. Wiesz o tym na pewno?

Domyślam się tego, Hektorze — odrzekł Bruce. Wiem, że się kochali, a resztę odgadłem. Mówiłeś o tym z Autumną?

Trochę... pewnej nocy, wkrótce po jej powrocie przyznał Bruce.

I doszłście razem do tego przekonania? — zapytał Hektor. — Wybacz, że w ten sposób cię wypytuję — ciągnął dalej. — Jako gospodarz nie powinienem tego właściwie czynić.

— To nie ma z tym nic wspólnego — rzekł Bruce — i nie wiem po co mielibyśmy bawić się w formalności.

— Zapewne, zapewne, kochany chłopcze! I dlatego też chcę ci wyjawić całą prawdę, o ile jesteś dość silny, aby jej wysłuchać.

Bruce zagryzł w zamyśleniu wargi, a jego oczy badały wyraz twarzy Hektora.

— Jestem dorosły, Hektorze — powiedział. — Przypuszczam, że potrafię znieść to, co mi pan powie.

Hektor Cardigan wychylił kieliszek i postawił go na stole.

— Zatem wysłuchaj mnie do końca — rzekł.

Bruce wydawał się sobie trochę śmieszny, jak dziecko, które ma być po raz pierwszy uświadomione o tajemnicach życia. Pomimo swego ironicznego usposobienia poczuł, że otoczenie starych mebli, zegarów, srebra i porcelany nastraja go ciepło i przychylnie. Gdyby nawet Hektor odkrył mu jakieś wstrząsające rzeczy, stało się dlań wreszcie jasne — bez względu na hipnotyzujący wpływ staroświeckiego pokoju — że to co było, należało do przeszłości, tak jak okres renesansu, średnich wieków, czasy przedhistoryczne, zapieczętowane i nie mające nic wspólnego z teraźniejszością.

Trzy zegary, w trzech zacisznych kąciach pokoju, wydzwoniły jedenastą. Bruce wysłuchał opowiadania Hektora. Przez chwilę siedzieli obaj w milczeniu.

Wreszcie Hektor wstał z fotela, spojrzał ukradkiem na młodzieńca siedzącego naprzeciw z twarzą ukrytą w dłoniach i nalał jeszcze dwa kieliszki wódki.

— Napij się do poduszki, kochany chłopcze — powiedział serdecznie.

Bruce ocknął się nagle z marzeń, wziął kieliszek z rąk Hektora i spojrzał na iskrzący się napój.

— Co Autumn wie o tym wszystkim? — zapytał.

— Wszystko, co panu wyjawilem — odrzekł Hektor.

— Rozumiem — rzucił w zamyśleniu Bruce. — Pan jej to , powiedział?

— Jarvis Dean wyznał jej to sam... pewnej nocy... po jej powrocie do domu.

— Nie przypomina pan sobie przypadkiem, której to było nocy?

Hektor namyślał się chwilę.

— Dokładnie nie wiem. Zdaje mi się, że następnego ranka przyszła do mnie, jadąc do Kelowny do Paarów.

— Było to wówczas, gdy pierwszy raz ich odwiedziła, prawda?

— Tak mi się zdaje — przyznał Hektor.

— Na pewno — oświadczył Bruce. — Boże... omal nie przypłaciła tego życiem.

Hektor patrzył nań przez chwilę.

— Jak myślisz, dlaczego od tej pory zachowywała się jak szalona?

Bruce wychylił jednym haustem wódkę i odsunął kieliszek.

— Co za zwariowany świat! — zawołał. — Pewnej nocy, nie minął jeszcze tydzień, zrozumiałem, że można chcieć kogoś zabić.

Hektor stanął przed nim zmarszczywszy brwi. Zaczynało mu się rozjaśniać w mózgu. Uśmiechnął się dziwnie, patrząc na zwichrzoną czuprynę swego gościa.

— To ci dobrze zrobiło, kochany chłopcze — zauważył. — Nauczył się pan czegoś, co się panu w przyszłości przyda.

Gdy później Bruce wsiadał do samochodu, Hektor stał na werandzie swego domu, a mleczna droga tworzyła jakby perłowy pomost od jednego ciemnego szczytu góry ku drugiemu. Bruce krzyknął mu: „dobranoc”, a Hektor skinął mu w odpowiedzi ręką. Patrząc za odjeżdżającym samochodem Hektor pomyślał, jak radośnie mu świeciły gwiazdy, kiedy sam był jeszcze młody.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY PIĄTY

Autumna szła polami ku chacie Willmarów, niosąc w ręku duży słomkowy kapelusz, a ciepły wietrzyk unosił jej białą batystową suknię, otulając ją jakby lekkim obłokiem. Gdy zbliżyła się do chaty, troje dzieci zerwało się spośród różowa-wych stokrotek, kwitnących między dworskimi zabudowaniami a domkiem dozorca. Potomstwo Willmara: Dick, Simmy i Laura, rzuciło się ku niej z dzikim piskiem i z rękoma pełnymi stokrotek. Za nimi kroczyła wszędobylska Mo-Mo, będąca jeszcze w posiadaniu puszystego ogonka i zachowująca się ze znacznie większą godnością, aniżeli wówczas, gdy na wiosnę wywedrowała w świat z Simmym.

Autumna schyliła się, uściskała dzieci, a potem pogłaskała po askamitnym nosie Mo-Mo.

Dziesięcioletnia Laura przycisnęła złotowłosą główkę do policzka Autumny i objęła ją za szyję.

— Nie chcę, żebyś wyjeżdżała, Autumnno — rzekła błagalnym dziecięcym głosem. — Mama mówi, że musimy stąd odejść, jeśli ty nie zostaniesz. A my nie chcemy stąd iść.

Oczy Autumny zasępiły się. Przypomniała sobie przykre przeżycia ostatniego tygodnia.

— Głupstwa pleciesz, kochanie rzekła. Pozostaniecie tu, gdziekolwiek ja będę.

Dick i Simmy wybuchnęli równocześnie żalowaną skargą:

— Nie wolno nam mieć Mo-Mo. Ten obcy pan powiedział, że nam zabierze Mo-Mo.



— Głuptaski — łajęła je Autumnna. — Nikt wam nie weźmie Mo-Mo. Chodźcie, pójdziemy do mamy.

Udała się do chaty Willmarów, trzymając w obu dłoniach ciepłe rączki dwóch chłopców, podczas gdy Laura szła z godnością naprzód, a Mo-Mo zamykała pochód.

Był to dzień, w którym pani Willmar była zajęta pieczeniem. Gdy Autumnna weszła z dziećmi do kuchni, zastała żonę dozorczy w czasie robienia ciasta. Zatroškany wyraz jej twarzy zamienił się w wymuszony uśmiech. Otrzeпаła z rąk mąkę i rzekła:

— Dzień dobry, panno Autumnno. Dzieci, nie wieszajcie się tak u sukni panienki. Proszę im na to nie pozwalać! Chodź tu, Dick... aż wstyd, jakie masz brudne ręce.

Autumna roześmiała się i pogładziła Dicka po włosach.

— Ręce i ubranie można oczyścić, prawda Dicku? powiedziała. Tymczasem Mo-Mo, stukając raciczkami, kręciła się koło kosza z jarzynami, który stał w kącie kuchni.

— Simmy, uważajże na Mo-Mo!

Pani Willmarowa westchnęła ciężko i otarła twarz fartuchem.

— Jeśli nie będziecie lepiej uważały na Mo-Mo, to będzie musiała być na powórze. Za duża już jest, aby ją trzymać w domu.

Kiedy dzieci wyprowadziły Mo-Mo z kuchni, Autumnna usiadła przy stole, a pani Willmarowa wykrawała ciastka przykrywką z pudełka od proszku do pieczenia.

— Tom mówił, że pani nas wnet opuści, panno Autumnno — powiedziała cicho.

— Dopiero za jakieś dwa tygodnie — odparła Autumnna.

— Ach, mój Boże, nie wiem, co my pocznjemy z sobą. Autumnna spojrzała na nią ukradkiem i zasmuciła się. Żona

Toma Willmara była drobną kobietą, która odzyskała zdrowie, kiedy tu przybyła przed dziesięciu laty. Folwark Deanów był dla niej wszystkim, toteż teraz lękała się, że znów utraci skromny, lecz pewny byt.

— Właśnie o tym chciałam z panią pomówić — rzekła Autumnna.

Dozorczyńni zwróciła ku niej tak zatroškana twarz, że Autumnnie serce się ścisnęło.

— Nic nie pomoże żadna rozmowa, panno Autumnno — odparła zmartwiona. — Pan Snyder mówił wczoraj wieczór z Tomem. To bardzo nieustępliwy człowiek ten Snyder.

— I cóż on powiedział, proszę pani? — zapytała Autumnna.

— Tom prosił go, że chciałby tu pozostać — wszak to nasza ojczyzna od przeszło dziesięciu lat, panno Autumnno — ale Snyder twierdzi, że jego klienci mają jakieś inne plany i że nie ma tu dla nas miejsca.

Autumna zacisnęła ręce. Od czasu ostatniej rozmowy ze Snyderem i jego klientami, którzy chcieli nabyć obszar ze wszystkimi przynależnościami, myślała ciągle o Willmarach, Annie, biednym Absolomie Peeku i innych długoletnich pracownikach ojca. Nawiązawszy pertraktacje ze Snyderem, Autumnna przypuszczała, że wierni słudzy jej ojca będą mogli wykonywać nadal swą pracę na poprzednich stanowiskach. Starą Anną należało się zaopiekować, dlatego też Autumnna postanowiła zabrać ją z sobą i postarać się, by resztę swego życia spędziła na usługach cioci Flory możliwie wygodnie. Snyder starał się być dyplomata. Chciał przeprowadzić sprzedaż możliwie szybko i ku zadowoleniu obu stron. Gdy Autumnna wyraziła życzenie, aby nie pozbawiano pracy ludzi jej ojca, ani nie przyrzekł, ani nie odmówił. Oznajmił tylko, że jego klienci mają jakieś własne plany. Obiecywał oczywiście, że ich namówi, by zgodzili się na jej propozycję. Autumnna nie chciała w końcu niczego podpisać, dopóki ta sprawa nie zostanie wyjaśniona. Skutkiem tego nie doszło do umowy i Snyder był niezadowolony.

Autumna ze wzruszeniem patrzyła na panią Willmar, która troskę swoją usiłowała pokryć uśmiechem. Ta kobieta była tylko jednym z członków małej gromadki, która pracą swych rąk i nie cofającą się przed niczym odwagą wniosła w dolinę bogactwo i dobrobyt. A teraz ta gromadka nagle i bezlitośnie miała zostać rozproszona, bez względu na niesprawiedliwość, jaką wyrządzono by tym prostym ludziom, których wierność w stosunku do Jarvisa Deana nie stanowiła punktu kontraktu, jaki Snyder miał zawrzeć. W tej krótkiej chwili Autumnna uświadomiła sobie, że jako rozpieszczona jedynaczka uważała rzetelność tych ludzi za coś rozumiejącego się samo przez się, tak samo jak to, że pobiera znaczne dochody z folwarku. Tu jednak szło o dziedzictwo przeszłości, którego nie uszanowała.

— Tak, proszę pani — rzekła wreszcie Autumnna — wiem, że Snyder robi różne trudności, jakkolwiek nie zawsze może czynić to, co chce. Musi się stosować do życzeń swych klientów. Nie znajdują oni jednak lepszego pracownika jak Tom. Powiedziałam im to również.

— Niewiele pomaga, jeśli się ludziom mówi to, czego nie chcą słyszeć — odparła pani Willmar.

— Wiem o tym, lecz nie chcę, by się pani martwiła — powiedziała Autumnna. — W najgorszym razie postaram się, byście dostali pracę gdzie indziej, zanim wyjadę.

Dozorczyni ułożyła ciastka na blasze i wstawiła ją do pieca. Spojrzała na Autumnnę ze smutnym uśmiechem.

— To bardzo ładnie z pani strony, panno Autumnno — rzekła. — Proszę się jednak o nas nie kłopotać. Nie idzie o to, dokąd pójdziemy, ale martwi nas, że musimy stąd odejść. Ojciec pani był zanadto dla nas dobry. Zepsuł nas. Nigdzie nie będę się tak czuła, jak tutaj. Bo widzi pani... tu wyzdrowiałam i w tym domu urodziło się dwoje moich młodszych dzieci. To nie jest takie proste, jeśli musi się opuścić swój dom.

Opuścić dom... Te słowa wywołały oddźwięk w sercu Autumnny. Pani Willmar nie domyślała się wcale, jakie wrażenie na niej wywarły.

— Ach, gdyby pani wiedziała, jak... jak dobrze panią rozumiem — zawołała.

Chciała jeszcze coś powiedzieć. Ogarnęło ją jednak takie wzruszenie, że wstała nagle, podeszła do małej kobieciny i otoczyła ją ramieniem.

— Zanadto się rozgadałam — rzekła przez łzy pani Willmar.

— Cieszę się z tego — przerwała jej Autumnna. — Nie powinna się pani dłużej martwić. Wszystko będzie dobrze. Wiem o tym.

Niewielka to była pociecha — mówiła sobie Autumnna — ale zdawało jej się, że dalsze słowa są zbyt cenne. Pani Willmar otarła śpiesznie łzy.

— Zachowałam się niewłaściwie, panno Autumnno — powiedziała złamana. — Nie mam prawa tak mówić. To nie wypada.

— Ach, głupstwo! — odparła Autumnna, po czym odwróciła się i nagle spojrzała na podwórze, na którym dzieci bawiły się wesoło z Mo-Mo.

— Ale teraz muszę już iść — oświadczyła. Otworzyła drzwi i popatrzała jeszcze raz na dozorczynię.

— Ślicznie pachną te ciastka. A może dzieci mogłyby mi przynieść kilka, tak aby Anna nie widziała?

Pani Willmar roześmiała się.

— Może się uda — odrzekła.

Gdy Autumnna weszła nieco później przez furtkę do domu, zastała w małej bawialni Annę wycierającą właśnie oczy końcem ścierki od kurzu.

Staruszka opanowała się i starała się nawet uśmiechnąć, lecz Autumnna poznała się na tym.

— Anno — rzekła z wyrzutem. — Co to pomoże, jeśli będziesz nadal taka niepoprawna?

Anna z oburzeniem tarła poręcz krzesła ściereczką.

— Kto jest niepoprawny? Ja nie! — zapierała się stanowczo.

Autumna potrząsnęła głową i przeszła do saloniku. Usiadłszy przy fortepianie usiłowała rozproszyć przykry nastrój swymi ulubionymi melodiami. Lecz po kilku taktach ręce jej zsunęły się z klawiszów i patrzyła przez okno na ogród. Prawie załamywała się pod brzemieniem trosk, które zwały się na nią w tym tygodniu.

Ponad wszystkim górowała jedna myśl. Hektor Cardigan mówił jej o owym wieczorze, w czasie którego opowiedział Bruce'owi dzieje Godfryda i Millicent Dean. Odtąd upłynęły już cztery dni męczącej niepewności, a Autumnna wyczekiwała jeszcze ciągle nadaremnie jakiejś wiadomości od Bruce^ Landora, jakiegoś znaku, że jej przebaczył. Gdy zwątpiła wreszcie, że kiedykolwiek usłyszy o nim, zaczęła myśleć o przygotowaniach do podróży. Jej decyzja pozostawienia tutaj wszystkiego, aby zacząć nowe życie, była może tchórzostwem i egoizmem, ale w swoim przygnębieniu nie widziała innego wyjścia.

## ROZDZIAŁ DWUDZIESTY SZÓSTY

Po południu Autumnna będąc zbyt wyczerpana, aby móc walczyć z dręczącymi ją wątpliwościami, udała się do różanego ogrodu. Pragnęła zaznać spokoju wśród kwiatów swej matki. Bawiła w ogrodzie zaledwie parę minut, gdy Anna zawołała z domu:

— Proszę panienkę do telefonu!

— Czy pan Snyder? — zapytała Autumnna z zapartym oddechem, gdyż jeszcze ciągle łudziła się nadzieją, że mógłby to być Bruce Landor.

— Nie wiem. Zdaje mi się, że to nie jego głos, ale obecnie nie słyszę już tak dobrze jak dawniej.

Autumna ujęła słuchawkę. Był to głos Floriana Paara. Powiedział, że przed chwilą wrócił z Vancouveru i chciał koniecznie, aby Autumnna pojechała z nim do Kelowny. Mówił, że porozumiał się już telefonicznie z Lindą, która prosiła Autumnnę, by przyjechała poznać jej nowego narzeczonego. Poza tym Linda postanowiła się wybrać do Europy w podróż poślubną. Należało więc omówić wspólne plany.

— Bardzo chętnie — zgodziła się Autumnna zadowolona, iż będzie miała sposobność otrząsnąć się z rozpaczliwego nastroju. — Będę gotowa i proszę po mnie przyjechać natychmiast. Niech się pan pośpieszy!

— Wyśmienicie! Gdy wyjadę, nie będzie mnie widać spoza kłębow kurzu. Mam jeszcze parę rzeczy do załatwienia, ale... może pani na mnie liczyć, Autumnno. Za godzinę będę u pani, dobrze?

— Im prędzej tym lepiej — odrzekła Autumnna. — Miałam wczoraj szkaradny dzień i tęsknię do rozmowy z ludźmi.

— A ja tęsknię do pani — odparł.

Powiedziawszy Annie, że zamierza wyjechać na parę dni do Kelowny, Autumnna pobiegła na górę, wzięła zimny tusz i zaczęła się ubierać ze starannością, która by dawniej podniosła ją na duchu.

Nagle odstąpiła kilka kroków od lustra i przyjrzała się sobie badawczo.

Ostatnie tygodnie nie przeszły bez śladu. Oczy jej miały jakiś wyraz przerażenia i zdawały się zbyt wielkie w twarzy wynędzniałej i bladej. Do tyłu zaczesane włosy zdawały się zbyt ciężkie dla jej głowy. Skromna biała płócienna sukienka i bluzka skrojone jak męskie koszule, były może eleganckie, ale nadawały jej wygląd prawie ascetyczny. Pomyślała, że Florian się przerazi, kiedy ją taką zobaczy. Podświadomie jednak zadawała sobie pytanie, co by Bruce pomyślał, gdyby tak przyszedł.

Wyjęła z flakonu pączek róży i włożyła do kłapy żakieciku. Trudno, chcąc dalej żyć, trzeba było myśleć o powszednich rzeczach, zwłaszcza jeśli okazywało się, że przeciwko niej się sprzysięgły rzeczy ważne.

Może Bruce Landor odwiedzi ją właśnie wtedy, gdy jej nie będzie... nie, nie, na to już nie powinna liczyć! Zaciśnęła wargi, a w tejże chwili usłyszała wzywający ją głos Anny. A więc Florian już przyjechał!

— Już idę, Anno — zawołała, pudrując jeszcze szybko twarz, by ukryć cienie pod oczyma. Wmówiła sobie niemal, że jest wesoła, gdy zeszła ze schodów i wchodziła do saloniku. Na progu przystanąła nagle, nie mogąc wymówił słowa. Mężczyzną, który wstał na jej powitanie, był Bruce Landor.

— Dobry wieczór, Autumnno — powiedział spokojnie, zbliżając się. — Bałem się... Bałem się, że nie zastanę pani w domu.

Czuła, że krwawy rumieniec oblał jej policzki.

— Dobry wieczór, Bruce... Nie miałam pojęcia, że to pan. Oczekiwałam Floriana.

Natychmiast spostrzegła swój błąd.

Ze wzruszenia wyrwało jej się to niezręczne powiedzenie.

— Przeszedłem tylko na chwilę, Autumnno — rzekł tak nieufnie, że ją to uderzyło.

— Proszę usiąść, aż Florian przyjdzie — rzekła bezdźwięcznie.  
Co ona mówi na miłość boską! Straciła chyba rozum. Słowa jej znaczyły oczywiście, że Bruce może sobie pójść, skoro tylko Florian przyjdzie. Zresztą Bruce może nie zechce się wcale spotkać z Florianem po ostatnim ich zajściu.

Usiadła, a Bruce zajął miejsce opodal. Nie była w stanie nań spojrzeć, gdyż wyraz jego twarzy sprawiał jej zbyt wielką przykrość. Każde uderzenie jej serca, przyspieszone jego obecnością, mówiło jej, że Bruce Landor wycierpiał tyle co ona.

— Spodziewałam się ciągle przyjscia pana — wyjąkała zdziwiona własnym brzmieniem głosu.

Rzucił jej szybkie spojrzenie.

— Spodziewała się pani, doprawdy? Nie sędzę, by pani cokolwiek na tym zależało.

— Ach! — westchnęła współprzyciomnie, zaciskając kurczowo ręce.

— Przyszedłem się z panią pożegnać, Autumnno — ciągnął dalej Bruce Landor. — Tom Willmar powiedział mi, że pani wraca w najbliższych dniach do Anglii.

— Nie wiem jeszcze dokładnie, kiedy — odparła Autumnna. — W każdym razie muszę tu zabawić jeszcze z dziesięć dni.

— Jadę na kilka tygodni w góry — oznajmił. — Już jutro rano. Wyjedzie pani prawdopodobnie jeszcze przed moim powrotem.

Kiedy odezwała się znowu, głos jej drżał.

— Bardzo ładnie z pana strony, że pan przyszedł. Otworzył papierośnicę i podał jej. Musiała opanować drżenie rąk, zanim sięgnęła po papierosa.

— Przyszedłem dlatego, Autumnno — rzekł z dziwnym opanowaniem — gdyż... nie chciałem, by pani stąd odjechała pod wrażeniem, że nie jesteśmy przyjaciółmi.

Kiedy nań spojrzała i pojęła, z jakim trudem zdobywał się na taką szczerłość, omal nie wybuchnęła płaczem. W owej chwili chciała podejść doń i wypłakać się w jego ramionach.

— Nigdy nie miałam tego wrażenia, Bruce — wyrzekła z trudem.

— Nie byłaby to pani wina — rzekł. — Wszak powiedziałem pani pewnej nocy, że nie możemy być przyjaciółmi.

Uśmiechnęła się doń, lecz nie powiedziała słówka i siedziała z wymuszonym uśmiechem, podczas gdy milczenie wydawało się nie do zniesienia.

— Dziś muszę pani powiedzieć, że zawsze będziemy przyjaciółmi, bo... bo inaczej być nie może. Kilka dni temu byłem u Hektora na kolacji.

— Opowiadał mi o tym — rzekła Autumnna.

— Dowiedziałem się o tej sprawie... naszej sprawie — ciągnął dalej z widocznym wzruszeniem Bruce. — Powinna mi pani była już dawno wszystko powiedzieć. Autumnna wyciągnęła doń rękę jakby z prośbą.

— Chciałam to panu wyjawić, Bruce, ale pan wie, dlaczego nie mogłam.

— Rozumiem panią, Autumnno. Byłbym tego samego zdania, co pani i pewnie postąpiłbym tak samo.

Zmusiła się spojrzeć mu prosto w oczy.

— To było straszne... dla nas obojga.

— Zatem niech pani o tym zapomni — oświadczył stanowczo Bruce. — Co minęło, to minęło.

Gdy tak mówił, przed bramę podjechał samochód. Bruce wstał i podszedł do okna.

— To pewnie Florian — powiedziała Autumnna.

— Tak, to on — odparł Bruce. — Idę.

Zbliżył się ku niej i podał jej rękę. Ucisnęła mu dłoń i myślała z przerażeniem, że teraz go traci na zawsze.

— Czy mówił pan na serio przed chwilą, że to co minęło, należy zapomnieć? — zapytała śpiesznie, ponieważ przed drzwiami słysząc już było kroki Floriana.

Zanim zdążył odpowiedzieć, Florian stanął na progu. Bruce cofnął się o krok, a Autumnna zwróciła się ku Florianowi, który wesoły jak zawsze, szedł ku niej z wyciągniętymi rękoma.

— Dobry wieczór! powitał ich. — Jakże się cieszę, że panią znowu widzę, panno Autumnno. A ciebie też, Bruce. Jak się miewasz, wielki hodowco? Nie widziałem cię już wieki!

— Kiedy widzieliśmy się ostatnio... — zaczął Bruce, lecz Florian przerwał mu.



— Przyznaj się, że byłbyś mię wówczas chętnie zakatrupił.

— Przyznaję — uśmiechnął się Bruce.

— Jesteś niezrównany, jeśli idzie o obronę czci jakiejś kobiety. To znana rzecz. Owego wieczora wyglądałeś tak, jakbyś chciał mnie po prostu zabić „własnymi rękoma” — jak to się pisze w różnych romansidłach kryminalnych.

— To prawda — wyznał Bruce. — Wybaczcie mi, proszę, oboje to, co myślałem owej nocy.

— Nie psuj wrażenia — upomniął go Florian. — Powinieneś być istotnie urodzić się w czasach dzielnych rycerzy, kiedy nadzianie kogoś na dzidę było czymś zupełnie powszednim.

Spojrzał z uśmiechem na Bruce'a, po czym odwrócił się do Autumny.

— Chciałbym się czegoś napić. Ginę z pragnienia.

— Jaka szkoda, że nie mogę zostać — powiedział Bruce. — Muszę jednak o świcie wyruszyć w góry, a dziś mam jeszcze przed wieczorem dużo roboty.

— Bardzo żałuję, że się tak składa — odparł Florian — gdyż myślałem, że przyjedziesz do nas pod koniec tygodnia. Autumnna przyjeżdża i będziemy ją uroczyście żegnali. Lin powiedziała mi, że zamierza dziś wieczór zaprosić cię telefonicznie.

— Przyjechałbym chętnie — odrzekł Bruce — ale nie mogę odłożyć mego wyjazdu w góry. Powiedz to, proszę, Lin w moim imieniu. Nie zastanie mnie dziś w domu, gdyby zadzwoniła.

— Więc już dziś wyjeżdżasz?

— Nie, lecz spędzę dzisiejszą noc w moim szałasie w wąwozie — rzekł Bruce. — Stawiam nowe opłotki i mam w związku z tym moc zajęć.

— No tak, interes jest interesem — zauważył Florian — w tym miesiącu miałem dość pracy. Kiedy dostanę coś do picia, Autumnno?

— Ale teraz już naprawdę muszę uciekać — powiedział Bruce.

Autumna trzymała przez chwilę jego rękę, nic nie mówiąc, a potem odwróciła się odeń i Bruce skierował się ku drzwiom.

— Odezwij się, jak wrócisz z gór — przypomniał mu Florian.

— Dobrze — zawołał Bruce i skinął mu na pożegnanie. Gdy drzwi zamknęły się za Bruce'em, Florian zwrócił się ku Autumnie, mówiąc:

— A teraz napijemy się jeszcze czegoś i jedziemy.

Autumna przyniosła napoje i pozwoliła Florianowi przyrządzić koktajl. Opowiadał bez przerwy o swej podróży do Van-couveru i o różnych drobnych przygodach, które mu się przydarzały po ich ostatnim widzeniu się. Autumnna starała się słuchać jego pustej gadaniny, lecz nie bardzo jej się to udawało. Kiedy Florian napełnił wreszcie kieliszki i podał jeden z nich Autumnie, zaledwie skosztowała napój i odsunęła go na bok.

— Proszę się zebrać, Autumnno — nalegał Florian. — Musimy już jechać. Spojrzała nań zakłopotana.

— Nie mogę z panem pojechać, Florianie — powiedziała.

— Dlaczego?

— Bardzo mi przykro — odparła — ale po pańskim telefo nie zaszła pewna przeszkoda, tak że dziś wieczór wyjecha. nie mogę.

Florian był zaskoczony. Widział z wyrazu jej twarzy, że daremnie byłoby ją namawiać. Była zdecydowana z nim nie jechać.

— To nieładnie z pani strony — rzekł. — Zdaje się, że pani jednak postanowiła sama pokierować swym życiem, a ja nie mam w tym wypadku nic do powiedzenia.

— Nikt mi nie może dopomóc — odparła — tylko ja sama. Florian milczał przez chwilę, spoglądając na Autumnę w zamyśleniu.

— Wie pani, tak mi się coś zdaje, że pani nie pojedzie do Anglii — rzekł z wahaniem.

— Możliwe, Florianie — przyznała.

— Wcale pani nie chce jechać powiedział.

— Może pan nawet ma słuszość odrzekła.

— Tak przypuszczam oświadczył i podniósł kieliszek. — Zatem powodzenia! — dodał.

Autumna trąciła się z nim kieliszkiem. Po chwili wstała i odezwała się nagle:

— Zostanie pan na kolacji.

I mimo jego sprzeciwu poszła do kuchni, by pertraktować z Anną.

Autumna pobiegła do swego pokoju i zaczęła zdejmować białą płócienną suknię, słysząc jeszcze z ulicy turkot samochodu Floriana. Włożyła szybko czarny strój do konnej jazdy i drżącymi rękoma zawiązała na szyi zieloną jedwabną chustkę.

Stara Anna była niezmiernie zdziwiona, gdy Autumna zbiegła szybko ze schodów i wyleciała z domu, ale już dawno przestała się przejmować szalonymi pomysłami swej pani.

Słońce schowało się za góry, a księżyc tworzył na bladym niebie niemal niewidoczny srebrny łuk, gdy Autumna dosiadła konia i skierowała go ku zachodowi.

Niebieskawe góry ukryły się pod jasną kopułą późnego wieczora.

Odgłosy z zapadającej w nocny sen farmy szły ku niej i opanowywały jej zmysły objawieniem ziszczającej się tęsknoty.

Bruce powiedział Florianowi, że nie będzie w domu. Wobec tego był zapewne w szalasie. Zjechała ze ścieżki i skierowała konia wzgórzami ku wąwozowi. Gdy podjechała do białych brzoź, ujrzała wyłaniającą się z ciemności, okoloną drzewami chatę. Okno było ciemne. Serce przestało jej uderzać na myśl, że może go tam nie ma. Jeśli już pojechał...

Wjechała na wąską ścieżkę, a po chwili zsiadła między brzoźami i zaczęła iść ku chacie. Nie zapukała, lecz otworzyła cicho drzwi i weszła.

Bruce klęczał na środku małej izby i pakował ciężką skrzynię z zapasami. Podniósł głowę, zerwał się szybko i stanął naprzeciw niej w skąpym świetle lampy. Cofnęła się o krok i oparła o drzwi.

Z początku żadne z nich nie przemówiło słowa. Potem on zbliżył się ku niej.

— Autumno! — zawołał wzburzonym głosem.

— Nie odpowiedział pan dziś po południu na moje pytanie — rzekła.

— Na jakie pytanie?

Autumna usiłowała coś powiedzieć, lecz nie potrafiła wykrztusić słowa.

Bruce podszedł do niej i patrzył w jej oczy.

— Na jakie pytanie? — powtórzył.

— Czy mówiąc: „co minęło, to minęło” myślał pan tak naprawdę?

— Tak.

— Na zawsze?

— Na zawsze.

Patrzyła nań przez chwilę, zanim odezwała się znowu:

— I powiedział mi pan raz, bym nie przychodziła nigdy więcej —  
uśmiechnęła się doń. — Czy to mówił pan też poważnie?

— Tak — odrzekł. — Wtedy... mówiłem to na serio. Zerwała z głowy  
kapelusz i rzuciła go na podłogę.

— Oto jestem! — zawołała. — Dlatego przyszłam.